



Rosa Ribas
Sabine Hofmann

WIELKI CHŁÓD



„Cykl o Anie Martí należy do najbardziej oryginalnych,
prawdziwych i uzależniających we współczesnej
literaturze kryminalnej”. — *EL MUNDO*

Rosa Ribas
Sabine Hofmann

WIELKI CHŁÓD

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Patrycja Zarawska



Nie podoba mi się ta zabawa.

Nie rozumiem jej. Mamy siedzieć cicho?

Ukrywamy się! Czy to zabawa w chowanego?

Ale gdzie są inni? Nie podobają mi się zabawy, których nie rozumiem.

– Pili, nie podoba mi się ta zabawa. No już, wstawaj.

Czemu nie wstaje?

Ale śmieszne! Ma źle założone buty. Na odwrót. Prawy na lewą nogę, a lewy na prawą. Kiedyś, gdy mama bardzo się śpieszyła, czasami wkładała mi buty na odwrót, ale teraz ubieram się sam i zawsze robię to dobrze. Prawie zawsze. Niedawno ojciec na mnie nakrzyczał i pomieszało mi się. Krzyczał i mówił, że oprócz tego, że jestem głupi, to jeszcze powolny, i dlatego założyłem buty na odwrót. Nic mu nie odpowiedziałem. Gdybym się odezwał, to by mnie zbił. Ale zabolalo i w dodatku upadłem.

– Pili, upadłaś? Zrobiłaś sobie krzywdę? Dlaczego się nie ruszasz?

Może płacze. Kiedy dziewczynki płaczą, mają buzię wykrzywioną w dół. Chłopcy nie płaczą. Bo chłopcy są mężczyznami, a mężczyźni nie płaczą.

– Jesteś smutna? Nie płacz.

Połaskoczę ją. Zawsze się śmieje, kiedy ją łaskoczę. Nie może wytrzymać.

– Pili, Pili, nie wytrzymasz.

Ale się nie rusza.

I jest bardzo zimna.

– Pili!

To przez potwora. Ale potwór nie zabija dziewczyn. Robi im krzywdę, ale ich nie zabija. Robi im krzywdę, dlatego wszystkie się go boją, ale ich nie zabija.

A jeśli wciąż tu jest?

Nie boję się. Jeżeli przyjdzie potwór, to go zabiję. Nie pozwolę, żeby zjadł Pili.

– No, chodź, potworze! Chodź, jeśli się odważysz!

A jeśli szef się pomylił?

Wysiadła z tramwaju na placu de España pewna, że po raz pierwszy od trzech lat, czyli odkąd dla niego pracuje, pan Rubio się pomylił. Rzuciła spojrzenie na publiczne pisuary na rogu ulicy Cruz Cubierta, dokąd skierował się mężczyzna zdejmujący już sobie rękawiczki.

Błąd. To był błąd wysyłać ją na miejsce wydarzeń. Żadna z zamieszanych w nie osób nic jej nie powie. Nie tylko dlatego, że jest kobietą; nikt nie miałby też ochoty rozmawiać o tej sprawie z mężczyzną – ani pracownice fabryki żarówek, ani faceci, dla których aresztowana umawiała spotkania.

Łatwiej wypytuje się w sprawach związanych ze śmiercią. Śmierć wywołuje u ludzi gadatliwość, przede wszystkim u tych, których nie dosięgnęła zbyt blisko, otarła się tylko o dalekiego krewnego, sąsiada czy przypadkowego świadka. Podobnie jak przychodzący po pogrzebie niepohamowany głód, obecność zmarłego wyzwala potok słów, choćby wyrzucająca je z siebie osoba nie widziała nic więcej jak tylko czubek buta nieboszczyka.

Ale w przypadku takim jak sprawa sprzedającej losy stręczycielki wszyscy wolą niczego nie wiedzieć. A może szef uważa, że zwierzą się jej dziewczyny z fabryki, które dorabiały sobie na randkach umawianych przez aresztowaną karlicę? Jak jego zdaniem miałyby się do nich zwrócić?

– Cześć. Jesteś jedną z tych, co to...? No wiesz, rozumiesz mnie, nie?

Nie mógł też oczekiwać, że będzie się włóczyć koło publicznych pisuarów i zaczepiać mężczyzn, możliwych klientów, kiedy podchodzą do drzwi ze źle skrywanym pośpiechem albo, co gorsza, że stawia czoło tym, którzy wychodzą spokojnym krokiem, nierzadko dopinając sobie rozporek, i wykorzysta te sekundy męskiej ulgi, aby zaskoczyć ich pytaniem:

– Przepraszam, nie jest pan przypadkiem klientem Pauliny Sánchez?

Zagadnięty najprawdopodobniej uciekłby czym prędzej. Jedni zrobiliby to z powodu zażenowania, że akurat w tym momencie zwraca się do nich młoda kobieta i pyta o nieznane nazwisko, a inni dlatego, że wiedzą, kim jest Paulina Sánchez, szczególnie jej klienci, mimo że znano ją jako „sprzedawczynię losów” albo „karlicę od ślepych”, i zapewne wzięliby wypytującą dziewczynę za wtyczkę policji.

Stręczycielkę zatrzymano trzy dni temu po anonimowym donosie jednej z pracownic fabryki żarówek Z, w pobliżu ulicy México. Co rano siedziała pod ścianą publicznych urynałów i sprzedawała losy loterii wspierającej niewidomych. Nazywano ją „karlicą od ślepych”, ponieważ mierzyła zaledwie nieco ponad metr trzydzieści. Zwracały uwagę jej mocno zgarbione plecy oraz tułów – prawie tej samej wielkości co ogromna głowa. Usadowiona na wyplecionym z sitowia krzeselku, ledwie dosięgała nogami ziemi.

Ana rozpoznała ją na policyjnym zdjęciu, które pokazał jej Rubio. Widziała tę kobietę w tym miejscu wiele razy, ze zwieszającymi się na piersi wstęgami kuponów, zawsze otoczoną przez mężczyzn. Teraz wiedziała, że nie byli to chętni kupujący losy.

Paulina Sánchez zajmowała się stręczycielstwem od dłuższego czasu i wydawało

się, że wszystko funkcjonuje dobrze: mężczyźni kierowali się do niej, żeby ich skontaktowała z jakąś kobietą z fabryki. Sprzedawczyni kuponów loterii dopytywała o preferencje co do wieku, cery czy koloru włosów, podobnie jak kupujący losy prosili o numer kończący się na osiem czy o nieparzysty lub niezawierający cyfry pięć. Stręczycielka uzgadniała dzień i godzinę, po czym podawała klientom adres mieszkania przeznaczonego do schadzek.

Mechanizm ten działał bez przeszkód, aż najwyraźniej któryś element zawiódł i zniszczył cały biznes. Nie mogła za tym stać żadna z kobiet, bo każdej z nich zależało, by rzecz nie wyszła na jaw. Nie chciało się także wierzyć w oficjalną wersję mówiącą, że donos złożyła jedna z nowych pracownic fabryki, gdyż poczuła się urażona, kiedy stręczycielka zaoferowała jej swoje usługi.

Choć Ana nie spodziewała się znaleźć niczego nowego do swojego artykułu, spędziła dobrą chwilę, chodząc tam i z powrotem od rogu, na którym stały pisuary, do baru La Pansa. Od czasu do czasu spoglądała na zegarek, udając, że czeka na kogoś, kto się spóźnia. Coś – nie wiedziała co, może instynkt dziennikarski, upór albo doświadczenie, jakiego nabyła, od czterech lat wykonując ten zawód – powstrzymywało ją przed odejściem i oznajmieniem panu Rubio, że tym razem deptanie ulic, „brudzenie sobie stóp błotem” nie zdało się na nic.

Nie ubłociła ich sobie, ale zrobiły się lodowate z zimna. W gazetach pisano, że temperatury tej zimy spadły niżej, niż notowano w ciągu ostatnich lat. Najbardziej przesadzone notki obwieszczały nawet „nową epokę lodową 1956 roku”. Może to i prawda. Wilgotny, zacinający wiatr pod koniec stycznia zdążył znaleźć szpary, przez które wdarł się pod jej płaszcz. „Jeszcze pięć minut i idę” – powtarzała sobie już kilka razy, przemierzając chodnik tam i z powrotem z rękami skrzyżowanymi na piersi dla ochrony przed zimnem.

„Pięć minut. Ostatnie” – powiedziała sobie po raz kolejny. I wtedy, gdy już zamierzała poszukać w przyległych uliczkach jakiejś kawiarni, żeby spróbować się rozgrzać kawą z mlekiem, albo wrócić do domu, zauważyła nadchodzącego ulicą Cruz Cubierta sprzedawcę kuponów. Prawą dłoń oparł na ramieniu dziewczynki służącej mu za przewodniczkę; czarne warkocze małej były grubsze od jej rąk. Szli różnym krokiem. Mijający ich ludzie odsuwali im się z drogi, a dziewczynka zwinnie unikała przeszkód, czy to przechodniów, czy psów, czy nieruchomych przedmiotów.

Niewidomy wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Jeśli nie był ojcem dziewczynki, musieli być przynajmniej spokrewnieni, bo ramiona i nogi również miał wyjątkowo szczupłe. Wiatr przyklejał wyświechtane sztruksowe spodnie do łydek, które zdawały się pozbawione mięśni. Cera mężczyzny była tak śniada od przebywania na świeżym powietrzu, że gałki oczne sprawiały wrażenie rozświetlonych od środka.

Przeszli obok Any. Mężczyzna miał wstęgi kuponów przypięte klamerkami do klapy płaszcz. Dziewczynka podprowadziła go do nasłonecznionej ściany – w to samo miejsce, które do niedawna zajmowała karlica – sprawdziła, czy ma pozapinane wszystkie guziki, i pożegnała się z nim. Niewidomy na do widzenia poklepał ją po policzkach.

Dziewczynka oddaliła się. Zanim wsiadła do tramwaju jadącego w kierunku Paralelo, odwróciła się jeszcze kilka razy, jakby się chciała upewnić, czy zostawiła swego

towarzysza w odpowiednim miejscu.

Nogi Any – może dlatego, że zyskały już doświadczenie w deptaniu ulic, a może z tego powodu, że przemarzły – przejęły inicjatywę. Głowa zaczęła snuć plan, dopiero gdy Ana znalazła się prawie przed niewidomy.

– Losy na szczęście! Szczęśliwe losy! – zawołał sprzedawca kuponów, wyczuwając bliskość jakiejś osoby.

– Szczęście, rzeczywiście, tego zawsze jest mało – odpowiedziała Ana.

– To da się naprawić. – Niewidomy powiódł palcem po wstęgach losów. – Tym da się naprawić.

Ana odczuwała pewne skrupuły, wykorzystując jego ślepotę oraz korzystając z tego, że on najwyraźniej bierze ją za jedną z dziewczyn z fabryki. Podeszła nieco bliżej i powiedziała przyciszonym głosem:

– Potrzebowałabym jednak czegoś pewniejszego. Żebym mogła zarobić dodatkowo trochę forsy.

– Pracujesz w fabryce?

Pytanie go zdradziło. Gdyby nie wiedział, o co chodzi, okazałby zdziwienie.

– Tak.

– Mężatka czy samotna?

– Mężatka – skłamała Ana.

– Czyli już nie pierwszozna. Znasz karlicę?

– Tak. Poratowała mnie parę razy.

– I wiesz, co się jej przydarzyło?

– Tak, ale pomyślałam, że może pan też mógłby...

– Przysuń się troszeczkę, laleczko.

Ana zrobiła jeszcze jeden krok, jakby się przyglądała wiszącym na jego płaszczu losom. Owionęła ją mieszanina walczących z sobą woni: zapachu środka piorącego i odoru potu, ale nie miała czasu zastanowić się nad tym, czy niewidomy ma na sobie czyste ubranie, ponieważ wyprała mu je dziewczynka. Po ciele Any zaczęła się przesuwac koścista, nerwowa ręka, ześliznęła się pod ramieniem i poszukała lewej piersi, po czym powędrowała do pasa i wcisnąwszy się pod płaszcz, ruszyła między nogi. Ana odskoczyła w tył.

– Co pan robi?

– Nie mogę obejrzeć towaru jak karlica. Ty, z takim ciałem, na pewno nieźle zarabiasz, nie?

Najchętniej uciekłaby, ale się powstrzymała. Skoro już przeszła przez tę upokarzającą sytuację, musiała z niej coś wynieść. Zapięła sobie guzik płaszcza, który ślepiec uprzednio zręcznie rozpiął palcami cienkimi jak odnóża owada.

– W takim razie może mi pan coś znaleźć?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Ja? Nie, laleczko. Chciałem sobie tylko pomacać ciało jędrniejsze niż u mojej żony.

– Świnia z pana!

– Nie mów, że myślałaś, że wszyscy ślepi są dobrzy z natury.

Nie odzywał się przez chwilę.

– Ale nie jestem złym człowiekiem. Poratuję cię.

Powtórzył dłonią w powietrzu ten sam ruch, którym ją obmacywał. Na wszelki wypadek cofnęła się o krok.

– Idź na targ Boquería. Tam sprzedaje losy kaleka, który pomaga niektórym handlarkom dorobić kilka groszy.

– Kaleka?

– Tak. Rozpoznasz go bez problemu. Brakuje mu nóg i porusza się na drewnianym wózku. Wkłada ręce do butów, żeby się odpychać od ziemi. Ale uważaj, lubi sobie pomiętosić dziewczyny – dodał z lubieżnym śmiechem.

Ana miała ochotę trzasnąć go w twarz, lecz znowu się powstrzymała. „Nie bije się ślepych” – pomyślała.

– A tego kaleki nie aresztowali?

– Nie, bo na niego nie było donosu. Może i jest kaleką, ale nie oszukuje w rachunkach ani dziewczyn, ani klientów.

– A karlica tak?

– Tak, laleczko. Zaślepiła ją chciwość.

Czy to był żart sprzedawcy kuponów, czy tylko wytarty frazes?

– U kaleki będziesz w dobrych rękach – mówił dalej, wybuchając śmiechem.

Miała już dość ślepego lubieżnika, ale zostało jej jeszcze jedno pytanie.

– Wie pan, kto na nią doniósł?

– Ciekawska jesteś, laleczko!

– Nie chcę, żeby mi się coś przydarzyło. Mam rodzinę...

– Nic ci się nie przydarzy. Karlica sama się prosiła, zwinęła prowizję gliniarza, miejskiego policjanta, który ją ochraniał. Chciwość wielu przywiodła do zguby. Przeciw chciwości szczodrość. Kupisz teraz ode mnie los, co?

Wyjęła z kieszeni portmonetkę, otworzyła ją i potrząsnęła monetami, żeby zabrzęczały, po czym zamknęła z metalicznym kliknięciem. Niewidomy wyciągnął dłoń w oczekiwaniu na zapłatę.

– Ojej! – rzekła z udawanym zawodem. – Nie mam pieniędzy.

– W porządku. – Uśmiechnął się. – Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Ale jeżeli potem będzie moja kolej, nie miej żalu. I jeśli nie kupujesz, lepiej idź już sobie. Nie chcę, żeby myślano o mnie źle.

Tym razem jego śmiech zabrzmiał sardonicznie.

Ana oddaliła się. Głos niewidomego ścigał ją aż na przystanek tramwajowy, w kółko powtarzając to samo:

– Losy na szczęście! Losy! Przeciw lenistwu pilność. Przeciw gniewowi łagodność. Losy na szczęście! Losy! Przeciwno żądzy czystość. Przeciw zazdrości litość.

Akurat gdy dotarła na przystanek, nadjechał tramwaj. Wsiadła, nie sprawdzając, czy to jej linia, byle tylko oddalić się od ślepca i jego śpiewki.

– Losy na szczęście! Losy! Przeciwno pysze...

Drzwi zamknęły się nagłym szarpnięciem.

– Pokora – mruknęła Ana.

– Słucham? – spytał konduktor.

– Nie, nic.

Położyła pieniądze na ladzie i wzięła bilet. To był właściwy tramwaj. Znalazła wolne miejsce. Na ulicy przechodnie kulili się w swych okryciach, przemarznięci w słońcu, które nie było w stanie ogrzać zimnego powietrza.

Mimo że aresztowanie stręczycielki stało się sprawą publiczną i policja wystosowała dla prasy notatkę, artykuł przysporzy Anie trudności. Będzie się musiała uciec do wszelkiego rodzaju omówień, żeby uniknąć cięć ze strony strażników moralności, nieubłaganych, gdy chodziło o cokolwiek mającego związek z – jak to określano – „szóstym przykazaniem”.

Nie pozwolą jej też powiedzieć ani słowa o policjancie, współniku karlicy. Nie mogła nawet zainsynuować, że przedstawiciel sił porządkowych, choćby i miejskich, może być skorumpowany. Nie tylko wymuszone milczenie zaprawiało goryczą dumę ze zdobycia nowej informacji, lecz także cena tego sukcesu. Ana bezwiednie przechyliła się na siedzeniu w prawo, jakby niewidomy wciąż był blisko, a ona chciała uniknąć jego dotyku.

Ale chociaż cenzura wiązała jej ręce i knebłowała usta, nie odebrała jej ciekawości. Ana chciała się przyjrzeć kalece, dowiedzieć się więcej, przeprowadzić dochodzenie.

Dotarła do Rambli. Już przy Domu z Parasolami, na Pla de la Boquería, usłyszała głos o metalicznym brzmieniu wyśpiewujący:

– Losy na szczęście! Szczęśliwe losy! Mało mi ich zostało, zostało mi mało! Dwa śliczne kaczątka, popatrzcie, dziewczątka!

Niewidomy miał rację – kalekę łatwo było rozpoznać. Siedział na drewnianej skrzyni z czterema kółkami wyglądającymi, jakby je odłączono od hulajnóg, a jego nogi kończyły się na wysokości kolan. Obok leżały buty, które zapewne służyły do odpychania się od ziemi.

Ana wciąż miała zziębnięte, zdrętwiałe z zimna nogi. Nie zdołała ich rozgrzać podczas jazdy tramwajem, lecz mimo to postanowiła zostać na ulicy i poszukać miejsca, skąd mogłaby obserwować sprzedawcę losów. Stała na chodniku naprzeciwko, koło kiosku, i nastawiła się na oczekiwanie.

Kaleka liczył kupony, zagadywał przechodniów, od czasu do czasu nucił skoczne przyśpiewki. W ciągu pół godziny sprzedał kilka losów: starszej kobiecie, która wyszła z targowiska z koszykiem, mężczyźnie w fartuchu sprzedawcy i jeszcze jednej kobiecie, zmierzającej na targ z małym dzieckiem. Potem podszedł do niego dojrzały mężczyzna i poczęstował go papierosem. Ana przyglądała się jego ruchom, mężczyzna podał mu ogień, za co kaleka podziękował skinieniem głowy. Wymienili parę krótkich słów, tak jak wtedy, gdy się uzgadnia spotkanie. Kiedy? Gdzie? Ile? Tak? Nie? Dobrze. Zgoda. Mężczyzna odszedł. Nie kupił losu.

Kaleka wypalił do końca papierosa, zgasił go na chodniku i schował niedopałek do blaszanej puszkę, którą wetknął sobie do lewej kieszeni spodni. Potem wsunął dłonie do butów i ze skrzypieniem kółek wjechał do hali targowej. Ana zaraz też się ruszyła. Przeszła przez Ramblę i skierowała się za inwalidą na targowisko.

O tej porze na targu panował duży ruch. Głowa kaleki ukazywała się i znikła na

wysokości pasa osób tłoczących się w przejściach. Beznogi człowiek torował sobie drogę, trąbiąc gruszkowatym klaksonem przymocowanym do wózka. „Zupełnie jak Harpo Marx” – pomyślała Ana. Inwalida dotarł do jednego ze stoisk mięsnych i zatrzymał się przy nim.

– Kochana, przyniosłem ci los, który sobie zarezerwowałaś! – zawołał do jednej z dwóch sprzedawczyń.

– Czekaj, zaraz wyjdę! – odkrzyknęła kobieta.

Miała około trzydziestu pięciu lat. Jej ręce były zaczerwienione od nieustannego kontaktu z zimnym mięsem, które ćwiartowała i kroїła wielkimi nożami. Skończyła odcinać kotlety, owinęła je i wręczyła klientce. Kaleka czekał na nią pośrodku przejścia. Nie potrzebował klaksonu, by ludzie go omijali. Ekspedientka włożyła pieniądze do drewnianej skrzynki, wytarła ręce w fartuch, który na początku dnia zapewne był biały, podniosła drzwiczki marmurowego kontuaru i wyszła. Zbliżyła się do inwalidy i schyliła, by sięgnąć po kupony. On powiedział coś do niej przyciszonym głosem. Dokoła inni handlarze zachwalali głośno swój towar, podśpiewywali i ważyli mięso, brali pieniądze od klientów i wydawali im resztę. Ile mężczyzna od papierosów zapłacił za usługę?

Godzinę później, wracając pieszo do domu, Ana zmieniła zdanie.

Szef się nie mylił.

Posiliła się, po czym przejrzała swoje notatki i napisała na brudno artykuł do przyszlotygodniowego wydania „El Caso”. Następnie przebrała się, ponieważ tego wieczoru miała uczestniczyć w uroczystej kolacji, z której zlecono jej napisanie kroniki towarzyskiej, a po rozmowie z Enriquem Rubio nie będzie miała czasu, by wrócić do domu. Miała szczęście, że bogate kuzynki nadal chętnie dawały jej w prezencie używane rzeczy, uważając ją za cokolwiek ekscentryczną krewną. Jej szafa była dobrze zaopatrzona w porządne ubrania wieczorowe. Ana sama robiła poprawki na maszynie do szycia ustawionej w korytarzu, obok maszyny do pisania Olivetti, jako że było to najlepiej oświetlone pomieszczenie w domu. Nigdy nie powiedziałaaby swojej kuzynce Claudinie – która odkąd wyszła za mąż, zmieniła styl i z omdlewającej, dekadenskiej dziewczyny przedzierzgnęła się w korpulentną matronę – że z nadmiaru materiału odciętego z jej turkusowej satynowej sukni uszyła sobie dwie poszewki na jaśki.

Pomimo zimna zeszała po schodach cztery piętra z butami na obcasach w ręce. Nie chciała, żeby ją zaczepiła Teresina Sauret, dozorczyńni znajdująca upodobanie w niby to przypadkowych spotkaniach; gdyby ją zobaczyła w takim ubraniu, na pewno próbowałaby się dowiedzieć, dokąd to lokatorka się wybiera. Odkąd Ana pisywała kroniki towarzyskie dla „Mujer Actual”, dozorczyńni była jedną z jej najbardziej oddanych fanek, chociaż wciąż krzywym okiem patrzyła na to, że młoda kobieta mieszka sama. Anie udało się bez hałasu dotrzeć do drzwi wyjściowych. Z mieszkania Teresiny Sauret dobiegały napięte, drżące głosy; również muzyka była pełna dramatyzmu. Serial najwyraźniej osiągnął szczytowy moment i pochłonął całą uwagę dozorczyńni. Mimo to Ana najpierw otworzyła drzwi, a dopiero potem włożyła buty, żeby w razie czego jak najszybciej oddalić się od domu.

Ochłodziło się jeszcze bardziej. Podniosła sobie kołnierz płaszcza i skierowała się w stronę rondy de San Antonio.

– „Cieeeeero”! „La Vanguardia”! „Cieeero”! – wykrzykiwał młody gazeciarsz koło przystanku tramwajowego, wymachując egzemplarzem „El Noticiero Universal”. Aż po łydki był okutany w wielką marynarkę, którą jakoś przymocował sobie do ciała starym paskiem od spodni. Kiedy zwolniła nieco kroku, spojrzał na nią.

– „Ciero”? „La Vanguardia”? – nalegał.

Spojrzała na niego twardo i pokręciła głową, po czym wsiadła do tramwaju, który właśnie nadjechał.

Żadnej z tych dwóch gazet.

Z „La Vanguardii” odeszła. Wieczorny dziennik „El Noticiero Universal” nie chciał jej. Na dobrą sprawę rzuciła pracę w „La Vanguardii” dlatego, że tam też jej nie chcieli. Dostała się do tej gazety dzięki przyjaźni, jaka niegdyś łączyła naczelnego, Matea Sanvisensa, z jej ojcem, jednym z licznych dziennikarzy represjonowanych przez reżim po wojnie¹. Niektórzy w redakcji nie patrzyli przychylnym okiem na obecność kobiety wśród nich, ale ponieważ jej zadania ograniczały się do pisania notatek z wydarzeń towarzyskich oraz redagowania i korygowania tekstów, pod którymi podpisywali się inni redaktorzy, była tolerowana. Jednakże sukces i rozgłos, jaki przyniosły jej własne

artykuły dotyczące Mariony Sobrerroki, mimo że opublikowano zaledwie ich małą część, rozbudziły w kolegach nieufność i nade wszystko zazdrość.

– Jedna z naszych tradycji narodowych, kultywowana od wieków – skwitowała to jej kuzynka Beatriz, kiedy Ana się jej pożaliła.

Po czym odszukała w swojej biblioteczce egzemplarz *Abla Sáncheza*, autorstwa Unamuna, i pożyczyła go Anie, by jej choć trochę ulżyło, gdy się poczuje ofiarą od dawna zakorzenionego wśród rodaków zła. Ale literacka pociecha niewiele pomagała, kiedy zjadliwe uwagi kolegów, ukryte w gąszczu pochwał, wypełzały ku niej jak węże.

– Dobra robota! Kto by powiedział? Nie wyglądasz na to.

Złośliwe uprzejmości otworzyły drogę dla jawnie wrogich reakcji, takich jak brak odpowiedzi na powitanie, pogardliwe spojrzenia, szeptki kończące się wyraźnie dosłyszalnym:

– Ale za kogo ona się uważa?

– No przecież wiadomo, że jest córką Andrésa Martí. Jak inaczej wyjaśnić, że dostała tu pracę.

Przed pomówieniami chroniła ją tarcza Matea Sanvisensa, niezaprzeczalna wysoka jakość jej pracy i odniesiony sukces. Ten ostatni najbardziej jej zaszkodził, kiedy informacja o nim dotarła do uszu Luisa de Galinsogi, dyrektora narzuconego dziennikowi przez rząd jako warunek dalszego ukazywania się po wojnie. Galinsoga, zarazem zasiadający w Kortezach z nadania samego generała Franco, nie krył pogardy, jaką odczuwał dla miasta, w którym kierował gazetą przemianowaną na „La Vanguardia Española”, i z całą surowością pilnował, aby dziennik zachował wymaganą linię polityczną.

Osiągnięcia Any ściągnęły na nią uwagę niczym reflektory. Co w jego gazecie robi kobieta, w dodatku córka czerwonego?

Sanvisens próbował sprawić, by jej sukces przeszedł niezauważony, starał się czynić ją niewidzialną, do czasu, gdy być może zapomną o jej obecności. Najpierw przesunął Anę z powrotem do działu towarzyskiego. Potem kazał jej redagować teksty, które ukazywały się bez podpisu albo pod innym nazwiskiem; w pewnym momencie dawał jej wyłącznie korekty. Ona zaś opierała się, dopóki nie uświadomiła sobie, że jej obecność naczelny może przypłacić swoim stanowiskiem, jeżeli nadal wbrew naciskom będzie ją trzymał w redakcji.

Odeszła. Właściwie lepiej powiedzieć: pewnego dnia przestała pojawiać się w redakcji. Nie było pożegnania; ze strony kolegów ani słowa, również tych, którzy – na ile wiedziała albo myślała, że wie – cenili ją czy lubili. Tylko duża donica margerytek, którą Sanvisens dwa dni później polecił przynieść do jej domu jednemu z redakcyjnych gońców. Kwiaty o białych płatkach, symbol niewinności, aby uniknąć złych języków. Zaakceptował jej decyzję.

To wszystko wydarzyło się cztery lata temu. Postanowiła wiele o tym nie myśleć i zwykle udawało się jej nie dopuszczać do siebie urazy czy frustracji, nawet kiedy się kładła spać, czyli gdy strapienia i żale tylko czekały, żeby się wymknąć z klatek, w których z takim trudem zamykała je za dnia. Ale czasami podczas jazdy tramwajem, autobusem albo taksówką, gdy spoglądała nieobecny wzrokiem na ulice i ludzi,

nachodziły ją wspomnienia. Wykorzystywała na wpeł senny stan, w jaki wprowadzał ją ruch pojazdu, i gubiła się w zmartwieniach związanych z własną przyszłością. Napadały ją wtedy, a to bolesna wizja: siedzi samotnie przy pustym stole, a to czyjaś uszczypliwa uwaga, a to fantazje o tym, co być może o niej mówią...

Wysiadła z tramwaju i wyobraziła sobie, że zostawia w nim gorzkie wspomnienia. „Niech je bierze, kto chce. W prezencie” – pomyślała i uśmiechnęła się sama do siebie.

Podeszła kawałek pieszo do domu pana Rubia, przy ulicy Viladomat. Szef już na nią czekał.

Enrique Rubio, jeden z założycieli tygodnika „El Caso”, był „barcelońską redakcją” tego czasopisma. Chociaż niewiele starszy od Any, to właśnie on od trzech lat dawał jej pracę, o czym nikt nie wiedział, ponieważ pisane przez nią artykuły ukazywały się w „El Caso” pod pseudonimem.

Oficjalnie pracowała dla „Mujer Actual”, gdzie publikowała sprawozdania z przyjęć, imprez dobroczynnych organizowanych przez barcelońską socjetę, relacjonowała związki zawierane w wyższych kręgach społeczeństwa oraz narodziny latorośli. A także wywiady z osobistościami showbiznesu; najbardziej podobał się jej ten, który przeprowadziła z Amparo Rivelles, po tym jak aktorka wystąpiła w filmie Orsona Wellesa. Jednak to rozmowa z Mariem Cabré – byłym toreadorem, a obecnie aktorem, który przyznał się Anie do przygody miłosnej z Avą Gardner – za sprawą dozorczyń przyniosła jej niespodziewaną i cokolwiek niewygodną sławę w całej dzielnicy. Teresina Sauret rozpowiedziała o tym na wszystkich stoiskach targu San Antonio, zarówno tych, gdzie zazwyczaj robiła zakupy, jak i takich, które odwiedziła specjalnie w celu obwieszczenia nowiny.

Ana wyobrażała sobie, że niektórzy jej byli koledzy z „La Vanguardii” przyjęliby to jako powrót do naturalnego porządku, może też jako zasłużoną karę za jej pychę. Jak to szło? Przeciwno pysze, pokora. „Oho! Pisze o fryzurach i szmatkach” – stwierdziliby z zadowoleniem.

Nie tyle przejmowała się tym, co inni myślą o jej artykułach z działu kroniki towarzyskiej, ile opinią własnego ojca o niej samej i o tej pracy. Kiedy mu powiedziała o możliwości pisania dla tygodnika „El Caso”, nie przyjął przychylnie wiadomości, że nazwisko Martí zostanie powiązane z popularnym czasopismem donoszącym o bieżących wydarzeniach, dlatego Ana poprosiła Enriquego Rubio, by jej artykuły ukazywały się pod pseudonimem.

– Jak pani woli. – Początkowo zwracali się do siebie oficjalnie. – Pani ojciec to Andrés Martí, ten z „La Vanguardii”, prawda?

Może nie takie były jej intencje, ale Rubio dał do zrozumienia, że pojmuje powody, dla których Ana chce się posłużyć fałszywym nazwiskiem.

– Tak – potwierdziła.

– Pani dziadek też był uznanym dziennikarzem. Mistrzem w swoim zawodzie. Jego rezygnacja z pracy to wielka strata dla naszej branży.

Dziadek zmarł dwa lata temu. W rzeczywistości dziennikarstwo poniosło stratę znacznie wcześniej i rodzina również nie mogła powiedzieć, że dziadek należał do niej w ciągu swoich ostatnich lat życia, ponieważ podeszły wiek uszkodził mu pamięć.

Rubio nie miał więc nic przeciwko. On sam używał kilku pseudonimów, by sprawiać wrażenie, że jego tygodnik posiada licznych współpracowników i korespondentów.

Ana miała dwa. Najczęściej podpisywała się jako Sabino Rivas, chociaż czasami, kiedy publikowała notatki o ciekawostkach, stosowała pseudonim „Papuzka Martínez”, w ramach małego hołdu dla swego zmarłego brata Ángela oraz jego przekornego ducha, który go uczynił zwolennikiem hiszpańskiej sprawy w barcelońskiej rodzinie².

Ana poznała Enriquego Rubio dzięki Mateowi Sanvisensowi. Naczelnny „La Vanguardii” ponadto przetań jej drogę, ponieważ kiedy stawiała się w mieszkaniu Rubia, ten został już uprzedzony, z kim będzie miał do czynienia.

– Pani praca nad sprawą Mariony Sobrerroki, chociaż ze zrozumiałych względów nie została w pełni opublikowana, pokazuje, że jest pani tego rodzaju dziennikarką, jakiego potrzebujemy, reporterem, który wychodzi w poszukiwaniu wiadomości i brudzi sobie stopy błotem ulicy.

Już podczas tej pierwszej rozmowy Ana usłyszała jedno ze słynnych powiedzeń szefa. Dużo się od niego nauczyła: obserwować bez wtrącania się, szanować milczenie, a z zadawaniem pytań czekać na właściwy moment. Rubio cenił w niej zdolność do słuchania oraz talent do wychwytywania niedopowiedzeń.

Z przyjemnością wspominała jego gest aprobaty, gdy mogła twierdząco odpowiedzieć na pytanie:

– Dobrze sobie pani radzi z aparatem fotograficznym?

Nabiła też sobie punktów, kiedy mu powiedziała o swoich dobrych relacjach zawodowych z nadinspektorem Isidrem Castrem z Kryminalnej Brygady Dochodzeniowej, znanym z rozwiązania wielu głośnych spraw, w tym tej, która mu zapewniła awans, czyli sprawy zabójstwa Mariony Sobrerroki.

– Jak pani zapewne wie, trudno ułożyć sobie z nim stosunki. Nie odznacza się łagodnym charakterem – rzekł Rubio z podziwem. – Ale jest prawdziwą gwiazdą. Niedawno znów mieliśmy go na naszych łamach.

Pokazał jej ostatni egzemplarz tygodnika.

– Tutaj, choć tylko wymieniony z nazwiska, ponieważ nie ma zwyczaju pozować do zdjęć. Rozwiązał sprawę oszustów sprzedających maszyny, za pomocą których podobno można było fałszować bilety.

Następnie, również owego pierwszego dnia, Ana usłyszała kolejne ze słynnych powiedzonek szefa:

– Jeśli chodzi o oszustwo, w większości przypadków ofiara okazuje się gorsza od oszusta.

Potem Rubio wyjaśnił jej warunki, w jakich pracują:

– Pilnują nas szczególnie skrupulatnie, ponieważ staliśmy się popularni. Na szczęście dyrektor, Eugenio Suárez, jest falangistą, w dodatku bardzo sprytnym. Z jednej strony przedstawia nasze artykuły jako ostrzeżenia zapobiegające przestępczości, a z drugiej jako przykłady dobrej pracy policji.

Rubiowi wystarczył pełen zrozumienia uśmiech Any.

– Ale jako że żyjemy w kraju, w którym panują spokój i porządek, nakłada się na

nas restrykcje w zakresie wiadomości o zabójstwach na arenie krajowej: tylko jedno na każde wydanie.

– Jedno na tydzień?

– Tak. I trzeba je dobrze wybrać.

Tak też robili, odkąd zaczęła pracować dla „El Caso”. Szefa zresztą i tak bardziej pociągały oszustwa niż krwawe zbrodnie. Jej odkrycia poczynione w sprawie karlicy i kaleki również żywo go zainteresowały, ale nie opowiedziała mu wszystkich szczegółów swojej rozmowy z niewidomym.

– Bardzo dobre dochodzenie, Ana. Opublikujemy to, nie podając nazwy fabryki żarówek i oczywiście nie wspominając o policjancie, który za łapówkę przymykał oko na ten proceder.

To było zrozumiałe. Zwykła wzmianka o skorumpowanym funkcjonariuszu mogłaby skutkować zarekwirowaniem i zniszczeniem nakładu. Co się zaś tyczyło nazwy fabryki, czytelnikom spoza Barcelony było wszystko jedno, o jaki zakład chodzi, miejscowi z kolei wywnioskują to bez trudności. Jeżeli dziennikarze potrafili przekazywać informację pomiędzy wierszami, odbiorcy umieli też tak czytać.

Wydało jej się, że Rubio o czymś zapomniał.

– A ten kaleka? – zapytała.

– O nim lepiej też nie wspominać.

– Ale...

– To sprawa dla policji – przerwał jej szef.

– Więc doniesiemy?

– Ja nie.

Ona też tego nie zrobi. Nie jest donosicielką. Rubio nie zapytał jej o to. Myślał o czym innym.

– I kiedy skończysz tekst, mam już dla ciebie nowy temat.

– Czego dotyczy?

– Zadzwoił do nas don Benito Tena, proboszcz ze wsi Las Torres, w prowincji Teruel, z informacją o dziewczynce, która najwyraźniej ma stygmaty. Skierowali go do nas ci z Madrytu, ponieważ Aragonia to nasza strefa.

– A nie dlatego, że ta historia ma małe znaczenie? Zgodnie z zasadą: jeżeli historia z tej strefy jest dobra, bierze ją ten, do kogo trafiła w pierwszej kolejności.

Rubio spojrział na nią znacząco. Kilka miesięcy po tym, jak zaczęła dla niego pracować, Ana zwierzyła mu się ze swojej opinii o artykułach, które „El Caso” opublikował w roku swego założenia, 1952, na temat domniemanej komunikacji międzyplanetarnej z mieszkańcami planety Gemide.

– Poczulałam się zażenowana – wyznała w przyпыlywie niemal samobójczej szczerości – kiedy przeczytałam kilka stron z informacjami i rysunkami wnętrza statków, które rzekomy węgierski uczoney, niejaki profesor Zoltan Devamo, odwiedził osobiście, jak zapewniał.

„Gemidianie potrzebują naszych zasobów mineralnych” – głosił nagłówek. Artykuł ukazał się zilustrowany rysunkami przedstawiającymi metaliczne istoty z głowami wyglądającymi jak wyszczerbione hełmy astronautów, z nieziemskimi rękami

i podługowatymi ramionami. Rozmówca, który udzielił tygodnikowi wywiadu, nazywał się D9.

– Jakbyśmy się bawili w statki, ale chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o „prezydenta Zgromadzenia Atlantydy i najwyższego szefa służb grawitacyjnych intelekturwalających”.

Rubio pozwolił jej mówić, nie próbował bronić artykułu. Na koniec powiedział jedynie:

– Dobrze. Teraz znam panią nieco lepiej.

Wkrótce potem zaczęli sobie mówić przez ty.

Skoro szef wiedział, jak bardzo Ana nie cierpi przesądów, niewyjaśnionych, nadprzyrodzonych zjawisk, krótko mówiąc: wszystkiego, co brzmi nieracjonalnie, nie rozumiała, dlaczego tym razem chce jej powierzyć sprawę domniemych stygmatów.

– Co powiedział proboszcz?

– Że dziewczynka ma rany na dłoniach i stopach.

– Wiele osób ma teraz na stopach odmrożenia...

– Ana, sceptycyzm jest zapewne zdrowy, ale zamyka ci drzwi do tego, co cudowne.

– Tak wolę. Jako dziennikarze jesteśmy zobligowani do formułowania wątpliwości.

– Jasne, jasne – zgodził się Rubio. – Ale don Benito Tena zapewnia, że rany u tej dziewczynki ściśle odpowiadają tym, które Jezus Chrystus odniósł na krzyżu. Sama możesz sprawdzić, czy to prawda. Temat może zainteresować wielu naszych czytelników. Poza tym mamy wyłączność.

– Ach tak?

– Tak. Proboszcz twierdzi, że powiadomił tylko nas.

– Spryciarz z niego.

Nakłady tygodnika były ogromne, ponad sto tysięcy egzemplarzy, żadne inne czasopismo nie miało takich wyników; „El Caso” czytano zarówno w dużych miastach, jak i w najbardziej zapadłych dziurach.

– Jeżeli proboszcz mówi prawdę i jesteśmy pierwsi, to będzie bomba.

– A jeśli, jak przypuszczam, jest inaczej?

– Żadna strata. Podróż do Maestrazgo, kilka kartek i parę zmarnowanych zdjęć.

– I mój czas.

– Tylko po części. Każde doświadczenie przeżyte przez dziennikarza jest cenne. O ile ma on otwarte oczy. A ty musisz je otwierać bardzo szeroko. Nie chciałbym, aby nam wcisnęli kota w worku. Nie tylko z powodu ewentualnego ośmieszenia, lecz także dlatego, że nasz los wisi na włosku. Wrogowie naszego czasopisma będą zacierali ręce, jeśli opublikujemy tego rodzaju wiadomość i okaże się nieprawdziwa.

Rubio zauważył, że nie zdołał rozwiać u swojej współpracownicy wątpliwości co do sprawy, zaapelował więc do jej nieposkomionej ciekawości:

– Pomyśl, że powszechna pobożność jest zjawiskiem godnym przestudiowania.

Ana się uśmiechnęła. Pasja, jaką Rubio żywił do oszustw i szwindli, do przestępstw, kryminalistów i ich prześladowców, sprawiła, że stał się wielkim znawcą ludzkiej duszy.

– Masz rację, szefie.
– A tym bardziej zasługuje na przebadanie to, co może się kryć za tą historią.
– Zatem ty też nie wierzysz w istnienie stygmatów.
– Ani nie wierzę, ani też nigdy nie wierzyłem. Ale uwierzę, jeżeli ty, z całym twoim sceptycyzmem, powiesz mi, że to prawda.

– A w Marsjan uwierzyłeś?
– Nie zapominaj się, Ana, nie zapominaj. To o pozaziemskich istotach, których nie nazywaliśmy Marsjanami, to rozrywka dla ludzi. Jest nieszkodliwa. Jak gadające psy albo dwugłowe kozy. Cuda są delikatniejszej natury, ponieważ mają właściciela.

– Kościół.
Skinął głową, żeby nie przerywać wywodu.
– To on decyduje o tym, czy wydarzył się cud czy nie.
– Dlaczego w takim razie nie zaczekać? Przypuszczam, że proboszcz już powiadomił swoich przełożonych i...

Rubio zamachał gwałtownie rękami, jakby odgrywał rolę Orsona Wellesa chodzącego po domu w *Obywatelu Kanie*.

– Wyłączność, Ana! Wyłączność!
„Pasja pracy” – pomyślała, chociaż nie uprawiała dokładnie takiego rodzaju dziennikarstwa, jakie sobie wymarzyła – poważnego, w prestiżowym czasopiśmie. A tym bardziej nie miała wolnej ręki. Mimo to nie chciałyby robić nic innego.

– Zgadzasz się?
– Jasne. Czy mam inne wyjście? – rzuciła, choć tylko półgębkiem.
– Możesz ruszyć w drogę pojutrze. Autobus jeździ do Las Torres z Castellón trzy razy w tygodniu, we wtorki, czwartki i soboty.

Wszystko miał wynotowane na kartce. Wręczył ją Anie. Zanim wzięła z jego ręki papier, spytała:

– Nie mogłabym pojechać samochodem?
– Będzie mi potrzebny do innej sprawy.

Sięgnęła po kartkę, nie ukrywając rozczarowania. Do tej pory kilka razy wyprawiała się wozem służbowym przeznaczonym do „wyjazdów informacyjnych” – dostawczym fiatem z wymalowaną na drzwiach nazwą „El Caso”. Tak samo jak niektórzy uczyli się czytać tylko po to, aby się zapoznawać z treścią ich tygodnika, tak ona nauczyła się prowadzić samochód, by móc korzystać z należącej do tygodnika furgonetki.

Nie zostało im wiele do omówienia. Rubio przekazał jej kilka wskazówek odnośnie do planowanej podróży.

– Weź aparat fotograficzny. Proszę, tutaj masz filmy. Zabierz na zapas, nie sądzę, żeby tam dało się kupić.

Niecierpliwiał się, by wrócić do swoich spraw. Odprowadził Anę do drzwi. Zanim zamknął – może dlatego, że ujrzał, jak wychodzi w wieczorowej sukni, w której miała się udać na przyjęcie – rzekł:

– I ubierz się ciepło.

Aby napisać artykuł o sprzedającej losy stręczycielce, Ana musiała sięgnąć do kufra z eufemizmami, pogrzebać w najciemniejszych i najbardziej świętoszkowatych jego zakamarkach i wyciągnąć językowe przebrania dla historii, która – nawet opowiedziana niebezpośrednimi słowy – cenzorom mogła się wydać wystarczająco nieprzyzwoita.

Z brudnopisem świeżo zdjętym z wałka maszyny do pisania i wetkniętym do kieszeni w niedzielne popołudnie poszła odwiedzić swoją kuzynkę Beatriz.

Beatriz stała się dla niej głosem lingwistycznego sumienia. Nie tylko kiedy Ana ją odwiedzała w jej ogromnym mieszkaniu przy Rambla de Cataluña, by oddać jedną z pożyczonych od niej książek i zabrać inne, które czytała następnie przykładowo nie bez przekornie buntowniczej postawy, jaką dobra uczennica musi sobie w końcu wyrobić, ale zawsze.

Wyjęła z torby dwie książki. Jedną z nich była powieść *El Jarama* autorstwa Rafaela Sáncheza Ferlosia.

– Podobała mi się. Niczego takiego dotąd nie czytałam. Jest hiperrealistyczna. Wydaje się, że tam jesteś, podglądasz bohaterów i słuchasz odtwarzanego nagrania. Autor ma dobry słuch.

Kuzynka uśmiechnęła się zadowolona. Ana dostrzegła w tym uśmiechu akademicką wyższość.

– Chyba właśnie zdałam jakiś egzamin.

Ucieszyło ją to, a jednocześnie rozdrażniło, gdy sobie uświadomiła, jak wielkie znaczenie ma dla niej opinia Beatriz. Wiedziała ponadto, że rozczaruje ją, oddając drugą książkę bez komentarza, mimo że została jej powierzona niczym skarb. Tom przemycono z Meksyku z fałszywymi okładkami i dołączonymi poważnymi artykułami naukowymi, aby zmylić celników otwierających kopertę z Uniwersytetu Meksyku. W spojrzeniu kuzynki dostrzegła, że Beatriz rozumie jej milczenie, kiedy kładła na stole egzemplarz *Moséna Millána* pióra Ramóna J. Sendera, że pojmuje, iż opis śmierci bohatera rozstrzelanego pod cmentarnym murem okazał się dla Any nie do zniesienia, że nie mogła się z nim pogodzić, ponieważ przypomina jej śmierć brata, Ángela.

Beatriz wzięła książkę, żeby ją ukryć w biblioteczkę.

– Chodź – odezwała się, żeby rozproszyć zjawy – daj mi przeczytać swój artykuł, a potem pokażę ci moje trofea.

Podczas tych cotygodniowych spotkań czekała na nią z kawą, słodyczami oraz nową kolekcją błędów i potknięć językowych wytropionych w prasie. Ana zawsze miała nadzieję, że wśród tych tekstów nie będzie nic jej autorstwa.

– Nie chcę nawet myśleć o tym, co zrobiliby niektórzy z naszych gryzipiórków, gdyby musieli używać tylu przyimków, ile jest w niemieckim.

W bibliotece pachniało kawą, papierem i tytoniem. Półki były pełne. Kuzynka nie musiała już wyprzedawać swojego cennego księgozbioru, by zdobyć pieniądze na utrzymanie. W tej chwili zdawała się zadowolona ze swojego spokojnego życia badaczki, której przeszłość zamknęła drzwi do hiszpańskich uczelni, ale której nazwisko wciąż

zyskiwało prestiż za granicą.

Beatriz przeczytała brudnopis i oddała Anie kartki.

– Zastanawiam się, czy cenzura przepuści to tutaj. – Wskazała jedno zdanie. – „Oskarżona odpiera zarzuty, jakoby pośredniczyła w kontaktach cielesnych”. Obawiam się, że słowo „cielesne” jest zbyt dosłowne. Nie przejdzie.

– Zobaczymy, co powie Rubio.

– Założymy się?

– Dobra. O co?

– Jeśli cenzura to wytnie – zagaiła Beatriz – nauczysz się na pamięć *Sonetu I Garcilasa*.

– Jest ckliwy?

Kuzynka zgromiła ją wzrokiem.

– Garcilaso nigdy nie jest ckliwy!

– Dobrze, już dobrze. A co chciałabyś, żebym ci zadała w ramach rewanżu? Nie mogę cię poprosić o wymazanie z pamięci niczego, co w niej trzymasz.

Wtem coś jej przyszło do głowy. Beatriz nienawidziła wszelkiego typu pustej formy. Ana, również obdarzona doskonałą pamięcią, która najwyraźniej była wspólną cechą Noguerów, czyli rodziny ze strony jej matki, przypomniawszy sobie pełną pasji perorę, jaką kuzynka wygłosiła kiedyś na temat żonglowania metryką w wierszach, „bardziej nadającego się na jarmark osobliwości niż do literatury”.

– Jeśli to zdanie przejdzie przez cenzurę, nauczysz się na pamięć sekstyny. Jakiejś z Fernanda de Herrery.

Beatriz wybuchnęła śmiechem.

– Zaraz zadzwonię do cenzury, żeby ich uprzedzić o twoim artykule. Sekstyna de Herrery. Co za okrucieństwo!

Ana podejrzewała, że kuzynka i tak zna już któryś z jego wierszy na pamięć. Nagle na bocznym stoliku zauważyła stos egzemplarzy „El Caso”. Pochlebiło jej to, ponieważ uznała, że Beatriz trzyma je ze względu na nią, dlatego nie mogła się oprzeć i spróbowała wydobyć z niej potwierdzenie dla swego pełnego próżności przypuszczenia.

– Zbierasz moje artykuły?

– Nie. Badam środki retoryczne stosowane w kronice wydarzeń.

Beatriz nigdy nie okazywała bliźnim nadmiernej empatii, ale z czasem czegoś się nauczyła. Dlatego poniewczasie dodała:

– Tak, tak, jasne, trzymam twoje artykuły. To stąd wziął się ten pomysł.

– Naprawdę?

– Zaczęłam kupować tygodnik, żeby zobaczyć twoje teksty w druku.

Wstała i wzięła jeden z egzemplarzy. Artykuł Any był zaznaczony wetkniętą karteczką.

– Tu jest nawet zabawnie, ponieważ piszesz o kobiecie, która oszukiwała w sklepie kuśnierskim La Siberia, a obok zamieszczono ogłoszenie z kursem korespondencyjnym uczącym taksydemii.

Czasami wysiłki Beatriz, gdy chciała być miła, okazywały się cokolwiek chybione. Ana w swoim czasie nie zdała sobie sprawy z niezamierzonej komiczności takiego układu

strony w czasopiśmie i teraz rozdrażniło ją to. Kuzynka jednak niczego nie spostrzegła, tak była pochłonięta swoją tezą naukową.

– Wiedziałaś, że niektóre chwytły retoryczne z kroniki wydarzeń wywodzą się z tradycji romancy ślepych bardów?

Stojąc obok stolika kawowego z egzemplarzem „El Caso” w ręce, Beatriz sama przypominała niewidomego pieśniarza, który wędruje od wioski do wioski, z miasta do miasta i opowiada makabryczne historie o zbójcach, zemstach i zabójstwach.

– Całe to nagromadzenie szczegółów, za pomocą których zapewniasz o prawdziwości opisywanych zdarzeń, przymiotniki dające jasno do zrozumienia, kim są wychwalane osoby, policjanci, prawni, uczciwi, a kim te stawiane w złym świetle. I z jaką pierwotną fascynacją igrasz z tym, co wywołuje chorobliwe zaciekawienie! Nic dziwnego, że porywasz czytelników.

Zafascynowanie Beatriz było autentyczne, a jednocześnie obraźliwe. Ana wahała się, nie wiedząc, czy ma podzielić jej entuzjazm, czy czuć się urażoną. Zdecydowała się na to pierwsze, kiedy kuzynka dodała:

– Jestem pewna, że niektóre z historii, które piszesz, przejdą do tradycji ustnej i powstaną o nich piosenki albo ballady.

W Madrycie już krążyła romanca o Margaricie Ruiz de Lihory, markizie de Villasante, bohaterce tak zwanej „sprawy uciętej ręki”. Rzeczona ręka należała do jej córki, która w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat umarła z powodu obrzęku płuc. Zbolała matka próbowała zachować części ciała córki w formalinie. Słynna ręka dwa lata temu, w 1954 roku, pojawiła się w plastikowej bańce na mleko i w Madrycie dzieci wyśpiewywały: „Na ulicy księżnej z Paryża / mieszka sobie stara markiza / ze swoją córeczką Małgosią, / co to się pożegnała z rąsą. / Morału niech więc każdy posłucha: / chowaj rękę, gdy idzie starucha”. Niewiele trzeba było czasu, by obłąkanie matki po śmierci córki przekształcono w przerażającą historyjkę do straszenia dzieci – zafałszowaną, ale wciąż zawierającą ziarenko prawdy. Ana zanuciła sobie tamtą przyspiewkę w myślach, bo miała pełne usta. Aby załagodzić resztkę gniewu, zjadła wszystkie maślane herbatniki, ulubione ciastka Beatriz, i zrobiła to, zanim kuzynka z powrotem usiadła.

Przełknęła ostatni kęs, po czym powiedziała:

– Ze sprawy, którą mi teraz przydzielił Rubio, będą nawet religijne obrazki. Isabel Castán.

– Kto to taki?

– Trzynastoletnia dziewczynka ze stygmatami.

Beatriz pokręciła głową, na próżno szukając na talerzu maślanych ciasteczek.

– Zamordowano ją? – zapytała.

– Zajmujemy się nie tylko zgonami i zabójstwami. Również niezwykłymi zdarzeniami.

– Takimi jak pojawienie się latających talerzy, osoby będące w stanie zjeść trzydzieści porcji posiłku... – rzekła Beatriz, rzucając Anie oskarżycielskie spojrzenie, gdy odkryła, że jej ulubione herbatniki padły ofiarą łupieżcy.

– I święte dziewczynki ze stygmatami.

– Cóż, mam nadzieję, że nie podzielisz losu biednego brata Ludwika z Grenady...

Zrobiła przerwę niezbędną do tego, żeby wyciągnąć z kuzynki pytanie, które mogło posłużyć zarówno jako początek opery, jak i przedstawienia lalkowego. Ana wypowiedziała je z przyjemnością:

– Co mu się przydarzyło?

– Był wielkim mistrzem retoryki epoki renesansu, mówi się o nim, że miał dar słowa, ale dał się oszukać pewnej portugalskiej mniszce, która zapewniała, że ma stygmaty. Poczekaj.

Wstała, podeszła do jednego z regałów i zwinnie wspięła się po drewnianych schodkach, które dawały dostęp do najwyższych półek. Nie szukała. Dokładnie знаła miejsce, gdzie znajduje się żądany tom. Otworzyła go, nie schodząc ze stopni, i zaczęła kartkować. Tymczasem Ana skorzystała z okazji i spałaszowała kolejne ciasteczka w ramach pobranej z góry rekompensaty za wysłuchanie nieuniknionej perory o jakimś tam bracie Ludwiku.

– Posłuchaj – odezwała się Beatriz ze swojego podwyższenia. Ana powstrzymała się od śmiechu. – Zobacz, co napisał o tej mniszce. A właśnie, nazywała się María de Meneses.

– Ładnie. María de Meneses. Mogłaby być piosenkarką.

– Ale była dogłębnie przepojona mistycyzmem.

„Dogłębnie przepojona mistycyzmem”. Beatriz weszła już w rolę profesorki.

– Po zakonnicy można się tego spodziewać, nie?

Kuzynka nie zwróciła na to pytanie uwagi, zajęta szukaniem właściwej strony.

– Słuchaj. Brat Ludwik z Grenady mówi, że „ukazał się jej Małżonek cały skąpany we krwi, zdjął sobie z głowy koronę cierniową i założył ten wieniec jej, przyciskając rękami. Ślady po cierniach pozostały na głowie i splamiły krwią czepek, który wówczas nosiła”. Następnie opowiada, że wystąpiły jej także rany na dłoniach i nogach. Dobrotliwy brat Ludwik uznał je za autentyczne. Ale kilka lat później odkrył, że wszystko to było bujda, wszystkie ślady i rany zostały namalowane. Uważaj, ponieważ to dotyczy ciebie.

– Beatriz odłożyła książkę na miejsce, lecz została na schodkach, wskazując grzbiet wolumenu. – Po tym jak odkryto oszustwo, łatwowierny brat Ludwik zapragnął odzyskać dobre imię. Niektórzy twierdzą, że odczuwane upokorzenie doprowadziło go do śmierci.

– Rozumiem. Nie martw się. Nie zamierzam pisać o cudach. Chcę sprawdzić, co się tam dzieje. W tej chwili wiem tylko tyle, ile mi powiedział Rubio: że według proboszcza dziewczynka krwawi z dłoni i stóp.

– Nie lekceważ tego.

– W żadnym wypadku. Ale jest wiele sposobów na udawanie. I wiele powodów, by to robić. To właśnie muszę sprawdzić.

Wygłosiwszy ostatnie słowo, Ana po raz pierwszy poczuła, że zadanie powierzone jej przez szefa ma sens, a ona ma cel.

Beatriz zeszła już ze stopni i z powrotem przed nią usiadła. W jej spojrzeniu malowało się lekkie zmartwienie.

– Uważaj na siebie. Jeżeli miejscowi są przekonani, że to prawda, twój sceptycyzm może być bardzo źle widziany. Co to za miejsce?

- Las Torres, w prowincji Teruel, comarca³Maestrazgo.
- Maestrazgo? Lepiej ubierz się ciepło.
- To samo powiedział mi Rubio.

- Ale co ty robisz? Jak możesz ładować kury na bagażnik dachowy?
- W środku ich nie chcę.
- A dlaczego nie? Są czyste i zdrowe.

Czerwony grzebień koguta wystawał pomiędzy pogiętych prętów klatki, do których przyciśnięte były też białawe pióra dwóch kur. Ptaki nie wyglądały Anie na szczególnie zdrowe. Nie mogła także zrozumieć, co mężczyzna miał na myśli, mówiąc, że są czyste.

– To ty tak mówisz – odpowiedział kierowca autobusu. – Ale ostatnim razem, kiedy wsiadłeś z kurami, przez kilka tygodni wyjmowałem pióra spod siedzeń.

– To dlatego, że sprzątasz w autobusie trzy razy do roku. Jeżeli pojedą na dachu, złapią podwójne zapalenie płuc.

Przez pochłapaną błotem szybę pojazdu Ana widziała, jak wieśniak trzyma klatkę między nogami, jakby chciał w ten sposób już teraz ochronić zwierzęta przed zimnem.

- W takim razie do bagażnika.

Było nie do wyobrażenia, by po tym wszystkim, co upchnięto w kufrze bagażowym, odkąd wyjechali z Castellón, zmieściła się tam jeszcze klatka. Kobieta siedząca dwa rzędy za Aną wiozła ze sobą chyba pół jadalni. Ana widziała ją na przystanku w Morelli z dwoma mężczyznami, którzy przynieśli meble. Po długiej dyskusji z kierowcą autobusu doszli do zgody w sprawie dodatkowej opłaty, a następnie dębowy stół i sześć krzeseł zniknęło w brzuchu pojazdu. Towarzyszyło temu mnóstwo walizek, tobołków i owinięta papierem stara suszarka do włosów na wysokiej nodze, zapewne przeznaczona do zakładu fryzjerskiego w jakiejś wiosce koło Maestrazgo.

Wieśniak zaprotestował.

– Nie mówisz poważnie. Tam jest za ciemno i przy całym tym hałasie pewnie dostaną ataku serca.

- Do autobusu nie wejdą.
- Ale zawsze tak przecież robiliśmy.
- A teraz koniec z tym. Mój autobus jest dla ludzi, nie dla zwierząt.

Właściciel kur z niedowierzaniem pokręcił głową, jednak kierowca stanął przed drzwiami pojazdu i wymownie skrzyżował ręce na piersi. Patrzyli na siebie z pochylonymi głowami, jak dwa byki gotowe do starcia. Kierowca był wyższy i korpulentny, a nade wszystko on tu rządził, toteż drugi mężczyzna ustąpił:

- Dobrze, spróbujmy, ale jeżeli któraś zdechnie, zapłacisz mi za to.

Kierowca otworzył bagażnik i zaczął w nim przesuwając rzeczy z boku na bok, gniotąc tobołki i wyrzekając głośno. Kilka minut później bez słowa wskazał drzwi autobusu. Rolnik wszedł z klatką przyciśniętą do piersi i usiadł w ostatnim rzędzie.

Już mieli ruszać, uruchomiony silnik wprowadził cały pojazd w drgania, kiedy zza rogu wybiegł jakiś chłopak. Spod płaszcza wystawał mu kawałek niebieskiego fartucha sprzedawcy.

- Chwileczkę! Gazety!
- Czekales, aż zapalę czy co? Już powinienem być w drodze.

– Przepraszam – wysapał młody ekspedient.

Kierowca wstał, żeby mu rzucić owinięty sznurkiem pakiet czasopism, które przewoził na jednym z przednich siedzeń. To samo robił w każdej wsi, w której się zatrzymali do tej pory. Na wierzchu rozmaitych publikacji Ana dostrzegła ostatnie wydanie „El Caso”. W jej głowie rozwinęła się mapa kraju pokrytego siecią dróg; szosy krajowe jak główne żyły i tętnice rozgałęziały się na cieńsze, regionalne drogi, a następnie na cieniutkie włościanki docierające do każdej, najbardziej odległej wioski. Ana wyobraziła sobie mapę oraz towarzyszący jej podpis w rolniczym duchu, do którego wykazują upodobanie liczni dziennikarze związani z reżimem: „Artykuły Any Martí orzą Hiszpanię”. Nie. Poprawiła się. Artykuły Sabina Rivasa i Papużki Martíneza – z jej pseudonimami.

Ana Martí podróżowała nie tak wygodnie jak jej artykuły. Znaczną część drogi przebyła, trzymając się mocno przedniego siedzenia, żeby się nie obijać o okno autobusu podskakującego na niezliczonych wyrwach, które znaczyły jezdnię jak ślady po ospie. Choć miała poważne wątpliwości, ufała, że Enrique Rubio znów się nie myli i ostatecznie sprawa okaże się warta swej ceny.

Kilka kilometrów dalej zaczęli się zagłębiać w góry otaczające Maestrazgo. Autobus brał zakręt za zakrętem, prawie nie zwalniając. Zbocza były coraz bardziej strome i od czasu do czasu pojazd zbliżał się do czegoś, co wyglądało na skraj skalistego urwiska. Ana przypomniała sobie kolejkę, którą jej brat Ángel bawił się w ich ogromnym rodzinnym mieszkaniu przy Paseo de San Juan przed wojną; wagoniki wypadały z szyn i przewracały się na pole, jeżeli weszły w zakręt na zbyt dużej prędkości. Mieszkanie stracili, kiedy ojca dotknęły represje ze strony reżimu. Nie wiedziała, co się stało z miniaturowym pociągiem. Może zachowała go matka, na pamiątkę po Ángelu, a może rodzice musieli sprzedać zabawkę, jak tyle innych drogich sercu rzeczy.

Dziki krajobraz pociągał Anę i jednocześnie odstraszał. Nie mogła oderwać wzroku od urwistych wąwozów, oddzielonych od szosy jedynie zdecydowanie zbyt niską barierką, i oddychała z ulgą na odcinkach, gdzie droga biegła po płaskim terenie, wśród zarośli wystających nad cienką warstwę śniegu. Jednak wkrótce potem otworzyły się kolejne przepaście. Szczeliny widniejące w skalnych ścianach były pełne lodu, którego słońce nie zdołało stopić. Szczyty pasma górskiego Gúdar całkowicie pokrywał śnieg.

By się rozerwać, Ana postanowiła nawiązać rozmowę z kobietą siedzącą z przodu po przeciwnej stronie przejścia. Może mogłaby jej wskazać, gdzie znajduje się gospoda, w której zgodnie z radą Rubia miała się zatrzymać.

Ze swojego miejsca Ana widziała bladą rękę pasażerki spoczywającą na wełnianej spódnicy. Przeniosła się na siedzenie z brzegu i powiedziała, kierując się do przodu.

– Przepraszam.

Kobieta odwróciła jasną twarz o delikatnej skórze. Zmarszczki otaczające jej małe oczy w kolorze rodzynek podpowiadały, że to osoba po czterdziestce.

– Przepraszam. Nie wie pani, czy daleko jeszcze do Las Torres?

– Jeżeli Felipe nie będzie musiał zabierać wielu pasażerów, niecałe dwie godzinki.

Kierowca nie tylko zatrzymywał się i czekał na pasażerów w każdej miejscowości, lecz także na środku drogi, by przyjąć albo wysadzić podróżnych. Kiedy wkładał coś do

bagażnika lub z niego wyciągał, zawsze zostawiał otwarte drzwi. W środku powietrze było ciężkie od woni ciał, oddechów, butów, które wcześniej stąpały po oborniku, kurzych odchodów, a także dymu papierosów palonych przez mężczyznę, który – ku przerażeniu Any – rozmawiał z kierowcą przez cały czas, jaki spędził w autobusie. Otwarte drzwi pozwalały przewietrzyć wnętrze, ale wpuszczały lodowaty chłód. Jeszcze dwie godziny, już zbliża się koniec długiej podróży, która zaczęła się w Barcelonie w pociągu jadącym do Castellón – tam Ana przenocowała w pensjonacie i rano wsiadła do autobusu zmierzającego do Teruel przez Las Torres.

– A więc jedzie pani do Las Torres? W takim razie pewnie zatrzyma się pani w gospodzie Aurelii Anglady, tak?

Ana nie musiała zadawać pytania, nieznajoma od razu opisała jej drogę. Potem popatrzyła na jej ubranie i zagadnęła:

– Pani z miasta, prawda?

– Tak, z Barcelony.

– Z Barcelony – powtórzyła kobieta i spojrzała wyczekująco.

Ana zrozumiała, że współpasażerkę ciekawi, co tam zamierza robić, i rzekła:

– Jestem dziennikarką.

– No proszę! Czyli to prawda!

W tym momencie autobus wpadł w wielką dziurę i Ana ledwie zdążyła się złapać siedzenia przed sobą, żeby nie wylecieć z miejsca.

– Słucham?

– Chciałam powiedzieć, że to prawda, że przyjedzie ktoś z gazety z powodu Isabelity. – Pasażerka zawahała się przez chwilę. – Tylko że nikt nie spodziewa się kobiety. No cóż, wiadomo, że w mieście jest inaczej niż u nas.

Z nachylenia kącików jej ust Ana wywnioskowała, że „inaczej” niekoniecznie oznacza „lepiej”. Zignorowała to i zapytała z uśmiechem:

– Zna pani Isabel?

– No jasne! Dziewczynka od Castánów. Jej matka jest kuzynką w drugiej linii mojego szwagra.

Kobieta zamilkła. Może właśnie przypomniała sobie, że ma przed sobą dziennikarkę, i zastanawiała się, co powinna powiedzieć. Ana wołała się nie odzywać. „W takich wypadkach dyskretne milczenie wywołuje u rozmówcy większe zaufanie” – pomyślała. Ponadto mogła liczyć na zakłopotanie, jakie powodują zbyt długie przerwy w wymianie zdań – do tego stopnia, że popychają ludzi do mówienia, byle tylko zagłuszyć kłopotliwą ciszę. Tak było i tym razem; wkrótce kobieta zaczęła wyjaśniać:

– Jest jak mała święta, z tą anielską twarzyczką i opadającymi na plecy kasztanowatymi włoskami. Raz poszłam do Las Torres na niedzielną mszę tylko po to, żeby ją zobaczyć.

– A stygmaty, widziała je pani?

Kobieta wbiła w Anę wzrok, jakby się chciała upewnić, czy rozmówczyni zrozumie nadzwyczajne znaczenie tego, co zamierza powiedzieć.

– Na mszy. Co za wrażenie! Ta mała cierpi jak nasz Pan na krzyżu. Ale to łaska dana jej z niebios i powinna się cieszyć.

„Tego nas uczą, że cierpienie jest darem i powinniśmy być za nie wdzięczni. Im bardziej cierpisz, tym lepszą osobą się stajesz” – rzekła sobie w duchu Ana.

I jakby tego było mało, cierpienia należy też szukać. Chcąc nie chcąc, pomyślała o matce, o swojej ostatniej wizycie w domu rodziców przed dwoma tygodniami. Po raz kolejny matka dręczyła ją aluzjami do samotnego życia, bez męża, bez dzieci; a tym samym dla niej bez wnuków. Kiedy Ana nie mogła się już powstrzymać i szorstko weszła jej w słowo, matka odpowiedziała:

- Przynajmniej powinnaś mi być wdzięczna za to, że robię coś w tym kierunku.
- Co masz na myśli? Co to miało znaczyć?
- To, że codziennie modłę się do Pana naszego, żebyś w końcu nabrała rozumu.

Poza tym...

- Co poza tym?
- Poza tym zrobiłam pewną obietnicę.

Ana odparła na to gorzko:

- Ile różańców odmawiasz za moje zamążpójście?

Matka posłała jej uśmiech, w którym zadufanie mieszało się z cierpiętniczym poświęceniem i współczuciem dla córki, co sprawiło, że w Anie zagotowała się krew.

- Trzeba czegoś więcej niż zwykłe różańce...

Brakowało tylko, żeby dodała: „w przypadku twojego wieku”. Mając dwadzieścia osiem lat, już wkrótce będzie się zaliczała do kategorii starej panny.

- A więc co robisz?

Uśmiech matki stał się prawie triumfalny. Położyła rękę na udzie, a przez jej twarz przemknął bolesny grymas. Potem znowu się uśmiechnęła. Ana zrozumiała i zareagowała w sposób, którego od dawna starała się unikać w domu rodzinnym: wyszła, trzaskając drzwiami i zostawiając za nimi matkę umartwiającą się noszeniem na nodze drucianej włosiennicy w intencji, by córka wreszcie spotkała mężczyznę i wyszła za mąż.

Może zakładała ją od czasu, gdy Ana rozstała się z Pablem, czyli już od dwóch lat.

Po raz ostatni widziała się z nim zeszłego roku. Przypadkowo, w parku Cytadeli. Od tamtej pory już nie zaglądała do tego miejsca. Zobaczyła Pabla zbyt późno i już nie mogła uniknąć spotkania. Nie rozpoznała go od razu z powodu dziecięcego wózka, w którym wiózł roczną córeczkę na spacer. Roczna córeczkę.

- Pośpieszyliście się – powiedziała do niego.

Było to coś więcej niż spostrzeżenie i Pablo tak to odebrał. Nie odezwał się, ponieważ było prawdą, że po rozstaniu z nią na nowo ułożył sobie życie z zawrotną prędkością. W ciągu roku ożenił się z Enriquetą Bofarull, dobrą partią, i o ile Any nie zawodziły rachunki – a była pewna, że dobrze policzyła – wkrótce potem urodziła się im córeczka. Było więc jasne, że poznał kobietę bardziej odpowiednią do swoich oczekiwań, niepracującą, taką, z którą mógł założyć rodzinę, tak by zajęła się nim i dziećmi.

Początkowo, gdy się poznali w skrajnie niebezpiecznej sytuacji, wszystkie dzielące ich różnice zeszły na drugi plan. Jednak powrót do normalności położył kres ich związkowi. Podziw, jakim niewątpliwie Pablo darzył Anę ze względu na jej determinację i dzielną postawę, nie mógł przeciwważyć faktu, że poszukiwał innego rodzaju towarzyski życia.

Wyraził się na ten temat jasno:

– Nie chcę, żeby moja żona pracowała.

Ana równie wyraźnie określiła swoje poglądy:

– Nie chcę ani nie mogę żyć bez pracy.

Kiedy pozycja Any w „La Vanguardii” stawała się coraz trudniejsza, nie znajdowała u Pabla nic, jak tylko pozornie niewinne argumenty powtarzane za tymi, którzy chcieli się jej pozbyć z redakcji. Dokładnie w tym momencie, gdy postanowiła zrezygnować z zatrudnienia w gazecie, aby nie zaszkodzić Mateowi Sanvisensowi, Pablo poprosił ją o rękę. I to był koniec.

Nie wyjaśniła nikomu swoich powodów, a chorobliwą ciekawość krewnych znosiła ze zwyczajowym stoicyzmem, którym popisywała się zwłaszcza na każdym spotkaniu z rodziną ze strony matki. Udało jej się nawet zachować spokój, gdy jedna z kuzynek, robiąc aluzję do pokrewieństwa, jakie łączyło Anę z Pablem – co prawda dalekiego, ale jednak – rzekła:

– Tak chyba jest lepiej, ponieważ moglibyście mieć upośledzone dzieci.

Dla matki była to jednak katastrofa. Jej córka rozstała się z obiecującym adwokatem, żeby dalej ciągnąć – jak matka to określała – te „dziennikarskie mrzonki”.

– Dziennikarzem miał być twój brat. Ale go nam zabili. Zostaw to.

Gniew, jaki Ana nadal odczuwała po tamtych słowach matki, zapewne odbił się na jej twarzy, ponieważ pasażerka autobusu zapytała ją z pewną nieufnością:

– Nie jest pani jedną z tych miastowych, co to przyjeżdżają, żeby się z nas naśmiewać?

Pośpiesznie zapewniła ją, że nie, że wręcz przeciwnie, i powtórzyła kilka razy słowo „szacunek”, złoścąc się na siebie o to, że zatraciła się w rozmyślaniach.

– Wie pani, od jak dawna dziewczynka ma stygmaty?

– Pojawiły się przed Bożym Narodzeniem – odrzekła kobieta po pewnym namyśle.

Nie miała do Any zaufania.

– Widziała pani, jak krwawią?

Znów chwilę milczała, zanim odpowiedziała:

– Tak, ale najlepiej by było, gdyby zapytała pani o to don Benita, proboszcza w Las Torres. On pani wszystko wyjaśni znacznie lepiej niż ja.

Uśmiechnęła się przepraszająco i odwróciła z powrotem do przodu.

Kobieta dobrze obliczyła czas podróży. Jeszcze przez dwie godziny jechali szosą regionalną, po czym skręcili do wioski. Las Torres przycupnęło na wzniesieniu pośród najwyższych gór. Miejscowość składała się z siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu domostw, ponad którymi dominowała kwadratowa dzwonnica. Bładoczerwone dachy tu i tam poznaczone były resztkami śniegu, poszarzałymi w gasnącym świetle zmierzchu. Za wioską góra zdawała się wznosić prawie pionową, nagą ścianą, która dalej ustępowała ciemnemu kożuchowi sosen. W oddali ośnieżone górskie szczyty rozmywały się wśród chmur w przedwieczornej szarówce.

Stojąca przy wjeździe do wsi tablica drogowa, zapewniająca Anę, że wreszcie dotarła do Las Torres, była na wpół przeżarta przez rdzę, która nadgryzła także jarzmo i strzały tworzące symbol falangistów. Kiedy autobus gwałtownym skrzętem skierował się

na główną ulicę, Ana zauważyła, że nie tylko tablica wjazdowa, lecz także cała miejscowość ma za sobą lepsze czasy. Najwyraźniej upłynęło wiele wody, odkąd ostatnio odświeżano fasady budynków, a większość okiennic prosiła się o malowanie. Na ulicy było mało latarni, niektóre sprawiały wrażenie, jakby się lada chwila miały zwalić.

Autobus zatrzymał się na okazałym placu z fontanną o trzech strumieniach wody. Ana wstała, rozprostowała zdrętwiałe nogi i pożegnała się z kierowcą, a on odpowiedział jej skinieniem głowy. Wsiadła z pojazdu przedostatnia. Kobieta, z którą wcześniej krótko rozmawiała, dotarła do swojego celu kilka przystanków wcześniej. Autobus oddalił się z właścicielem kur jako jedynym pasażerem.

Ana odetchnęła głęboko czystym, zimnym powietrzem. Owinęła sobie szyję szalikiem i założyła rękawiczki. Słońce, które świeciło przez cały dzień, zdążyło roztopić część śniegu, jaki zapewne wcześniej pokrywał cały plac. W miejscach, gdzie brakowało bruku, utworzyły się małe bajorka, jakby ją chciały zachęcić, by sobie ubłocila stopy w myśl słynnej maksymy Rubia. Zerknęła w dół i ucieszyła się, że zamiast nowych cienkich skórzanych butów podszytych futerkiem ma na nogach grube wełniane skarpety i stare trapezy z czasów górskich wycieczek, porządnie wypastowane przed podróżą.

– Ubierz się ciepło.

Jeśli chodzi o stopy, posłuchała ostrzeżenia najdosłowniej.

Wzięła walizeczkę, w której miała ubrania na kilka dni, jakie zamierzała tu spędzić. Nie było tego wiele. Uśmiechnęła się. Upchnęła rzeczy w torbie z co najmniej taką samą zręcznością jak Grace Kelly w *Oknie na podwórze*, chociaż miała do zapakowania znacznie więcej niż zwiewną koszulkę nocną i pantofle, które wystawały z torebki aktorki w scenie filmowej, z niewyjaśnionych przyczyn niewyciętej przez cenzurę.

Chciała jak najszybciej dotrzeć do gospody, żeby noc nie zastała jej na zewnątrz, ale dziesięć minut później znowu znalazła się na placu. Poszła według wskazówek kobiety z autobusu, nie trafiła jednak na ulicę José Antonio. Nie spotkała w uliczkach nikogo, kogo mogłaby zapytać o drogę. Tymczasem już się ściemniło. Opustoszały plac oświetlała samotna latarnia. Ana zatrzymała się i nasłuchiwała. Jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał jej uszu, było skrzypienie poruszanych wiatrem gałęzi drzewa rosnącego na środku placu. Drzwi i okna wszystkich domów były zamknięte, gdzieniegdzie błyskał promień światła. Wtem Ana usłyszała odgłos otwieranych drzwi i brzęczenie dzwoneczka. Odwróciła się w tamtą stronę. Z jednego domu wyszła jakaś kobieta i Ana zdążyła dostrzec, że w środku prawdopodobnie jest sklep. Kobieta oddaliła się tak szybko, że nawet jej nie zauważyła, a tym bardziej nie dała Anie szansy, by się do niej zbliżyła.

Ana skierowała się do sklepu i weszła. Był to wielobranżowy sklepik, w którym za małą ladą, na półkach zajmujących całą ścianę piętrzyły się puszki konserw, kostki mydła i torebki ryżu. Na dźwięk dzwoneczka z zaplecza wyszła około trzydziestoletnia kobieta z nożyczkami w ręce i spojrzała zdumiona. Ana zapytała o drogę do gospody. Sklepowa włożyła sobie nożyczki do kieszeni długiej spódnicy ze spłowiałym kwiatowym wzorem i wyjaśniła, gestykulując za ladą:

– Do domu wdowy Anglada jest bardzo prosta droga. Pójdzie pani ulicą Santa Clara, jakieś pięćdziesiąt metrów stąd w lewo. Minie pani pralnię, potem w lewo i już będzie pani na ulicy José Antonio.

Na tym polegał jej błąd – za pralnią skręciła w prawo.

– Gospoda Aurelii to przedostatni dom przy tej ulicy.

Udzielwszy odpowiedzi, kobieta uznała, że teraz ona może zadać pytanie.

– Zdaje się, że przyjechała pani z daleka. Do Isabelity, tak?

Ana była bardzo zmęczona. W odpowiedzi kiwnęła tylko głową.

– Zobaczy pani, mała święta pani pomoże – powiedziała sklepowa. Przyglądała się przy tym Anie z ciekawością, jakby próbowała wybadać jej dolegliwość.

– Wielu ludziom pomogła?

– Niektórym.

Kobieta spojrzała z matczynym uśmiechem i położyła Anie dłoń na ramieniu.

– Cokolwiek to jest, nie pożałuje pani, że przyjechała.

– Co muszę zrobić, żeby mi pomogła?

– Co pani powiedziec? Przede wszystkim trzeba mieć wiarę. Ale zawsze można dodać trochę od siebie.

– To znaczy?

Ana zbliżyła się zainteresowana, lecz w tym momencie z głębi domu dobiegł męski głos:

– Maria, idziesz czy nie?

Sklepowa uśmiechnęła się przepraszająco.

– Mój mąż. Wybacz pani. Mam coś do zrobienia.

Pożegnała się i pobiegła za zasłonę oddzielającą sklep od reszty domu. Zanim Ana wyszła, usłyszała głos mężczyzny:

– Uważaj. Żebyś mi nie obcięła ucha.

– Dobry wieczór. Czy to pani Aurelia Anglada?

Kobieta, która jej otworzyła drzwi, skinęła głową. Była drobna, miała wypukłe czoło i brwi, które zdawały się narysowane na bladej skórze delikatnym pędzelkiem. W świetle jedynej ulicznej latarni wszystkie jej rysy prezentowały się bardzo delikatnie z wyjątkiem nosa – zbyt wydatnego nad małymi ustami. Orzechowe oczy spoglądały na Anę pytająco.

– Potrzebowałabym pokoju na kilka nocy.

Kobieta bez słowa odsunęła się na bok, aby wpuścić gościa. Jej twarz zniknęła w ciemnym wnętrzu. Gdy Ana weszła, gospodyni raptownie zamknęła drzwi i pchnęła nogą zrolowany koc, którym uszczelniała szparę w progu.

Kiedy oczy Any przyzwyczyły się do słabego światła, dostrzegła, że przypuszczalnie znalazła się w jadalni gospody, zastawionej stołami z surowego drewna. Po lewej na palenisku żarzyły się węgle, rzucając na część pomieszczenia czerwony blask. Po drugiej stronie jedna żaróweczka z trudem oświetlała początek schodów wiodących na piętro.

– Pokażę pani.

Kobieta wskazała schody, wzięła walizkę Any i zaczęła się wspinać. Ciemna spódnica, długa do łydek, poruszała się w rytm kroków, odsłaniając białą skórę gołych nóg ubranych w pantofle na podszwie z plecionej trawy. Ana podążyła za gospodynią na piętro, po czym ta otworzyła drzwi jednego z pokoi i zachęciła ją gestem do wejścia.

Pomieszczenie nie było zbyt duże. Po lewej od drzwi stało łóżko przykryte jasną narzutą. Ścianę po prawej niemal całkowicie zajmowała wielka szafa. Naprzeciwko dwie zamknięte okiennice zasłaniały okno.

– Trzydzieści pięć peset za noc.

– W porządku.

Choćby jej nie pasowało, nie miała wyboru.

Kobieta postawiła przyniesiony bagaż na podłodze. Ana spróbowała wyciągnąć z niej więcej słów.

– Okno wychodzi na ulicę?

– Tak.

Właścicielka gospody nie mogła być bardziej powściągliwa. Ana porzuciła pomysł wciągnięcia jej w rozmowę i rozejrzała się po pokoju. W lewym kącie dostrzegła umywalnię z miednicą i dzbankiem. Skoro nie ma bieżącej wody, niepotrzebnie byłoby pytać o prysznic. Stojący pod łóżkiem nocnik potwierdził kolejne podejrzenie co do wygod wiejskiego zakwaterowania.

– Ubikacja znajduje się na zewnątrz, w podwórku, po prawej. Może pani wyjść przez kuchnię. Przyniosę ręczniki i wodę, gdyby chciała pani się umyć.

Trzy zdania pod rząd. Ana uśmiechnęła się do niej.

– Świetnie. Bardzo dziękuję. Ładna narzuta.

Kobieta nie odpowiedziała na uśmiech. Skinęła głową i zniknęła za drzwiami. Ana powiesiła płaszcz w szafie i zdjęła ciężkie buty. W pokoju nie było zimno. Położyła rękę na czymś w rodzaju kolumny biegnącej pionowo obok łóżka. Biały tynk był ciepły, zapewne w środku skrywał komin. Wszystko wyglądało na bardzo czyste; zamieciona podłoga, meble bez jednego pyłku kurzu. Ana w skarpetkach podeszła do okna i rozchyliła okiennice. Latarnia świeciła prosto na gospodę Aurelii Anglady, reszta ulicy tonęła w ciemności.

Ana odwróciła się i ujrzała wlepione w siebie błyszczące czarne oczy. Drgnęła z zaskoczenia. I zaraz się uśmiechnęła, widząc, że spogląda na nią zawieszona na ścianie wypchana głowa lisa. Rude futro zwierzęcia obłaziło miejscami, co ktoś próbował zatuszować farbą. Odczuwając infantylną odrazę, przytknęła czubek palca wskazującego do czarnego, pomarszczonego guzika udającego nos. Wpółotwarty lisi pysk zdawał się w nieśmiałym uśmiechu przeproszać za to, że ją wystraszył.

Wypchane zwierzę nie było jedyną ozdobą pokoju. Wzrok Any zatrzymał się na wiszącym po prawej obrazie, reprodukcji Piety. Ana podeszła, przyciągnięta świetlistością ciała Ukrzyżowanego i twarzy jego Matki, wyraźnie widocznych na ciemnym tle. Malarz po mistrzowsku oddał fałdy chusty spowijającej biodra Chrystusa i niebieskiej szaty Maryi, ukazanej jako dojrzała kobieta o matowej skórze, z cienkimi zmarszczkami wokół oczu i nosa oraz opadającymi na czoło posiwiałymi pasmami włosów. Matka z cichym smutkiem patrzyła na smukłe ciało martwego Syna, na wystające żebra i zaokrąglone, śnieżnobiałe ramię zwisającej bezwładnie ręki. Artysta z wielkim realizmem potraktował oblicza i ciała postaci, ale z ranami obszedł się bardzo dyskretnie. Na dłoniach Chrystusa, przez które przeszły gwoździe, zaznaczył jedynie czerwone punkty. Rana w boku była zaledwie cienkim rozcięciem i bardzo różniła się od

głębokiej, krwawiącej dziury między żebrami figury Ukrzyżowanego w kościele Świętego Filipa Neri, która robiła na Anie ogromne wrażenie w dzieciństwie. Raz w roku, podczas Wielkiego Tygodnia, zakrystian odświeżał obraz i w Wielki Piątek krew na rękach, nogach i boku wyglądała tak, jakby dopiero wypłynęła z ran.

Jakie okażą się rany małej Isabel Castán? Zapewne będą fałszywe, jak u tej portugalskiej mniszki. Jednak kobieta w autobusie twierdziła, że krwawią naprawdę. Niewątpliwie posłużono się jakąś sztuczką. Zobaczy następnego dnia. Potem zacznie redagować artykuł i w czwartek wsiądzie w autobus powrotny do Castellón.

Gospodyni zawołała z drugiej strony drzwi. Ana otworzyła. Aurelia Anglada w obu rękach niosła po jednym naczyniu z wodą, a na prawym ramieniu miała dwa porządnie złożone ręczniki. Weszła i z wprawą postawiła obok umywalni parujący dzban, a zaraz potem drugi, zapewne z zimną wodą do pomieszczenia. Ręczniki wyglądały na nieco sprane, ale starannie je wyprasowano. Aurelia wyprostowała się, wygładziła sobie kraciasty fartuch i rzekła:

– Pewnie jest pani głodna.

W tym momencie Ana uświadomiła sobie, jak bardzo zgłodniała.

– Nie wie pani jak bardzo! Cały dzień jestem w drodze. Jazda autobusem ciągnęła się w nieskończoność.

– Tak. Długa podróż. – Nie zmieniając neutralnego tonu, kobieta dodała: – Obawiam się, że nie zostało mi w domu wiele do jedzenia, ale w ciągu pół godziny będę miała coś przygotowane. Jednak jeśli to pani nie przeszkadza, najpierw powinnam panią zameldować. To obowiązkowe.

– Oczywiście.

– Księgę meldunkową trzymam w innym pokoju. Gdyby pani ze mną poszła...

Anę zdziwiło trochę, że właścicielka gospody chce spisać formalności natychmiast. Na ogół w małych miejscowościach nie przejmowano się tak bardzo kontrolowaniem gości.

Podążyła za gospodynią do przyległego pomieszczenia, naprzeciwko schodów – pokoju, który najwyraźniej pełnił funkcję salonu. Miał balkonik również wychodzący na ulicę, małą sofę i stół z grzejnikiem ukrytym pod długim obrusem, a przy nim dwa krzesła. Z boku stało wysłużone biurko, na którym Aurelia otworzyła księgę meldunkową.

– Może mi pani podać dokument tożsamości?

Podczas gdy właścicielka pensjonatu spisywała jej dane, Ana przyglądała się przedmiotom rozstawionym na komodzie, na której królował odbiornik radiowy. Jej spojrzenie padło na zdjęcie umieszczone obok dzbanka z suchym bukietem. Przedstawiało szczupłą, około dziesięcioletnią dziewczynkę w jasnym świątecznym ubraniu. Na szyi miała nieco przekrzywiony łańcuszek, co w połączeniu z lekko opadającą prawą skarpetką składało się na wzruszający wygląd. Duża głowa zdawała się nie do końca pasować do ciała, podobnie jak poważny wyraz twarzy, bardziej odpowiedni dla młodej kobiety niż dziewczynki. Z tyłu znajdowała się na wpół przesłonięta inna fotografia tego samego dziecka w trumnie, z zamkniętymi oczami, ubranego żałobnie, otoczonego kwiatami i świecami.

Gospodyni podniosła wzrok i zauważyła, że Ana spogląda na zdjęcia.

– Moja córka. Zmarła trzy lata temu. Może pani podpisać?

Wskazała miejsce w rejestrze.

Ana napotkała spokojne spojrzenie Aurelii Anglady i siłą powstrzymała cisnące się na usta zdawkowe słowa „przykro mi”. Podpisała i oddała pióro. Kobieta zamknęła księgę.

– Za pół godziny będzie się pani mogła posilić w jadalni.

Aurelia rzeczywiście nie miała w domu zbyt wiele wiktuałów, ale to, co zaproponowała na kolację, było pyszne: duszona jagnięcina z warzywami i przyprawami, których Anie nie udało się do końca rozpoznać. Rozmaryn, trochę czosnku i innych, trudnych do zidentyfikowania ziół. Właścicielka gospody podała posiłek w milczeniu. Entuzjastyczne pochwały Any dla potrawki, chleba i kielbasy skwitowała jedynie lekkim skinieniem głowy.

Po kolacji Ana pożegnała się z gospodynią i wróciła do swojego pokoju. Z wdzięcznością wyciągnęła się na łóżku. Kołdra była trochę twarda, ale nie przeszkadzało jej to. Przypomniała sobie obrzydliwe pokoje o ścianach poplamionych krwią z rozgniecionych przez poprzednich gości pluskiew. Tutaj bielizna pościelowa pachniała czystością. A jednak zamiast pograć się w ciepłe łóżko i zasnąć, o czym marzyła od wielu godzin, Ana zaczęła się wiercić na pościeli. Cisza nie dawała jej spać. W swoim mieszkaniu w Barcelonie zawsze coś słyszała, a to głos jakiegoś sąsiada, a to muzykę z radia, a to bulgot zbiornika z innego mieszkania czy okrzyki ciągnących ulicą pijaków. W tle zawsze pobrzmiwał zgiełk wielkiego miasta.

Tu nie było słyhać niczego, tylko od czasu do czasu z daleka dobiegało poszczekiwanie psa. A z bliska lekkie trzeszczenie, przypuszczalnie rozsycającego się starego drewna. Spojrzała w górę. Ciemne belki przecinały sufit na wysokości dwóch metrów. Gdyby stanęła na łóżku, mogłaby ich dotknąć. Nie żeby miała na to ochotę, wyglądały na najeżone drzazgami.

W pokoju zrobiło się gorąco. Wstała i na chwilę otworzyła okno. Odetchnęła świeżym powietrzem, przesiąkniętym wonią zwierząt i drewna opałowego. Przyjrzała się cichej wiosce i uznała, że jest piękna w tym swoim spokoju. Stała tak kilka minut, aż zimno wepchnęło ją z powrotem do łóżka.

Była wykończona, czuła ciężkość kończyn. Zasypiając, odniosła wrażenie, że nogi oddalają się od niej coraz bardziej. Zamknęła oczy. Z głową leżącą nieruchomo na twardej poduszce pozwoliła sobie zapaść w sen.

Wkrótce potem wyrwał ją z niego jakiś trzask. Otworzyła oczy i dopiero po kilku sekundach przypomniała sobie, gdzie jest. Pokój wydawał się niższy i węższy, przedmioty znajdowały się jakby bliżej. Hałas powtórzył się. Dobiegał z wnętrza na dole, właścicielka zamykała drzwi. Ana usłyszała, że szuranie jej wyplatanych pantofli zbliżyło się do jej pokoju. Gospodyni zatrzymała się na chwilę, po czym ruszyła dalej. Odgłos otwierania i zamykania kolejnych drzwi podpowiedział, że udała się na spoczynek.

Następny hałas sprawił, że Ana odwróciła głowę w prawo, w stronę okna. Jej ciało pozostało ciężkie, nieruchome, tak dalekie, że z przestachu zmusiła się do poruszenia palcami u nóg.

Dźwięk na ulicy zabrzmiał znowu. To wiatr rozchwiał wiszącą na zewnątrz latarnię. Ana znowu spojrzała przed siebie. Rozedrgane światło rzucało na ścianę cień ramy okiennej układający się w kształt krzyża. Ślepią lisa rozbłysły kilka razy, podobnie jak jego zęby, tylko nos pozostał suchy, matowy.

Zmęczone spojrzenie Any powędrowało przez pokój i zatrzymało się na Piecie. Błada skóra spoczywającego Chrystusa przybrała odcień marmurowej bieli. W niespokojnym świetle latarni jego ręce zdawały się konwulsyjnie poruszać, palce drżały, czerwone plamy pulsowały w ostatnich skurczach serca. Rana w boku otworzyła się i zaczęła z niej łagodnie wypływać krew, zaciemniając ciało. Anie oczy się zamykały. Zrobiła ogromny wysiłek, by je otworzyć i znów popatrzeć na obraz. Już nie krwawił. Zasnęła.

Zimno jest formą bólu. Ból, który obudził ją tuż przed świtem, nie przypominał tego znanego z zimowych poranków we własnym domu – wilgotnego barcelońskiego chłodu, o którym wiedziała, że się wciśnie przez pory, choćby się nie wiadomo jak kurczyły, że znajdzie sobie przejście pomiędzy włókienkami mięśni i z radością przeniknie w głąb, by wgryźć się w kości. Teraz wrażenie było odmienne. W każdy milimetr jej ciała wbijały się maleńkie ostrza. Mięśnie zdążyły skamienieć i stwardnieć na kość.

A wszystko to jej wina. Kiedy się kładła spać, nie zamknęła dobrze okna. Lodowate powietrze w pokoju było karą za oddanie się zwodniczym porywom romantyzmu. Wieś nie ma w sobie nic romantycznego, podobnie jak żadnego piękna przyrody. Jest wroga, jak chłód, przez który zamarzła woda w dzbanku, a miednica, którą właścicielka gospody umieściła na umywalni w pokoju, stała się bezużyteczna.

Ana podeszła do okna. By je porządnie zamknąć, musiała najpierw rozchylić oba skrzydła i od nowa wpasować jedno w drugie. Pociągnęła za nie. Zawiasy zgrzytnęły niespodziewanie czysto, wzięwszy pod uwagę pokrywającą je grubą warstwę rdzy.

Powietrze było tak ostre, że wydawało się niezdolne do przenoszenia dźwięków. Dachy i ściany domów z coraz większą wyrazistością odcinały się od tła w świetle dziennym rozlewającym się po idealnie bezchmurnym niebie. Tylko jedna budowla miała na widoku kamienne mury, pozostałe były starannie pobielone. Bita droga poszarzała w lodowatym powietrzu.

Uwagę Any przyciągnęło skrzypnięcie dobiegające z prawej strony. Otworzyły się drzwi kamiennego domu i pojawił się starszy mężczyzna ciągnący za uzdę muła. Skrzydło drzwi składało się z dwóch części: górnej i dolnej. Wyszedłszy, mężczyzna zostawił tę pierwszą otwartą. Wychyliła stamtąd głowę jakaś kobieta i powiedziała coś do niego; Ana nie rozróżniła słów z powodu tupotu zwierzęcia, które niecierpliwie przebierało nogami na utwardzonej nawierzchni. Wtem kobieta zauważyła Anę i pokazała ją mężczyźnie. Oboje spojrzeli w jej stronę. Muł też nagle przestał hałasować. Przewyciężywszy chęć schowania się w pokoju – co by świadczyło o tym, że przyłapali ją na szpiegowaniu – Ana uśmiechnęła się i kiwnęła im głową na powitanie. Odpowiedzieli takim samym skinieniem, ale nie odwzajemnili uśmiechu. Wtedy odsunęła się od okna i zamknęła je mocno. Z zewnątrz dobiegł po chwili odgłos człapania zwierzęcia, gdy przechodziło pod jej oknem.

Skoro nie mogła się umyć, energicznie natarła ciało wodą kolońską, żeby rozruszać mięśnie, i ubrała się. Uśmiechnęła się na myśl, co by na to rzekł ojciec, gdyby się dowiedział. Od małego wpajał im inne zasady czystości.

– Od czasów rekonkwisty w tym kraju uważa się, że mycie się to obyczaj Maurów, i z tego powodu ludzie nie są zbyt przywiązani do kąpieli i pryszniców – mówił Anie i jej bratu.

Codzienny prysznic i czyste ręce przed jedzeniem. Sprawdzał je, zanim zasiedli do stołu; był to prawdziwy rytuał, musieli pokazać najpierw grzbiet dłoni, potem spód, na końcu paznokcie.

Nie myjąc nawet rąk, zeszła na dół i skierowała się do jadalni.

Miała nadzieję, że zastanie rozpalony ogień, ale węgielki zarzyły się tylko dogasającym blaskiem; pokój był zimny i tonął w ciemności. Właścicielka, Aurelia, krzątała się w kuchni. Wczoraj zaoferowała zakwaterowanie z pełnym wyżywieniem, Ana miała nadzieję, że obejmuje to śniadanie na ciepło.

Weszła do kuchni. Aurelia siedziała przy stole i obierała ziemniaki. Na jej widok wrzuciła obierki do metalowego wiadra, które stało obok niej na podłodze, i wytarła sobie ręce w ściereczkę. Miała na sobie robiony na drutach rozpinany ciemny sweter z podwiniętymi rękawami, spod grubej wełnianej spódnicy wystawały gołe nogi. Tak samo jak poprzedniego wieczoru bosa stopy, bez pończoch czy skarpet, tkwiły w pantoflach o wyplatanej ze słomy podeszwie. Ana poczuła dreszcz.

– Dobrze pani spała? – spytała gospodyni.

– Było mi trochę zimno.

– Przyniosę drugą kołdrę. Jest pani głodna? Zje pani kukurydziankę z boczkiem?

Ana kiwnęła głową.

– Nie ma pani kawy?

– Nie. Przykro mi.

– Ale mogłaby pani zaparzyć? Przywiozłam z sobą trochę.

W domu przeczucie podpowiedziało jej, by włożyć do walizki puszkę kawy, ponieważ wyobrażała sobie, że produkt tak poszukiwany i horrendalnie drogi w Barcelonie musi być wielką rzadkością w miejscowości zagubionej w głębi prowincji Teruel. Dobrze zrobiła.

– Prawdziwą kawę?

Była to puszka z resztką kawy, którą ojciec Any przyniósł ze sklepu, gdzie wciąż pracował, choć teraz już tylko do południa. Wieczory poświęcał na pisanie powieści o Dzikim Zachodzie, za które płacono mu ustaloną cenę od sztuki, co w ostatnich latach pozwoliło rodzicom jeść i ubierać się lepiej, ale nie zmienić dzielnicę. „Jeszcze nie” – dodawała matka, nie przestając się łudzić, że w końcu ponownie będą się cieszyć dobrobytem, tak jak przed wojną.

– Kawę z kawy. Jeśli pani chce, możemy przygotować. Dla nas dwóch.

Kilka minut później obie siedziały przy jednym ze stołów w gospodzie. Aurelia dołożyła do ognia w kominku. Aby oddać honory prawdziwej kawie, którą Ana przyniosła ze swego pokoju, gospodyni wyjęła filiżanki z wykwintnej ceramiki, które trzymała w kredensie na piętrze, w pokoju z balkonem.

Kawa sprawiła, że Aurelia nieco się rozgadała. Uśmiechnęła się nawet. Po raz pierwszy.

– Dostałam je w posagu. Nie będę do nich nalewać naparu z cykorii, którą sprzedają w spożywczych. Ani kawopodobnego zamiennika robionego z prażonego jęczmienia. A tych z drzewa świętojańskiego nie chcę nawet wachać w swoim domu. Ta – Aurelia podniosła filiżankę – zasługuje na porcelanę.

Znowu się uśmiechnęła, ale najwyraźniej zaraz tego pożałowała, ponieważ jej uśmiech znikł w mgnieniu oka i zaczęła pić kawę krótkimi łykami, nie odstawiając filiżanki na stół. Blask oczu również nagle przygasł.

By coś powiedzieć, Ana zapytała ją, czy często miewa gości.

– W zimie prawie wcale. Kiedy robi się cieplej, w dni targowe pokoje zajmują handlarze. Mało ludzi tędy przejeżdża, choć czasem zdarza się, że nocują jacyś myśliwi.

Ana rzuciła okiem na wypchane zwierzęta zdobiące pomieszczenie wraz z kilkoma glinianymi dzbanami: dwa ptaki, których nie umiała zidentyfikować, cały lis, coś, co za życia zapewne było wiewiórką, i dwie głowy dzików.

Nie wyglądało na to, by przez gospodę przewijało się wielu klientów. Nie wyobrażała sobie, jak Aurelia radzi sobie, będąc wdową.

– Teraz, ze względu na małą świętą przybywa więcej ludzi. I gotuję też obiady dla miejscowych – dodała, jakby odgadła jej myśli. – A skoro mowa o jedzeniu, zaraz będzie kukurydzianka.

Wypiła ostatni łyk kawy.

– Od jak dawna jej nie kosztowałam! Ale prawda jest taka, że nie wiem, czy dobrze zrobiłam.

– Czemu?

– Nie zasługuję na nią.

– Dlaczego? Jak może pani nie zasługiwać na filiżankę kawy?

Aurelia spojrzała na nią z takim smutkiem, że Ana, skonsternowana, spuściła wzrok. Właścicielka gospody zauważyła to.

– Niech pani nie zwraca na mnie uwagi. Chodzi o to, że człowiek szybko się przyzwyczaja do dobrobytu. Zobaczmy, czy teraz przełknę podrabianą kawę – zmusiła się do żartu.

Sposób, w jaki ludzie stawiają czoło brakowi kawy, pomyślała Ana, pokazuje, że dzielią się na dwa przeciwstawne typy. Z jednej strony są ci, którzy tak się boją pozbawienia tego cennego napoju, że wolą w ogóle nie czuć jego smaku i odrzucają przyjemność wypicia okazjonalnej filiżanki. Z drugiej znajdują się tacy, którzy pomimo większego niesmaku, jaki niewątpliwie wywoła u nich następny kubek wyrobu kawopodobnego, nie wyrzekliby się tego wspaniałego, wyjątkowego momentu. Kiedy Aurelia pojawiła się znowu, niosąc talerz apetycznie pachnącej kukurydzianki, Ana utwierdziła się w przekonaniu, że sama należy do tych drugich osób.

Postanowiła sobie, że postara się jeść powoli, nie jak wtedy, gdy bywa głodna – zachłannie, wielkimi kęsami niczym dziecko. Z jakiegoś powodu czuła, że tu, w wiejskim świecie, reprezentuje miejskie maniery.

W dzbanku była jeszcze kawa. Mimo tego, co Aurelia jej powiedziała, Ana zachęciła ją, aby naląła sobie drugą filiżankę. Właścicielka gospody przyjęła poczęstunek i znów z nią usiadła, tyle że w milczeniu. Wobec jej pełnej rezerwy postawy Ana zachowała dla siebie pytania, które z ciekawości cisnęły się jej na usta – dotyczące wioski, świętej dziewczynki, a zwłaszcza uwiecznionego na zdjęciach dziecka oraz męża, który zapewne też nie żył. Aby przełamać powściągliwość gospodyni, sama zaczęła rozmowę: opowiedziała jej o swojej podróży do Las Torres i porównała tę wyprawę z innymi, które odbyła, przygotowując artykuły dla „El Caso”. Aurelia słuchała uważnie, czasem kiwała głową, ale wciąż nic nie mówiła.

Ana zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć, by przewyciężyć jej

małomówność. Może zagaic coś o życiu w Barcelonie. Czy Aurelia wie, jak to jest jechać metrem? Czy widziała morze? Czy wyobraża sobie żeglowanie? Prawdę rzekłszy, Ana też nie miała pod tym względem doświadczenia, jeżeli nie liczyć kilku rejsów spacerowych z barcelońskiego portu do falochronu. Czy była kiedyś w kinie? Czy chciałaby się czegoś od niej dowiedzieć?

Słowa, które w końcu wyszły z ust gospodyni, nie były ani niczym dziwnym, ani obraźliwym, ale zabolowały ją równie mocno, jak zaskoczyły.

– Jest pani zamężna?

Ana zaprzeczyła ruchem głowy, bo miała pełne usta.

– Ale pewnie ma pani narzeczonego.

– Miałam – odpowiedziała, odkładając łyżkę na talerz. – Nie wyszło dobrze.

Aurelia zrobiła przepraszającą minę i wskazała na talerz.

– Chciałaby pani więcej? Zostało mi trochę w rondlu.

Nie czekając na odpowiedź, wstała, wzięła talerz i zaraz wróciła z drugą porcją kukurydzianki.

– Co pani zamierza dziś robić?

– Najpierw zobaczę się z Isabelitą, a potem skorzystam z okazji, by zrobić kilka wywiadów do reportażu.

– Ale mnie niech pani nie wypytuje.

Ana nie miała takiego zamiaru, jednak teraz, kiedy Aurelia tak się wymówiła, zapragnęła poznać powód.

– To dlatego, że nie mam nic do opowiedzenia – padła odpowiedź.

– Ale jakąś opinię chyba pani sobie wyrobiła, prawda?

– Też nie.

– Widziała pani małą świętą?

– Jak wszyscy, na niedzielnej mszy, ale nie poszłam odwiedzić jej w domu, ani z ciekawości, ani żeby o coś poprosić. O co zresztą miałabym ją prosić? To, czego chcę, nie leży w jej mocy.

– Ale wierzy pani w jej moc?

– Próbuje mnie pani wypytać do wywiadu?

– Nie. Zapytałam z ciekawości.

– Nie wiem. Może i tak, ale przede wszystkim jest mi bardzo żal Isabelity. Na pewno przeżywa straszne męki. Biedactwo.

– Badał ją jakiś lekarz?

Aurelia spojrzała, jakby nie zrozumiała pytania. Wstała od stołu.

– Zostawię panią, żeby zjadła pani w spokoju. Muszę przygotować różne rzeczy.

I wycofała się do kuchni.

Kilka minut później dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi i stukot butów. Ktoś przyszedł. Ana wiedziała już, że do gospody można się dostać od strony podwórza, na które wychodziła kuchnia i gdzie znajdował się klozet. Była tak bardzo zajęta wyskrobywaniem kukurydzianki z talerza, że początkowo nie zwróciła uwagi na dobiegający z kuchni męski głos. Aż w końcu zdała sobie sprawę z tego, że rozmawiają o niej.

- Zaczekaj chwilę, zobaczę, czy już skończyła śniadanie.
- Niech się pani nie martwi, Aurelio, na pewno nie będę się jej narzucać.

Nadstawiła uszu. Męski głos był poważny, mocno modulowany i nienagannie wymawiał słowa.

- Chciałbym się tylko przywitać.
- W takim razie proszę wejść.

Głos pasował do około trzydziestopięcioletniego mężczyzny z twarzą o szlachetnych rysach, chyba nawet zbyt delikatnych, wysokich kościach policzkowych i jasnych oczach – niebieskich, a może zielonych. Ana nie umiała rozróżnić koloru z powodu grubych okularów w szylkretowej oprawce. Głos pasował też do sutanny. Zaraz za księdzem weszła Aurelia, by ich sobie przedstawić.

- Ana, don Benito chce panią poznać.

To był don Benito. Imię w tak niewielkim stopniu przystawało do młodzieńczego wyglądu księdza jak sutanna, którą miał na sobie.

Proboszcz energicznie podszedł do jej stołu.

- Zatem to pani jest tą dziennikarką z Barcelony?

Zdumiewające, jak w jednym zdaniu udało mu się wyrazić tak odmienne emocje. Słowo „dziennikarka” zdawało się ciężkie od rozczarowania, podczas gdy „Barcelona” zostało raczej przeliterowane niż wypowiedziane, i to z wyraźną lubością. Aż za dobrze znała powody tego pierwszego uczucia.

Wstała. Nie wiedziała, jak się należy witać z księdzem. Spojrzała na jego rękę w poszukiwaniu pierścienia, który mogłaby ucałować, i dostrzegła szczupłe, eleganckie palce. Kapłan uniósł dłoń, ale nie grzbietem w górę, tylko aby ucisnąć Anie rękę.

– Myślałem, że przybędzie pan Rubio – rzekł don Benito. – Lub któryś z jego redaktorów.

Jaką minę by zrobił, gdyby się dowiedział, że żaden z tych redaktorów nie istnieje, że wszystko to są pseudonimy?

– Jestem redaktorką „El Caso”, ale piszę pod pseudonimem. Redaktorką i zaufaną asystentką pana Enriquego Rubio.

– Jasne, jasne. Ale sądziłem, że wzięwszy pod uwagę znaczenie tego, co się tutaj dzieje, przyjedzie osobiście. W Madrycie zdawali się tacy zainteresowani...

- Są zainteresowani, może mi ksiądz wierzyć.

Co to powiedziała Beatriz o takich frazesach? Że używa się ich, aby przekonać rozmówcę, kiedy samemu nie jest się czegoś pewnym. Lub gdy się kłamie.

Skoro już zaczęła od półprawd, brnęła dalej:

– Pan Rubio przybyłby z największą chęcią, ale jego małżonka jest bardzo delikatnego zdrowia.

- Rozumiem.

Choć don Benito nadal był rozczarowany, przynajmniej sprawiał wrażenie pogodzonego z faktem.

Usiedli naprzeciw siebie, proboszcz położył dłonie na stole, Ana zrobiła to samo. Aurelia zabrała talerz z resztkami posiłku, którego gość nie zdążył zmieścić do czysta z powodu braku czasu, i wróciła do kuchni.

– Przede wszystkim chciałbym, by pani wiedziała, że jeśli do was zadzwoniłem, to dlatego, że nie podzielam zastrzeżeń, jakie inni wygłaszają ze swych ambon pod adresem „El Caso”.

Nawiązywał do licznych ataków, jakie przypuszczało na nich duchowieństwo uważające, że tygodnik obraża moralność, pisząc o wszelkiego rodzaju występkach. Na szczęście dyrektor generalny w Madrycie, Eugenio Suárez, położył temu kres, wciągając na listę płac kościelnego cenzora. „To na wszelki wypadek, Aneta” – powiedział jej w tej sprawie Enrique Rubio. „Ten Eugenio wie, co robi. Zna ich słabe strony, bo jest jednym z nich”.

– Przeciwnie – ciągnął swoje zagajenie proboszcz. – Uważam, że w rzeczywistości wasze działania są wręcz budujące, ponieważ pokazujecie, że zbrodnia zawsze kończy się karą.

Don Benito zwracał się do Any, nie odrywając od niej wzroku. Mówił żarliwie, wyraźnie wymawiając każde słowo. Na chwilę zamknął oczy, przywołując z pamięci coś, co chciał powiedzieć:

– Wystarczy przypomnieć te znakomite artykuły o dziewczynce męczennicy, Josefinie Vilasece! Tu, w naszej wiosce, śledziliśmy je wszyscy. Proszę spojrzeć. – Wskazał stół w kącie sali. – Tam siedziałem i czytałem na głos teksty. Nie wyobraża sobie pani, ile zbierało się osób!

Josefina Vilaseca, dwunastolatka ze wsi niedaleko miasta Manresa, zmarła w następstwie ran, jakie zadał jej napastnik, gdy próbował ją zgwałcić. Wydarzenie to wywołało wielką sensację. Ana pamiętała je doskonale, ponieważ jej matka – która jak wielu dobrze sytuowanych ludzi kupowała „El Caso” i czytywała go w ukryciu – pochłaniała artykuły Rubia z prawdziwą obsesją. Dziewczynka zmarła w szpitalu w Boże Narodzenie 1952 roku. Pogrzeb przyciągnął tłumy, pokazywano go nawet w kronice filmowej. Później rozwinął się kult małej męczennicy, „katalońskiej Marii Goretti”, jak ją nazywano w prasie, przypisywano jej już dokonywanie cudów.

– Proszę sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy napisze pani o naszej świętej.

Oboje wpatrywali się w kąt jadalni. Nie wiedziała, co widzi don Benito – czy swoje przeszłe, czy przyszłe głośne odczytywanie tygodnika – ale sama wyobrażała go sobie oświetlonego reflektorem teatralnym, czytającego z namaszczeniem dla zachwyconej publiczności. Wtem zwrócił się do niej i zagadnął:

– Robi też pani zdjęcia?

– Tak. Mam w swoim pokoju aparat.

Twarz księdza rozjaśniła się.

– Jeśli to możliwe, chciałabym się z nią zobaczyć jeszcze dziś – powiedziała Ana.

Nie zamierzała zostawać we wsi dłużej, niż to konieczne. Mogłaby wyjechać czwartkowym autobusem i napisać artykuł w swoim mieszkaniu w Barcelonie.

– Powinna pani wiedzieć, że święta normalnie przyjmuje tylko w piątki.

– I nie będę się mogła zobaczyć z nią wcześniej? Rzecz w tym, że mam zaplanowany powrót na jutro rano.

– Prawda jest taka, że wyjątki robi tylko, gdy chodzi o jakąś pilną łaskę.

Jedyne, co Anie przychodziło do głowy, to krótszy i wygodniejszy powrót do

Barcelony, ale nie sądziła, by coś takiego zaliczało się do pilnych łask, jakich miała święta może udzielić swymi rzekomymi mocami. W prawym ramieniu miała zakwasy po silnym trzymaniu się przedniego siedzenia podczas wczorajszej podróży autobusem. Matka, dla odmiany – pomyślała Ana, nie potrafiąc uniknąć sarkazmu – zapewne miałyby długą listę prośb.

– Ale jako że to ja panią zapowiedziałem, nie ma najmniejszego problemu. Wręcz przeciwnie, Isabelita oczekuje nas z radością. Jej matka, Magdalena, już ją przygotowała do pani wizyty.

– Nie wie ksiądz, jak bardzo jestem wdzięczna!

Twarz proboszcza rozciągnęła się w pełnym zadowolenia uśmiechu. Oczy błyszczały mu za szklami okularów. Teraz Ana widziała je dobrze – były zielone.

– Kiedy ruszamy? – zapytała.

– Gdy tylko przyjdzie don Onésimo, alkad⁴. On też będzie nam towarzyszył.

Alkad. Sprawa dziewczynki obdarzonej stygmatami jest bez wątpienia najważniejszym wydarzeniem we wsi. Podczas wizyty Anę będą eskortowali miejscowi dostojnicy. Brakowało jeszcze Gwardii Cywilnej, nauczyciela i lekarza, żeby dopełnić zwyczajowy pochód osobistości.

– Czy we wsi jest lekarz?

Don Benito uśmiechnął się z wyższością.

– Niech pani nie myśli, że nie spodziewałem się tego pytania. W Las Torres nie ma lekarza. Jeżeli ktoś poważnie zachoruje, wzywamy medyka, a w pozostałych przypadkach ludziom pomaga pani Julita, pełni funkcję akuszerki i zna się na ziołach. Ale dla Isabelity nie potrzebujemy nikogo takiego. Kiedy ją pani zobaczy, zrozumie pani czemu.

W kuchni znowu rozległy się głosy.

– Cóż, zdaje się, że przybył don Onésimo.

Aurelia otworzyła drzwi i wpuściła mężczyznę o gęstym, siwym wąsie zwieszającym się nad wąskimi, zaciśniętymi ustami. Alkad zatrzymał się z rękami skrzyżowanymi na piersi i głową lekko przekrzywioną w prawo. Był wysoki, musiał się nieco pochylić, gdy wchodził.

– A więc to prawda – rzekł rozdrażnionym tonem.

Włożył ręce do kieszeni sztruksowych spodni, które – wypchane na kolanach – kontrastowały z marynarką, białą koszulą i krawatem, składającymi się na oficjalny strój, jakby ich właściciel ubrał się do zdjęcia od pasa w górę.

Mężczyzna zrobił krok w stronę siedzących.

– Przysłali nam kobietę. Niech to szlag!

Zaraz przeprosił księdza, lecz nie Anę. Proboszcz pośpiesznie wyjaśnił:

– Pani jest z „El Caso”. Redaktorka i asystentka don Enriquego Rubio.

Ten argument i prezentacja, która zabrzmiała jak treść karty wizytowej, nie zdołały zetrzeć z twarzy mężczyzny grymasu niechęci, ale przynajmniej oficjel porządnie się przedstawił:

– Onésimo Sandoval, alkad tej wsi.

Ana wstała i podeszła do niego z wyciągniętą ręką. Alkad wziął jej dłoń, zrobił

ruch, jakby chciał złożyć na niej pocałunek, ale ostatecznie zdecydował się na krótki, silny uścisk.

Ana miała za sobą mnóstwo przyjęć, w których musiała uczestniczyć z racji wykonywanego zawodu, toteż grzecznościowa formułka wyszła z jej ust automatycznie, jak niektórzy mówią odruchowo „Na zdrowie!”, gdy ktoś kichnie.

– To dla mnie zaszczyt poznać pana, panie alkadzie.

Zdanie to najwidoczniej nie rozproszyło zupełnie jego uprzedzenia, choć zostało przyjęte z zadowoleniem, ponieważ podniósł głowę i spojrzał na Anę otwarcie. Zaraz jednak zwrócił wzrok na proboszcza, który już kierował się do wyjścia ze słowami:

– Teraz, gdy się państwo poznali, możemy ruszać w drogę.

Wyraźnie było mu śpieszno.

– Obawiam się, że nie, don Benito.

– Ależ don Onésimo – odpowiedział ksiądz pobłażliwym tonem. – Będzie pan miał czas porozmawiać z panną Martí po wizycie.

– Nie o to chodzi.

Don Benito już założył kapelusz i zwrócił się do alkada ze źle skrywanym poirytowaniem.

– Nie będzie wizyty – oznajmił don Onésimo.

Zdumienie zatrzymało pełnego energii proboszcza niemal w pół ruchu. Kapłański kapelusz nadał mu wygląd Saturna zastygłego z otwartymi ustami.

– Nie? – tylko tyle zdołał wykrztusić.

– Mówię księdzu, że nie będzie wizyty, została zakazana.

– Zakazana?

– Tak. Przyszedł do mnie Paco Castán, ojciec Isabelity, i przekazał wiadomość, że nie pozwala na spotkanie.

– Ojciec? Za kogo on się uważa, żeby zakazywać...?

– Nie, don Benito. Ojciec nie zakazał wizyty, tylko przyszedł w imieniu don Juliána.

– Don Juliána.

Uwadze Any nie uszło, że były to pierwsze słowa alkada, które proboszcz powtórzył, nie nadając im formy pytania.

– Zakazał don Julián. Czy wyjaśnił dlaczego?

Ksiądz wyglądał na załamane.

– Nie. Paco powiedział mi tylko tyle, że don Julián nie chce, aby pani z „El Caso” zobaczyła dziewczynkę.

Skoro o niej wspomnieli, Ana skorzystała z okazji, by się wtrącić:

– Przepraszam panów, kim jest don Julián?

Obaj na nią spojrzeli. Odpowiedział jej don Benito.

– Don Julián Maestre jest właścicielem dużej części gruntów uprawnych w Las Torres, a także masarni, do której kieruje się miejscowe zwierzęta po uboju.

– Należą do niego też okoliczne lasy, a w nich dużo drewna – dodał alkad.

– I to on decyduje, czy można się zobaczyć z dziewczynką? – upewniła się Ana, nie potrafiąc się powstrzymać od niejakiej zgryźliwości.

– Jest bardzo wpływową osobą – zaczął jej tłumaczyć proboszcz i opadł z powrotem na krzesło.

„Panem i władcą” – pomyślała Ana, ale nie wypowiedziała tego na głos, żeby uniknąć upokarzającego średniowiecznego wydzwisku.

– Nie powiecie mi chyba panowie, że przyjechałam tu z Barcelony na próżno?

– Tego się właśnie obawiam. – Don Benito zdruzgotany potrząsnął głową. – Wszystko na nic, na próżno. Ale moglibyśmy pokazać pani, gdzie będziemy mieli kaplicę.

– Kaplicę? – zapytała Ana.

– Jasne – potwierdził alkad. – Aby ludzie mieli gdzie oglądać świętą i składać do niej prośby. Nie może ich wciąż przyjmować w domu. To niezgodne z prawem. Musi się spotykać z wiernymi w odpowiednim miejscu.

Krzesło don Benita skrzypnęło, gdy ksiądz zerwał się z niego.

– Don Onésimo, oddawanie czci...

– Ale czy nie powinna być martwa, żeby odbierać cześć? – wtrąciła się Ana.

Aurelia, która właśnie weszła do jadalni, przeżegnała się, słysząc te słowa.

– Niech pani nie mówi takich rzeczy.

– Przepraszam. Chodzi mi o to, że zrozumiałam...

– Ma pani całkowitą rację, panno Martí – rzekł don Benito pojednawczo, jednocześnie kierując napominające spojrzenie na alkada. – Wyprzedzamy wypadki. Liczy się łaska, jaka została nam dana z tym dzieckiem, które przymnoży nam darów i miłosierdzia. To powód do radości, Aurelio, nie smutku.

Właścicielka gospody kiwnęła głową, ale wciąż była zaniepokojona.

– Co się stało, don Benito? – spytała.

– Don Julián zakazał pannie Martí widzenia z Isabelitą.

– No nie – skwitowała Aurelia. – Cała ta podróż na nic.

Skarga Any powtórzona przez gospodynię sprawiła, że alkad się ożywił.

– Może jeszcze da się coś zrobić – rzekł.

– Co? – zapytali równocześnie Aurelia i don Benito.

– Może, jeśli porozmawiam z don Juliánem, rozważy swoją decyzję ponownie.

– Tak pan myśli? – tym razem odezwali się jednocześnie Ana i proboszcz.

Alkad wyprostował się i ze stanowczym wyrazem twarzy wysunął do przodu podbródek.

– Oczywiście. Porozmawiam z nim i jestem pewien, że przywiędę go do rozumu.

Proboszcz wahał się między sceptycyzmem a nadzieją. W końcu postawił na tę drugą.

– Wobec tego, don Onésimo, pozostawiam tę sprawę w pańskich rękach. Proszę mnie powiadomić, gdy tylko porozmawia pan z don Juliánem, żebyśmy wszystko zorganizowali.

– Dobrze, w takim razie wracam do kuchni – powiedziała Aurelia, najwyraźniej również przekonana.

– Ja też już pójdę – oznajmił don Benito. – Wzywają mnie obowiązki. Pana także, prawda, don Onésimo?

– Jasne, jasne. Ale ja mogę zostać jeszcze na kilka minut. Z Bogiem, don Benito.

Proboszcz pożegnał się, próbując ukryć niesmak. Wyszedł przez kuchnię. Ale po kilku sekundach pojawił się ponownie, żeby przypomnieć Anie:

– Niech pani nie zapomni o aparacie fotograficznym.

Znów wyszedł. Alkad i Ana stali przez kilka sekund. Bez ruchu. Gdy usłyszeli, że proboszcz opuścił gospodę, don Onésimo zapytał:

– Zrobi nam pani zdjęcia?

– Jeśli sobie panowie życzą...

Uniósł rękę do węzła krawatu.

– Bo widzi pani, skoro już tutaj jestem, może...

Ana zrozumiała natychmiast.

– Proszę zaczekać, przyniosę aparat. Lepiej wyjdźmy na zewnątrz, do naturalnego światła.

Gdy zeszła z powrotem, zastała go w kuchni. Rozmawiał niemal szeptem z Aurelią, która kroїła ziemniaki. Na widok Any umilkli.

– Aurelio, też chciałaby pani zdjęcie?

– Nie, na Boga! – zawołała i przygładziła sobie włosy.

– Na pewno?

– A kto chciałby mnie oglądać?

Mimo wszystko w jej zachowaniu Ana zauważyła odrobinę kokieterii.

– Gdzie powinienem się ustawić? – zapytał mężczyzna.

– Może tam, pod tą białą ścianą.

Przerwał im głos wołający z młodzieńczą chrypką:

– Czeeeeeeść!

– Czego chcesz? – warknął alkad, niezadowolony z najścia nie w porę.

Wyrośnięty chłopak ze zmierzwioną jasną czupryną i zaczerwienioną skórą patrzył na nich oczyma wąskimi jak szparki. Zdawał się uśmiechać, lecz był to tylko mimowolny wyraz twarzy spowodowany wysiłkiem, z jakim zamykał za mocno wystającą żuchwę. Gapił się na nich zdezorientowany. Wydukał coś niezrozumiałego.

– Czego miałby chcieć? – odezwała się Aurelia w jego obronie. – Przyszedł po śniadanie dla don Ignacia. No, chodź, Mauricio, nie stercz tutaj jak głupi.

Ale chłopak zdawał się wbity w ziemię. Z lekko rozstawionymi nogami wpatrywał się w Anę. Widziała, że wyrostek ma zdeformowaną lewą rękę, mniejszą od prawej i wykrzywioną do środka. Teraz uśmiechnął się naprawdę, pokazując małe, przedzielone szczelinami zęby.

– Jaka ładna! – wykrzyknął piskliwie.

Aurelia pacnęła go w kark. Mauricio ocknął się i w nieokreślonym proteście wydał kilka bełkotliwych dźwięków.

– Kto to jest? – spytał ochryple.

– Dziennikarka z Barcelony. Przyjechała z powodu Isabelity.

– Isabeliiiiisieńka, bieeeeeedusieńka – zaśpiewał Mauricio, przeciągając głoski.

– Ten głupek doprowadza mnie do szału – mruknął alkad, gdy tamci dwoje weszli do domu.

Przed obiektywem zupełnie wyzbył się zastrzeżeń, jakby już nie miało dla niego

znaczenia, że aparatem posługuje się kobieta.

Ana jako tło wybrała ścianę jednego z pobielonych domów i dawała swemu modelowi wskazówki:

– Zobaczmy, może niech się pan ustawi nieco z profilu. Nie aż tak bardzo. Teraz dobrze. Proszę na mnie popatrzeć. Mogę panu zadać pytanie? Niech się pan nie rusza, muszę zmierzyć światło. Gdzie będzie się znajdowała ta kaplica? Jeszcze troszeczkę w prawo, z łaski swojej.

– Na terenie, który posiadam w okolicy.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zrobiła drugie zdjęcie? Zatem ten grunt należy do pana?

– Tak. Do mojej rodziny.

– Zobaczmy, może tym razem ujęcie od pasa w górę. Proszę się nieco przybliżyć do ściany. Jak to dobrze się składa, że kaplica będzie stała na pańskiej ziemi! Prawda?

– Mowa. Będziemy mogli nawet otworzyć bar, moja żona i ja.

– Proszę tu patrzeć, z łaski swojej.

Z gospody wyszedł Mauricio z kilkoma koszykami. Zatrzymał się, żeby się napatrzeć. Przede wszystkim na Anę. Uśmiechał się błogo i wciągał powietrze z dziwną lubością.

– Idź sobie! Wynoś się! – krzyknął do niego alkad, wymachując rękami.

Mauricio poczłapał w swoją stronę. Oglądał się jednak na nich co dwa kroki.

– Isabeliiiiisieńka, bieeeedusieńka – zawodził, potrząsając głową.

Stracili go z oczu, gdy skręcił za róg, skąd za chwilę znowu dobiegł jego głos.

– Dokąd idzie? – zapytała Ana.

– Codziennie nosi trzy główne posiłki dla don Ignacia, sierżanta Gwardii Cywilnej.

W ten sposób robi coś pożytecznego. Cóż, teraz ja też muszę już iść. Poszukam don Juliána. Niech się pani nie martwi, na pewno przemówię mu do rozsądku.

Don Onésimo uściskał jej mocno rękę, jakby przypieczętował ubity interes, odwrócił się i odszedł dumnym krokiem.

Jak ładnie pachnie ta pani z Barcelony!

– *Mauricio, idź już, robi się późno.*

– *Tak, ciociu Aurelio. Już idę.*

– *Nieś koszyk blisko ciała, żeby kukurydzianka nie wystygła. Inaczej sierżant się zezłości.*

– *Tak, ciociu. Patrz.*

Dziś sierżant nie zbije mnie za to, że się spóźniłem. Ani za to, że jedzenie wystygło. Ale zbije mnie za coś innego. Zawsze mi w końcu przyłoży. „Jedzenie jest zimne!” „Dlaczego tak się guzdrzesz z nakrywaniem do stołu?” „Rozlałeś wino!” Albo mnie zbije za zdradę. Lanie za zdradę. Tak jak wtedy, kiedy pokazał mi pokój, w którym trzyma broń.

– *Jak ci się podoba to, co tu mamy?*

Bo wiedział, że chcę z nimi iść, z ojcem i innymi ochotnikami. Żeby zabijać partyzantów. Miałem mu powiedzieć, że strzelby są bardzo ładne, kiedy – trach! Walnął mnie i krzyknął: „Niech ci nie przyjdzie do głowy zbliżać się do tych drzwi!”

Zbił mnie tak mocno, że sobie przygryzłem język. Krew mi leciała i w ogóle. Potem naśmiewał się ze mnie, bo nie mogłem porządnie mówić.

– *Nie, psze plana. Nie, psze plana.*

Ale to było niesprawiedliwe. Mówiłem „plana” zamiast „pana”, bo sobie przygryzłem język z jego winy.

I powiedziałem o tym matce. Mama złości się, gdy mnie biją. Ojciec też był wtedy w domu, ale nie chciał iść rozmawiać z sierżantem.

– *Głupszy i tak już nie będzie.*

Matka pokazała mu, że mam sweter cały we krwi. Krwi i ślinie, ale śliny nie było widać, a krew tak.

Ale ojciec popatrzył na mnie w taki sposób, którego bardziej się boję niż bicia. Do bicia już się przyzwyczailem. Wszyscy mnie leją, przyjaciele też. No dobrze, Eugenia nie. I Pili też mnie nie biła.

Sierżant czytał gazety, które mu przyniosłem z autobusu. Przy czytaniu nie rusza ustami. Eugenia mówi, że tak należy czytać. A jeśli ona tak mówi, to musi być prawda. Ja się na tym nie znam.

– *Spóźniłeś się.*

– *Widziałem ją! Widziałem!*

– *Kogo widziałeś?*

– *Panią z Barcelony. Ma aparat i robi zdjęcia. Jest piękna...! Wysoka, wyższa ode mnie i od pana. I bardzo ładnie pachnie. Lepiej niż wszyscy inni we wsi.*

– *Co ty gadasz, półgłówku jeden?*

– *Że bardzo ładnie pachnie.*

– *A skąd wiesz, jak pachną inni ludzie we wsi?*

– *Bo ich czuję.*

– *Obwąchujesz nas? Zwierzę! Bydlak jeden!*

Wiedziałem, że skończy się lanie. Gdy oberwałem, jedzenie rozsypało się po podłodze.

Ana z powrotem weszła do gospody. Palce jej zziębły, ponieważ musiała zdjąć rękawiczki, aby obsłużyć aparat. Aurelii nie było w kuchni. Rozległy się kroki na piętrze. Ana wspięła się do swojego pokoju i zderzyła z gospodynią, która akurat z niego wychodziła.

– Pościeliłam pani łóżko – rzekła.

Opróżniła też nocnik, co Anę dość zawstydziło. Nikt tego za nią nie robił od czasu, gdy przestała być mała. By jakoś ukryć zakłopotanie, zapytała, czy we wsi jest telefon.

– Na poczcie działa rozmównica.

– Gdzie jest poczta?

– W trafice przy placu de San Sebastián.

– Tym głównym?

– Nie, to po drugiej stronie.

Wyszła na ulicę. Na zewnątrz przywitał ją wietrzyk przenikliwy jak stalowe igielki. Skulona skierowała się w stronę wskazaną przez Aurelię. Dotarła do ulicy Głównej – wybrukowanej otoczkami, większymi na jezdni, mniejszymi i ułożonymi w kłosa po bokach.

Skręciła za róg i zobaczyła idące z naprzeciwka dwie kobiety. Przyglądały się jej otwarcie, gdy ją dostrzegły z daleka, a jednocześnie wzięły się pod rękę. W miarę jak się zbliżały, musiała obniżyć wiek, jaki im nadała na podstawie noszonych ubrań: długich czarnych spódnic, grubych wełnianych kurtek i zarzuconych na ramiona chustek. Obie miały włosy niedbale upięte w kok. Minęła się z nimi, a one pozdrowiły ją, nie zmieniając wyrazu twarzy, z poważnymi minami i zaciekawieniem w oczach. Gdy tylko zostawiła je za sobą, zatrzymały się i zaczęły szeptać za jej plecami. Nie dotarło do niej nic więcej jak oderwane słowa, które zrozumiała, ponieważ się ich spodziewała: „dziennikarka”, „Barcelona”, „święta”, oraz chichoty brzmiące prawie dziecinnie. Nie zdziwiłoby jej, gdyby się odwróciła i zamiast dwóch dwudziestokilkuletnich kobiet zobaczyła dwie nastolatki. Ale nie zrobiła tego, tylko szła dalej stromą drogą.

Z centrum wioski podążyła ulicą, która – jeśli dobrze rozumiała wskazówki – kończyła się na placu de San Sebastián. Tu nie było już chodników i jezdni, tylko bita gruntowa droga. Ana rozejrzała się. Zerknęła w boczną ulicę. Z wyjątkiem autobusu, którym przyjechała do wsi, nie zauważyła ani jednego środka transportu. „Jeśli nie liczyć muła dziś rano”, pomyślała.

Plac de San Sebastián był raczej prostokątną wolną przestrzenią, którą zostawiono pośród niskich domów. Nad drzwiami jednego z nich wisiał wyblakły szyld ze słowem „Poczta”. Z boku do ściany przybito drewnianą listwę, na której dziwną mieszaniną liter napisano „Trafika i znaczki”: spółgłoski były duże, drukowane, a samogłoski małe. Nic więcej nie wskazywało na to, że w tym budynku mieści się jakiś sklep – nie było witryny, a zamknięte drzwi z litego drewna nie pozwalały zajrzeć do środka. Ana pchnęła je. Otworzyły się, potrącając wiszący u nadproża dzwoneczek. Weszła i zamknęła za sobą. Znalazła się w słabo oświetlonym pomieszczeniu, do którego blask wpadał tylko przez świetlik nad drzwiami. Pośrodku, dwa kroki przed Aną, znajdował się pusty marmurowy

kontuar. Jedyne zapach zdradzał, że można tu kupić tytoń, ponieważ w zasięgu wzroku nie było żadnego towaru – ani paczek papierosów, ani tytoniowej krajanki, ani zapalek. Może trzymają je pod ladą.

Z głębi domu dobiegły ciężkie, powolne kroki. Pojawiła się bardzo gruba kobieta; szary fartuch, przewiązany na brzuchu, wyraźnie przedzielał jej podłużny tułów na dwie części. Ze sposobu, w jaki patrzyła sklepikarka, Ana wywnioskowała, że wie, z kim ma do czynienia – w jej spojrzeniu nie było zdziwienia, tylko zaciekawienie. Ana wyobraziła sobie, że don Benito w swoim zapale rozpuścił wici o jej przybyciu po całej wiosce. Po powitaniu kobieta została w oczekującej postawie za ladą.

– Pani Aurelia powiedziała mi, że jest tutaj rozmównica telefoniczna.

Sklepiarka skinęła głową.

– Dokąd chce pani zadzwonić?

– Do Barcelony. Pod ten numer.

Przekazała jej karteczkę z numerem telefonu Enriquego Rubio.

– Proszę przyjść za dwie godziny, wtedy panią połączę.

Ana zerknęła na zegarek.

– Wcześniej się nie da?

– Nie. Tak długo trwa łączenie w Teruel.

– Dobrze, w takim razie wrócę za dwie godziny. Mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie znajduje się dom Isabel Castán?

– Chodzi o Isabelitę? Przyjmuje tylko w piątki.

Najwyraźniej nic nie wiedziała o zakazie Juliána Maestrego.

– Wiem. Chciałam tylko zobaczyć dom, żeby zrobić zdjęcie.

Kobieta zmierzyła ją wzrokiem z góry na dół, szukając aparatu, którego Ana nie miała przy sobie. Ana natychmiast poczuła się głupio i dodała:

– Po południu.

Nie bez pewnej niechęci sklepikarka wyszła zza lady, otworzyła drzwi i pokazała ręką, jak dotrzeć do domu Castánów. Ana na odchodnym spytała:

– Widziała ją pani?

– Małą świętą? Jasne.

– Jaka ona jest?

– Wygląda jak anioł. Skórę ma jakby przezroczystą – dodała z zachwytem.

– Widziała pani stygmaty?

– Tak, jasne.

– I naprawdę krwawią?

– Tak – odparła sklepikarka nieco poirytowana.

– To też pani widziała?

Kobieta wróciła za ladę.

– No jasne! Na własne oczy. Powiadomię panią, gdy uzyskam połączenie.

Zamknęła drzwi, nie dając Anie czasu na dalsze pytania ani na pożegnanie.

Pytania o rany dziewczynki najwidoczniej zdenerwowały sklepikarkę. Anie zaś przeszkadzały spojrzenia osób, które mijała na ulicy, zmierzając we wskazanym kierunku. Mówiła sobie, że to na swój sposób normalne, problem tkwił jednak w tym, że tu nie

odbywało się to tak jak w mieście – tutejsi ludzie nie spuszczaali oczu, gdy krzyżowali z nią spojrzenia i wymieniali słowa pozdrowień. Wręcz przeciwnie – zdawało się, że daje im to pozwolenie na obserwowanie jej surowym wzrokiem i bez żadnego skrępowania. Jediną osobą, która przestała się jej przyglądać, był stary obdartus, który mimo zimna stał oparty o mur koło kościoła, ale oderwał od niej wzrok tylko po to, żeby uciszyć towarzyszącego mu psa, ponieważ zwierzę zawarczało, kiedy pozdrowiła właściciela.

Dom Isabel Castán stał po drugiej stronie ulicy Głównej, w grupie budynków niższych i prostszych niż te z przeciwnej strony, gdzie znajdowała się gospoda. Mimo że na ulicy nie było nikogo, Ana wciąż czuła się obserwowana, dlatego udawała, że ogląda dom pod różnymi kątami, jakby szukała najlepszego miejsca do zrobienia zdjęcia drzwiom, które niczym się nie różniły od tych z pozostałych domostw: kamienne nadproże i drewniane skrzydło zniszczone przez wiatry i deszcze. Zaskoczyło ją, że nic – ani wianki, ani religijne obrazki – nie wskazywało na to, że mieszka tutaj dziewczynka obdarzona stygmatami. Tylko kilka brudnych woskowych zacieków na pierwszym stopniu przed wejściem. Podeszła do drzwi i zauważyła, że też są zachlapane woskiem. Wywnioskowała, że osoby oczekujące na spotkanie ze świętą stoją tu z zapalonymi świecami. Przez chwilę kusiło ją, by zapukać, ale przypomniała sobie zakaz tego całego don Juliána, którego alkad miał namówić do pozwolenia na wizytę. Lepiej załatwić sprawy po dobroci, nie lekceważyć miejscowych. Oddaliła się. Podniósłszy wzrok, dostrzegła lekki ruch w oknie na piętrze przyległego budynku. Nie widziała nikogo, ale rozkołysana firanka zdradziła, że przed chwilą ktoś stamtąd spoglądał na zewnątrz. Rozmyślając o wszystkim, co się wydarzyło, podążyła w dół ulicy. Dlaczego don Julián nie zezwolił na jej spotkanie z dziewczynką? Nie mogła sobie wytłumaczyć, że ściągnęli ją tu z daleka, a wyjedzie z pustymi rękami. Choć tak na dobrą sprawę wezwał ją proboszcz, nie don Julián. Jakiegokolwiek miał powody, było oczywiste, że posiadacz ziemski nie podziela chęci nagłośnienia sprawy małej świętej z Las Torres.

Bez konkretnego celu poszła znowu ulicą główną i dotarła do końca. Maszerowała różnym krokiem i wkrótce znalazła się za miejscowością. Jako że nie miała nic do roboty aż do wyznaczonej pory połączenia telefonicznego, skierowała się w pnącą się z boczem drogę obsadzoną bukszpanowym żywopłotem. Po jakichś dwustu metrach dostrzegła długi mur i jednokondygnacyjny budynek. Kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że to cmentarz – ogrodzony prostokątny obszar, nad którym ponad mur wyrastały dwa cyprysy. Zajrzała przez furtę z kutego żelaza uformowanego w wymyślne wzory, ale przeżartego przez rdzę. Od wewnątrz w murze ciągnęły się nisze grobowe, uszeregowane w rzędach po cztery. Pośrodku dominowało białe mauzoleum, którego wejścia strzegły dwa anioły uzbrojone w miecze. Dookoła bez szczególnego porządku stały kamienne krzyże znaczące pochówki podziemne. Ana przypomniała sobie swoją starą awersję do cmentarza, którą tłumiała siłą podczas wizyt wymaganych przez pracę, gdy musiała uczestniczyć w pogrzebach, aby je później opisać, a pewnego razu nawet przyglądała się, z rozsądnego oddalenia, prymitywnej autopsji na wiejskim cmentarzu.

Podążyła dalej, lecz zaraz drogę przecięła jej przepaść. Trakt prowadził wprost na nią – zdawało się, że był tutaj, zanim jakiś olbrzym wyrąbał w ziemi dziurę, tnąc toporem. Ana zawróciła. Kiedy mijała cmentarz, znów zatrzymała się przy furcie. W tym

momencie otworzyły się drzwi budynekczku i ukazał się w nich szczupły mężczyzna, dość niski, w koszuli z rękawami.

– Co pani tu robi? – zapytał, krzyżując ręce na piersi.

– Nic. Tylko patrzę.

– Co chce pani zobaczyć? Tutaj są tylko zmarli.

– Wyobrażam sobie, ale mimo to mogę patrzeć, nie?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Przez szparę w otwartych drzwiach wychyliła się mała głowa o rozczochranych ciemnych włosach.

– Schowaj się, mały, bo jest zimno.

Ale chłopczyk wciąż patrzył szeroko otwartymi oczyma.

– Nie wchodź. Jak im będziesz przeszkadzać, przyjdą do ciebie w nocy – powiedział.

– Wracaj do domu, mały.

Ojciec popchnął go, ale nie spuszczał przy tym oczu z Any.

– Wychodzą w nocy, tato, ja ich słyszę.

– Co ty tam słyszysz? Chowaj się, ale już!

Chłopiec ani nie posłuchał, ani nie przestał mówić.

– I śpiewają. Słyszać ich w nocy. Śpiewają, a czasami zawodzą jak psy.

Mężczyzna nie odrywał od niej wzroku i najwyraźniej zamierzał stać tak, aż Ana sobie pójdzie. Pomyślała, że lepiej będzie wrócić do wioski. Odsunęła się od furty. Mężczyzna, wciąż nieporuszony, podążał za nią oczyma. Gdy go mijala, poczuła, że wionie od niego alkoholem.

– Niech pani stąd idzie! – rzekł. Nie było w tym groźby, raczej prośba.

Zwolniła kroku i spojrzała na niego. Potem popatrzyła na chłopca, który kiwając głową, potwierdzał słowa ojca. U jego boku pojawił się wyleniały szary kot; on też śledził ją wzrokiem.

– Niech pani wyjedzie z tej wsi. Nie znajdzie w niej pani nic dobrego.

– Tu mieszka potwór... – dodał chłopiec.

Ojciec uciszył go spojrzeniem.

– Chodźmy do środka. Jest zimno – rzekł.

Tylko kot wypełnił polecenie.

Ana nie obejrzała się ani razu, wiedząc zwłaszcza, że wciąż jest obserwowana. Kiedy w zasięgu wzroku pojawiły się pierwsze budynki wioski, wydały się jej prawie przytulne.

Znalazszy się ponownie na ulicy Głównej, skręciła w prawo. Pięć minut później dotarła do ostatniego domu przy tej drodze i zarazem do końca Las Torres. Przed nią rozciągały się rozległe ugory graniczące z oszronionymi zaroślami. Nie chciała się wystawiać na zimno panujące poza obrębem zabudowy. Zawróciła. Skręciła za róg. Ulica Wysokiego Źródła, przeczytała na ceramicznej tabliczce. Poszła nią. Nie dostrzegła żadnego źródła, ale na końcu uliczki jej uwagę przyciągnął okazały dom wznoszący się w jednym z najwyższych miejsc we wsi. Okrążyła wyniosły mur z solidną drewnianą bramą, za którym zapewne znajdował się ogród. Dom zbudowano z jasnego kamienia. Trzy piętra z oknami stylizowanymi na gotyckie oraz herb na głównej fasadzie.

Dwa okna na drugim piętrze były oświetlone. To zapewne siedziba miejscowego możnowładcy, don Juliána Maestrego.

W tym momencie Ana zdała sobie sprawę z tego, jaka jest zmęczona. Może pora wrócić do pensjonatu. Po dziwnym spotkaniu z tamtym mężczyzną i jego synem ucieszyła się ze spokojnej obecności Aurelii w jej domu.

– Udał się spacer?

– Tak. Zapuściłam się poza wieś.

Opowiedziała gospodyni, co usłyszała koło cmentarza.

– To grabarz, ma na imię Jesús. Niech go pani źle nie zrozumie, trochę z niego dziwak, ale nie jest złym człowiekiem.

– Tylko że patrzył na mnie w taki sposób...

– Wie pani, jest nerwowy. To niezbyt odpowiedni zawód dla kogoś o słabych nerwach, wykonuje go jednak zgodnie z rodzinną tradycją, bo nie ma braci. I wyprowadza go to z równowagi. A odkąd wyjechała jego żona, zdziwaczał.

– Zostawiła go?

– Wyjechała, ale wróci. Zabrała córeczkę do Tronchón, gdzie ma rodzinę, i zostanie tam kilka lat. Przyjeżdża co dwa tygodnie, żeby się z nim zobaczyć, i widzi pani, zawsze kupuję od niej ser.

Uniosła ściereczkę przykrywającą ser z dziurą pośrodku, wyglądającą jak krater. Wzięła nóż, odcięła kawałek i podała Anie.

– Jest pani pewnie głodna?

– Prawdę mówiąc, tak.

Nie chciała, żeby Aurelia uznała ją za plotkarkę, dlatego wolała zjeść kawałek sera, nie pytając o powody tego nietypowego układu małżeńskiego. Było jednak coś, co musiała skomentować.

– Ale matka zostawiła tu syna.

– Tak, żeby dalej chodził do szkoły.

Właścicielka gospody odwróciła się do niej tyłem, by wyjąć talerz z kredensu.

– Chłopiec też był trochę dziwny. Wygadywał coś o potworze z cmentarza.

Ciało Aurelii stężało i kobieta drgnęła.

– Coś się stało? – zapytała Ana.

– Aj! O mało nie upuściłam talerza. Był wilgotny.

Nie odwracając się, sięgnęła po ściereczkę i wytarła go nadzwyczaj starannie. Następnie położyła na stole i nie patrząc na Anę, rzekła:

– To normalne, że dzieciak jest trochę dziwny, jeśli dorasta bez matki i mieszka koło cmentarza.

Odwróciła się w stronę paleniska i uniosła pokrywkę rondla.

– Przygotowałam podwójną porcję potrawy dla sierżanta. Proszę skosztować. Mam nadzieję, że pani posmakuje.

Wzięła talerz z powrotem i napełniła go. Potem postawiła go na stole i wyszła z kuchni. Ana zaczęła jeść. Potrawka była ugotowana z solonej jagnięciny z dodatkiem podsmażanych ziemniaków.

Aurelia wróciła po chwili i w końcu spojrzała na Anę, gdy ta zapytała:

- Co to za danie?
- *Somarro*. Smakuje pani?
- Bardzo dobre.

Teraz patrzyła na nią ucieszona.

– Dlaczego sierżant nie przychodzi tu na posiłki? Miałyby wtedy ciepłe jedzenie. Na zewnątrz jest tak zimno, że pewnie wszystko zdąży wystygnać, zanim do niego dotrze.

Gospodyni rozejrzała się, jakby miała innych gości, ale były w jadalni same. Mimo to podeszła do Any i odpowiedziała ściszym głosem:

- On nie chce się bratać z ludźmi ze wsi.
- Czemu? – rzuciła Ana, po czym włożyła sobie kawałek ziemniaka do ust. Może jej zadowolona mina podczas jedzenia zachęciła Aurelię do dalszego mówienia.
- Nie jest stąd. Mieszka tu u nas od lata. To Kastylijczyk, z Burgos.
- Przecież to nie powód, żeby nie usiąść z kimś do stołu, nie?
- Może i prawda, ale on mówi, że nie przyjechał tu szukać przyjaźni, tylko żeby wykończyć ostatnich partyzantów.

Ana w milczeniu kiwnęła głową. Strefa Maestrazgo, słabo zaludniona z powodu nieprzystępnego, miejscami nieprzebytego terenu, należała do tych obszarów, na których partyzantka zakorzeniła się najbardziej, chociaż zdawało się, że w ostatnich latach zanika, zaciekle ścigana przez Gwardię Cywilną i zbrojnych ochotników.

Aurelia ciągnęła wątek:

- Wysłano go tu, żeby stanął na czele ochotników, bo zdarzały się różne wybryki...
- Ana mogła sobie wyobrazić, co gospodyni ma na myśli. Również podczas wojny wielu skorzystało z okazji, by osobiste porachunki spłukać krwią.
- Dużo osób należy do ochotników?
- Z każdej rodziny co najmniej jeden mężczyzna. Był nawet jeden od Tellów, Domingo, ten, co zrobił wojnę w porządnym stronnictwie, ale mówi się, że jego brat, Fermín, należy do partyzantów. Choć mnie się wydaje, że to raczej zwyczajny zbir.
- W takim razie czy jacyś ludzie z Las Torres są w partyzantce?
- Tak mówią. Opowiadają też, że widziano Manuela Santosa, który też jest stąd, ale moim zdaniem jakiś czas temu wyniósł się do Francji, o ile nie umarł. Może dlatego don Ignacio twierdzi, że nie chce się bratać. Choć tak na dobrą sprawę, żeby się zalecać do starszej córki piekarza, też trzeba się bratać, nie sądzi pani? – dodała złośliwie i zaraz zasłoniła sobie usta ręką.
- Z powodzeniem?
- Dziewczyna jest już niemłoda. Miała konkurenta, ale zmarł na tężec, bo zranił się zardzewiałym żelazem podczas orki. Dlatego pewnie przyjmie zaloty sierżanta. Tylko rodzice nie są zbyt przekonani. On jest obcy. Widzę, że pani smakowało. Chce pani dokładkę?

Choć Ana była już najedzona, z tonu gospodyni wywnioskowała, że oczekuje potwierdzenia. Był to sposób na spędzenie wolnego czasu, zanim będzie mogła porozmawiać z szefem. Aurelia nałożyła jej drugą porcję, na szczęście nie tak obfitą jak pierwsza.

Najwyraźniej gospodyni raz miała ochotę opowiedzieć Anie o tym czy owym,

innym razem żałowała zaś, że cokolwiek zdradziła – jej zachowanie przypominało wahadło. Podając posiłek, odezwała się skruszona:

– Nie powinno się plotkować o takich rzeczach. Don Benito zawsze powtarza, że zjadliwe języki w końcu zabijają swoich właścicieli.

– Ale Aurelio, nie zrobiła pani nikomu nic złego. Ani nie powiedziała nic brzydkiego.

– Może, jednak don Ignacio to władza...

Ana próbowała znaleźć jakieś zdanie, którym mogłaby rozwiązać jej skrupuły. Nie miała okazji. Ktoś zapukał do drzwi i gospodyni poszła otworzyć. Rozległ się głos alkada:

– Można?

– Proszę wejść, don Onésimo – odrzekła Aurelia.

Mężczyzna miał na sobie to samo ubranie, w którym fotografował się kilka godzin temu, ale zdążył je zgnieść jak niedopałek; koszula była pokryta poziomymi zmarszczkami, a gruba marynarka zwisała, jakby jej właściciel, zwracając się do Any, nie tylko stracił ożywionego ducha, lecz także skurczył się na ciełe.

– Bardzo mi przykro, ale don Julián powiedział, że nie.

Ana odłożyła widelec na stół i wstała.

– A czemu?

– Nie wiem. Rozmawiałem z nim w koszarach, na kwaterze sierżanta, bo tam się spotkali. Nie udzielił mi wyjaśnień.

To ostatnie zdawało się go zawstydząć tak samo lub nawet bardziej niż fakt, że poniósł porażkę w przedsięwzięciu, którego z takim zadufaniem podjął się rano.

– Cóż, smacznego. Nie będę się już narzucał.

Skorzystał ze zdezorientowania Any, pożegnał się i pośpiesznie oddalił.

Ana spojrzała na Aurelię. Kobieta zrobiła przygnębioną minę i rzekła tylko:

– Pewnie ma swoje powody.

Wycofała się do kuchni i zostawiła gościa z na wpół opróżnionym talerzem. Ana usiadła i z czystego rozpędu zjadła kilka kęsów, a także po to, żeby nie zostawiać smacznego jedzenia na talerzu. Skąd się bierze brak zgody? Kim jest ten Julián Maestre, by mógł lekceważyć alkada, a nawet proboszcza? Przypomniała sobie swoją rozmowę z Rubiem: „Cuda mają właściciela, Kościół”. Tu najwyraźniej miały więcej niż jednego.

Kolejne pukanie do drzwi rozbudziło w niej nadzieję, że zajdzie jakaś zmiana, że przyznano jej pozwolenie.

W jadalni znów pojawiła się Aurelia.

– To dziewczynka z poczty. Mówi, że ma już pani połączenie.

Ana zerwała się z miejsca.

– Czeka na mnie?

– Nie, już poszła. Ale pani zna drogę, prawda? Niech się pani porządnie okryje.

Chwilę później dotarła do rozmównicy. Przez przejście, które przegradzał kontuar, weszła do maleńkiego pokoiku z aparatem telefonicznym na ścianie oraz fotelem o drewnianych podłokietnikach, a siedzisku i oparciu z wytartego brokatu, przez co wyglądał niczym stary tron. Gruba kobieta o kształtach ósemki zamknęła za nią drzwi. Ana nie usłyszała, by tamta odeszła. Może miała szmaciane pantofle. A może stała

z uchem przyklejonym do drzwi. Ana musiała się przyzwycząić do tego, że jest we wsi przedmiotem zainteresowania.

Opowiedziała szefowi o problemie.

– No trudno. Wracaj. Nawet dziś, jeżeli chcesz. Mogę poprosić, żeby wysłali po ciebie samochód z Castellón.

Jednak w drodze na pocztę podjęła już decyzję.

– Nie, szefie. Nie zrezygnuję tak szybko. Nie odbyłam całej tej podróży po to, żeby mi zamknięto drzwi przed nosem. Będę jeszcze próbować.

Rubio nie odpowiedział. Przez kilka sekund bała się, że połączenie zostało przerwane, lecz wreszcie usłyszała jego głos:

– Tak trzymać! Jak przystało na dziennikarkę „El Caso”. I tak powinno być. Trzeba podążać za wiadomościami.

Zanim wpadł w nadmierną egzaltację, spróbowała nieco pohamować jego zapędy.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Poradzisz sobie. Jestem pewien. Kiedy zdobędziesz informacje, zadzwoń, a ja wyślę po ciebie auto. Fakturę prześlemy Suárezowi.

– Dziękuję, szefie.

– Nie masz pojęcia, jak zimno zrobiło się w Barcelonie! Wczoraj temperatura spadła do pięciu poniżej zera. Mówią, że jutro będzie gorzej! Komunikacja się zrywa.

Nie miała pojęcia, jak zimno zrobiło się w Barcelonie, lecz owszem, wiedziała, jak zimno jest tutaj.

Wyszła na ulicę zdecydowana wystarać się o pozwolenie na spotkanie z dziewczynką. Alkad powiedział, że Julián Maestre znajduje się na kwaterze gwardzisty, czyli w dużym budynku przy wjeździe do wsi – Ana widziała te zaimprovizowane koszary z autobusu. Poszła w tamtą stronę, pełna zapału po rozmowie z Rubiem. Żeby nie tracić animuszu, przypomniała sobie, że dziennikarstwo składa się również z umiejętnego pokonywania trudności, które stoją na drodze do pozyskania informacji.

Żadna z nielicznych osób spotkanych po drodze najwyraźniej nie miała ochoty kierować do niej nic więcej jak krótkie „dzień dobry” i zaciekawione spojrzenie. Ana dotarła do koszar. W oknach świeciło się światło. Zbliżyła się do niedomkniętych drzwi. Weszła. W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo, ale usłyszała głosy dobiegające z pokoju po prawej.

– Skąd ją wzięłeś? – zapytał jakiś mężczyzna władczym tonem.

– Jest moja – odparł drugi.

– Po co ją trzymasz? – dopytywał się pierwszy.

– A niby po co jest strzelba? Żeby polować.

– Gdzież to zamierzasz polować? – W głosie zabrzmiała agresywna zarozumiałość i najwyraźniej onieśmieliła rozmówcę, ponieważ odpowiedział niezdecydowanie:

– Noo... tu i tam.

– Tu i tam. A co udaje ci się ustrzelić tu i tam?

Drugi nie odpowiedział. Pytający nalegał:

– Zobaczmy. Tu sarenka. Tam królik. Może nawet pan dzik.

– Nie. Na dziki nigdy nie polowałem. Przysięgam.

– To dobrze. Ale do kogo należały sarna i królik?

– Do don Juliána.

– A skoro należały do don Juliána i ty je upolowałeś, nie wydaje ci się, że to była kradzież? Jakie jest pańskie zdanie, don Julián?

Człowiek nazwany don Juliánem nic nie odrzekł przedstawicielowi władzy, tylko zwrócił się do myśliwego:

– Ale czemu je upolowałeś, Antonio?

– Bo dzieci były głodne. Mieliśmy zły rok, słabe żniwa, zwierzęta chore...

– A dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie? Czy nie pomagam wam zawsze, gdy jesteście w potrzebie?

– Tak, don Julián. Przepraszam, don Julián.

– Już dobrze, Antonio – powiedział Julián Maestre. – Jeżeli czegoś potrzebujesz, wstąp do mnie i porozmawiamy.

– Dziękuję, don Julián. Przysięgam, że to się więcej nie powtórzy.

– Tego możesz być pewien – rzekł drugi mężczyzna, który nie mógł być nikim innym jak sierżantem Gwardii Cywilnej. – Ponieważ sam zaraz wręczysz mi swoją strzelbę, żebym jej strzegł razem z innymi. Myślałem, że jasno dałem do zrozumienia: nie chcę żadnej broni trzymanej w domach.

– Ale to strzelba mojego ojca, rodzinna i...

– Antonio, nie nadużywaj mojej cierpliwości.

– Nie, don Ignacio. Co mam zrobić, don Julián?

– Dać broń sierżantowi.

– Skoro pan tak mówi.

Ana zrobiła krok w stronę pokoju, w którym znajdowali się mężczyźni. Zanim dotarła do drzwi, otworzyły się inne, po lewej, i wyszedł przez nie Mauricio z dzbankiem wina. Na jego twarzy rozbiła się radość, ale upuścił naczynie i roztrzaskało się na podłodze na kawałki.

– Mauricio! Bydlaku jeden!

W drzwiach po prawej pojawił się mężczyzna w mundurze i trikornie gwardii, tak wysoki, że musiał się schylić w przejściu. Miał szeroki, spłaszczony nos i wygięte nieco na prawo usta, jakby trzymał w nich niewidzialnego papierosa. Ana później mogła się śmiać na wspomnienie sierżanta, lecz w tym momencie – mimo że w pracy często miewała do czynienia z przedstawicielami sił porządkowych – poczuła ukłucie w kręgosłupie na widok funkcjonariusza Gwardii Cywilnej z kciukami zatkniętymi za szlufki, podczas gdy reszta palców bębniła o grubą sprzączkę pasa.

– No proszę! Pani to pewnie ta dziennikarka z Barcelony – rzekł.

Odpowiedział mu Mauricio.

– Tak. Jaka ładna!

Gwardzista trzepnął go mocno.

– Posprzątaj to! – Potem znów zwrócił się do Any: – Czym mogę służyć?

– Powiedziano mi, że jest tutaj don Julián Maestre. Chciałabym z nim przez chwilę porozmawiać.

– Mamy zebranie.

– Tylko że... to ważne.

– Pozwolę sobie w to wątpić. To, co tutaj robimy, owszem, jest ważne i, bez obrazy, dziennikarze to ostatnie, czego potrzebujemy.

Mauricio zgarniał miotłą okruchy dzbanka. Od czasu do czasu oblizywał ubrudzone winem palce i śmiał się pod nosem.

W pokoju po prawej mężczyźni przestali rozmawiać, być może zdziwieni długą nieobecnością sierżanta. Zawołali go.

– Co się dzieje, don Ignacio? – To był głos don Juliána.

– Nic.

Gwardzista zasłaniał przejście, dlatego Ana podniosła głos, mówiąc:

– Don Julián, jestem Ana Martí, z „El Caso”. Chciałabym z panem chwilę porozmawiać.

Wywołany wyszedł.

Był to około sześćdziesięcioletni mężczyzna z bardzo krótko obciętymi siwymi włosami. Policzki i czoło miał pobrużdżone głębokimi zmarszczkami. Spod czarnych brwi ciemne oczy spoglądały na Anę badawczo, z zaciekawieniem, podczas gdy grube wargi napięły się w oczekiwaniu.

– Nie chciałam przeszkadzać, don Julián. Chodzi o to, że...

– Domyślam się, dlaczego pani tu przyszła, ale nie jest to odpowiedni moment, a nawet jakby był, nie sprawi pani, że zmienię zdanie.

– Przyjechałam z tak daleka, żeby napisać ten reportaż.

– Ogromnie mi przykro – zabrzmiało to wręcz szczerze. – Ale nie wydaje mi się to stosowne.

– Tylko że...

– Proszę nie nalegać. I proszę nam wybaczyć, mamy dużo do załatwienia.

Za jej plecami otworzyły się drzwi i weszło jeszcze trzech mężczyzn. Przywitali się z don Juliánem skinieniem głowy.

– Zaczyna się zebranie ochotników – wyjaśnił jej don Julián.

Mauricio skończył sprzątanie podłogi.

– Dalej, Mauricio, nie będziesz się chyba gapić na chmury – pogonił go sierżant.

– Nie patrzę na chmury, tylko na panią.

Gwardzista chciał kopnąć chłopaka. Don Julián powstrzymał go.

– Ależ, don Ignacio, niech go pan nie bije. Jest jak zwierzątko. Mauricio, przyniesiesz nam wina?

– Tak, don Julián.

Sierżant odwrócił się i wszedł do pokoju, gdzie czekali pozostali mężczyźni. Don Julián podążył za nim.

– Do widzenia pani.

Najwyraźniej tego wieczoru frankistowscy ochotnicy urządzali jakąś obławę. Polowanie na partyzantów. Ana wyszła, zostawiając za sobą chełpliwe głosy mężczyzn i pełne zachwyty, głupekowate spojrzenie Mauricio. Przyśpieszyła kroku, by wrócić do gospody. Czuła się bezsilna i upokorzona, „ale nie pokonana” – powiedziała sobie, choć bez takiego entuzjazmu, jakiego potrzebowała.

Aurelia powitała ją w gospodzie.

– Domyślam się, że umiera pani z zimna, dlatego wstawiłam do pokoju na piętrze naczynie z żarem. Jeśli pani chce, może pani tam usiąść.

Ana podziękowała jej za tę uprzejmość. Potrzebowała chwili spokoju, chciała zostać sama i poczytać książkę. Poszła do swojego pokoju i wybrała *Pojedynek w raju* młodego barcelońskiego autora Juana Goytisola, chociaż lektura mogła się dla niej okazać bolesna, jeśli wierzyć temu, co powiedziała Beatriz, pożyczając jej tomik. Dzieci bawiące się w wojnę, zakładnicy okrucieństwa własnych przodków.

– Ale jest bardzo dobra. Ten Goytisolo będzie wielkim pisarzem – oznajmiła kuzynka.

Lepiej zacząć od czegoś mocniejszego, postanowiła. Na później, jako że będzie miała więcej czasu, niż początkowo myślała, zostawiła sobie dzieło Sáncheza Ferlosia, które Beatriz poleciła jej wobec sukcesu jego powieści *El Jarama*. Nosił tytuł *Przygody i wyczyny małego Alfanhuí*.

– Jest zupełnie inna. Powieść łotrzykowska dwudziestego wieku, ale o charakterze fantastyki.

Powinna była wziąć więcej książek. Może jakiś kryminał. W gospodzie nie było nic do czytania, przynajmniej w pokojach, które widziała do tej pory.

Usiadła i przykryła sobie nogi grubymi obrusami stolika grzewczego, wdzięczna za promieniujące spod niego ciepło i za kąt, w którym mogła zostać sama. Pokój nie wydawał się przeznaczony dla gości, raczej dla właścicielki. Zrozumiała ten przywilej jako podziękowanie za kawę. Otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Zjadła skromną kolację i wzorem Aurelii położyła się wcześniej. Nie chciała zostawać sama na dole, żeby nie musieć wspinać się potem do swojego pokoju, przyświecając sobie lampą naftową, ponieważ żarówka na schodach raczej rzucała cienie, niż dawała światło. Ponadto częste mruganie świadczyło o tym, że w każdej chwili mogło zabraknąć prądu, i choćby nie wiedzieć jak zapewniała samą siebie, że ciemność wszędzie jest taka sama, musiała przyznać, że w tym domu, pełnym dziwnych odgłosów i nieznanymi zakamarków, mogły wrócić dziecięce strachy i wygrać z dorosłym rozsądkiem.

Zamknęła porządnie okiennice i okno. Położyła się do łóżka i zauważyła z przyjemnością, że Aurelia umieściła w jej pościeli szkandelę. Ciepło sprowadziło senność. Już po zgaszeniu światła usłyszała za swoimi drzwiami ostrożne kroki, zapewne gospodyni. Szafa w jej pokoju skrzypnęła jakby ją pozdrawiała, a uderzenie wiatru w okno przypomniało, że na zewnątrz mróz szczerzy swoje ostre zęby.

„Rano spróbuję zobaczyć się z Isabelitą, choć mówią, że nie można. Nikt mi nie zabroni rozmawiać z dziewczynką. Potem wyjadę samochodem, który mi obiecał Rubio”. Z tym postanowieniem spokojnie zapadła w sen.

Po śniadaniu, złożonym z dobrze znanej kukurydzianki, Ana wyszła, gotowa porozmawiać z Isabelitą. Maszerowała różnym krokiem, żeby się rozgrzać. Przebiegła ulicę Główną na wysokości placu kościelnego i dotarła do domu małej świętej. Przy jednym z budynków uderzyła ją w nozdrza silna woń obornika. Gdy Ana mijała ten dom, otworzyły się drzwi i wyszła przez nie młoda kobieta poganiająca patykiem ogromną maciorę. Zwierzę próbowało zbliżyć się do Any, by ją obwąchać, ale dziewczyna smagnęła je i świnia podreptała drogą, dyndając wymieniem. Kobieta odwróciła się, żeby spojrzeć na Anę, i Ana wyczuła, że tamta przejrzała jej zamiar, bo kilka razy potrząsnęła głową, zanim zniknęła za rogiem.

Ana stanęła przed drzwiami Isabelity. Nie było dzwonka. Żaden z wiejskich domów go nie miał. Zapukała.

Wydało się jej, że słyszy we wnętrzu jakieś dźwięki. Przyglądała sobie trochę włosy, przywołała na usta uśmiech i czekała. Ale nikt nie otworzył. Znów zastukała. Tym razem w środku nic się nie poruszyło, była jednak pewna, że ktoś tam jest, bardzo blisko, może pod samymi drzwiami. Spróbowała jeszcze raz. Nic. W końcu zrezygnowała. W tym momencie wychwyciła jakiś ruch na piętrze. Podniosła wzrok i skrzyżowała go z pytającym spojrzeniem wychylającej się kobiety. Onieśmielona otaczającą ją ciszą, pokazała na migi, że chciałaby z nią porozmawiać. Kobieta gwałtownie pokręciła głową, po czym zniknęła z okna.

W takim razie nie warto było nalegać.

Oddaliła się od domu z myślą, że będzie musiała znaleźć inny sposób na zbliżenie się do małej świętej.

Kiedy mijała wylot bocznej uliczki, dobiegły ją dziecięce krzyki i śmiechy. Z jednego z budynków wybiegła hurmem grupa dzieci. Ana zrozumiała, że to pora przerwy w lekcjach. Zatrzymała się, żeby popatrzeć.

O framugę drzwi opierał się mężczyzna w szarej marynarce i granatowym szaliku. Podczas gdy skręcał papierosa, czwórka dzieci mówiła do niego równocześnie – gestykulowały zawzięcie i pokazywały jedno na drugie. Nie rozumiała, o co im chodzi, ale domyślała się, że sprawa jest podobna do tamtej sprzed dwudziestu lat, kiedy była mała.

– To Felipe zaczął, proszę pana. Podstawił mi nogę.

– Kłamiesz. To był Javier. I powiedział, że jestem...

Ana dała się ponieść impulsowi i podeszła bliżej szkoły. W tak małych wioskach jak Las Torres była tylko jedna szkoła koedukacyjna, o ile w ogóle była, toteż Ana uznała za prawdopodobne, że jest to nauczyciel dziewczynki. Może pozwoliłby zrobić zdjęcia klasie. W głowie już układały się jej podpisy do fotografii: „Ławka szkolna małej świętej z Las Torres”. „Sala, w której Isabel Castán nauczyła się czytać i pisać”. Potem pójdzie do domu Juliána Maestrego.

Nauczyciel patrzył na nią, gdy się zbliżała. Nie zwracając większej uwagi na dzieci, dokończył zwinanie skręta, włożył go sobie do ust i trzymał w kąciku. Uśmiechnął się do niej i wokół ciemnych oczu zrobiły mu się małe zmarszczki. Ana nie mogła nie zauważyć,

że mężczyzna jest atrakcyjny.

Przedstawiła się i wyjaśniła, dlaczego tu jest. Uśmiech nauczyciela przygasł, ale mężczyzna nie odrzucił jej prośby, tylko zawołał jednego ze starszych uczniów – chłopaka o zmierzwiionych, brudnych włosach i rękach zrogowaciałych od pracy.

– Popilnuj ich za mnie. Spisuj wszystkich, którzy się źle zachowują.

Chłopak skwapliwie kiwnął głową i usadowił się w najwyższym punkcie ulicy, skąd mógł obserwować wszystkich kolegów, a oni z kolei zaczęli już robić do niego prowokujące miny. Miał bardzo długie, szczupłe ręce i nogi. Do nogawek i rękawów doszyto mu kawałki innego materiału, aby dopasować ubranie do rosnących kończyn.

Nauczyciel skinął uczniowi przyzwalająco i razem z Aną wszedł do piętrowego domu. Z zewnątrz dobiegł ich głos chłopca:

– Macie mnie teraz słuchać. Jak ktoś będzie się źle zachowywał, to go zapiszę.

Ana uśmiechnęła się na wspomnienie czasów, kiedy sama chodziła do szkoły – kończyło się to tak, że wszyscy w klasie zdążyli podpaść pilnującemu. Nauczyciel najwyraźniej pomyślał to samo, ponieważ zauważył przyciszonym głosem:

– Obawiam się, że za pół godziny będę miał na liście nieposłusznych całą klasę. – Po czym podał Anie rękę. – Nie przedstawiłem się jeszcze. Miguel Fábrega.

Po uściśnięciu dłoni poszła za nim przez ciemny korytarzyk wiodący do sali, gdzie przywitała ją mieszanina woni palącego się drewna, kredy i niezbyt czystych ciał dzieciaków. Pomieszczenie tonęło w półmroku, ledwie oświetlone słabym zimowym światłem dziennym wpadającym przez małe okna. Nauczyciel przekręcił włącznik i mętny blask trzech starych lamp sufitowych wydobył z cienia sześć rzędów ławek oraz nauczycielski stolik. Ana naliczyła w ławkach trzydzieści sześć miejsc. Nie było tu wesoło ani przytulnie, ale przynajmniej ciepło. W głębi sali stał piec opalany drewnem, a obok niego piętrzył się zapas opału.

– Jako że jestem jedynym nauczycielem, nie możemy rozdzielić uczniów. Dziewczynki siedzą pod oknem. Przedostatnia ławka w ostatnim rzędzie należy do Isabel – wskazał.

Dłonie miał małe i delikatne.

Ana podeszła do drewnianego mebla.

– Mogę?

– Jeśli pani chce.

Usiadła na miejscu Isabel. Jako jedyne było puste. Koleżanka z ławki nie odważyła się zająć wolnej przestrzeni zeszytami, piórami czy łupkową tabliczką.

Ana popatrzyła na salę z tego punktu, na rzędy ławek, tablicę i mapę z rzekami i górami Hiszpanii, nad którą wisiał duży krzyż. Po prawej z pobłażliwą surowością spoglądał na klasę Caudillo, z szeroką szarfą generalską na wydatnym brzuchu. Z lewej strony patrzył gdzieś nieobecny oczyma José Antonio Primo de Rivera⁵. Ana odchyliła się do tyłu i poczuła pod plecami twarde drewno.

Nauczyciel opierał się o ławkę dwa rzędy dalej i patrzył na nią wyczekująco. Był od niej tylko nieco wyższy.

Jej niespokojne palce obmacywały brzeg blatu, zdradzając, że chciałaby podnieść klapę. Mężczyzna zauważył to.

– Niech pani otworzy. Nic się nie stanie.

Choć Anie nie podobało się, że przejrzał jej zamiary, dała się ponieść ciekawości. Uniosła klapę i rzuciła okiem do schowka. Kątownica i poplamiona atramentem ekierka, egzemplarz *Encyklopedii* Álvareza i dwa zeszyty. Z boku książeczka z żywotami świętych. Ana wyjęła ją i odkryła pod spodem woreczek z materiału, zawiązany czarną wstążeczką. Poruszyła nim i usłyszała szklany grzechot. Pociągnęła wstążeczkę i wysypała sobie na rękę kulki. Dostrzegła, że jedna z nich ma w środku uwięzioną skazę w kształcie oka. Gdy sama była mała, takie kulki uważano za najcenniejsze. Kocie oczy. Można je było wymienić na co najmniej sześć albo siedem zwykłych. Granie nimi oznaczało czystą prowokację i sprawiało, że na podwórku szkolnym tworzyły się kółeczka kibiców. Wzięła cenną kulkę w palce.

– Powinna tu być jeszcze jedna taka. Isabel była bardzo dobra w grze w kulki i zdobyła kocie oko na jednym z chłopców. Potem już nikt nie mógł go jej odebrać.

Wobec zaciekawionego spojrzenia Any wyjaśnił:

– Klótnie wybuchające przy grze w kulki słychać aż w środku wsi. – Uśmiechnął się. – Poza tym regularnie sprawdzam schowki w ławkach.

Mogła sobie wyobrazić dlaczego. W jej szkolnych latach niespodziewane kontrole znajdowały w uczniowskich ławkach nie tylko ogryzki jabłek czy kleiste cukierki, lecz także lektury, których zakonnice nie uważały za odpowiednie, i z miejsca je rekwirowały. Przypomniała sobie, że pewnego razu wyjęto ze skrytki w ławce szklany słoik z na wpół rozłożonymi kijankami, o których zapomniała jej koleżanka, pasjonatka nauk przyrodniczych, ale roztargniona.

Ana odłożyła kulki na miejsce. Książka o żywotach świętych pojawi się w jej artykule jako jedna z „budujących lektur dziewczynki”, kulki posłużą do tego, by ją opisać jako „dziecko jak wszystkie inne”. Zamknęła klapę i wyjęła z torebki notatnik.

– Niech mi pan opowie o Isabel coś więcej. Jaka ona jest?

Mężczyzna odwrócił wzrok i popatrzył w zamyśleniu przez okno. Potem utkwiał w Anie swoje duże kasztanowe oczy i zaczął mówić:

– Isabel była dobrą uczennicą. Inteligentną i na ogół pilną. To bardzo rozsądna dziewczynka. Lubiła dużo czytać. I fantazjować, miała głowę pełną historii: przeczytanych i wymyślonych.

Uśmiechnął się smutno. Spodobał się jej ten melancholijny uśmiech, a także sposób, w jaki nauczyciel mówił o swej uczennicy.

– Jaki był jej ulubiony przedmiot? Co jej najlepiej odpowiadało?

– Historia i religia. Uwielbiała historie, szczególnie biblijne. Ogromnie się rozczarowała, ponieważ nigdy nie dano jej ważnej roli w jasełkach. Ostatnim razem bardzo chciała być aniołem, ale rolę dostała Paulina, córka alkada, choć, mimo że ćwiczyła wiele razy, zawsze myliła się w tekście.

Ana zrozumiała.

– Czym zajmują się rodzice Isabel?

– Magdalena jest praczką, a Paco, jej mąż, pracuje u don Juliána jako drwal.

Nie są zatem majątni. Domyśliła się tego, oglądając ich dom.

Zdawało się, że nauczyciel czyta w jej myślach.

– Wystarcza im tylko na życie. Byłem bardzo zadowolony, kiedy udało mi się ich przekonać, by pozostawili córkę jeszcze na rok w szkole. Magdalena chciała, żeby Isabel przestała się uczyć i poszła do pracy.

Ana dobrze wiedziała o tym, że dla skromnie żyjących rodzin dzieci są gębami do wykarmienia i im wcześniej zaczną pomagać w polu lub w domu, tym lepiej.

– A dziewczynka ma się nauczyć podstaw, więcej jej nie trzeba – dokończyła.

– W rzeczy samej. Nie sędzę jednak, żeby z chłopcami sprawy miały się dużo lepiej. W lecie muszę zawsze chodzić po rodzicach, by ich przekonać, żeby mi przysyłali dzieci do klasy. „Ale panie nauczycielu, wystarczy, że chodzą w zimie”, mówią. A kiedy dziecko skończy jedenaście albo dwanaście lat i zna już cztery działania, nie pojawia się więcej. W niektórych przypadkach to prawdziwa szkoda.

Mówił z goryczą. Przerwał i przez kilka sekund stał zapatrzony w mapę Hiszpanii. Potem znów zwrócił się w stronę Any.

– Ale pani chciała rozmawiać o Isabel.

Zgasił papierosa i ciągnął wątek w zamyśleniu:

– W ostatnim roku bardzo się zmieniła. Zaczęła się prawie obsesyjnie interesować historiami młodych męczennic z wczesnego okresu chrześcijaństwa. Rozbudziła w sobie pragnienie transcendencji, żeby to jakoś nazwać, marzenie o tym, by zostać wybraną, żeby otrzymać jakiś znak z nieba. Taki rodzaj pobożności nie jest rzadki w jej wieku...

Na kilka sekund zadumał się, najwidoczniej zatonał we własnych wspomnieniach, nim podjął opowieść:

– Podobały mi się opowiadania, które pisała. Była bardzo pomysłowa. Czasami prosiłem, żeby je czytała na głos dla klasy. Pozostali słuchali w oszołomieniu.

– Dlaczego mówi pan o niej w czasie przeszłym?

– Ponieważ nie sędzę, żeby miała wrócić do szkoły.

– A to czemu?

Odpowiedział pytaniem:

– Widziała ją pani?

Najwyraźniej on też nie wiedział o zakazie Juliána Maestrego. Przez chwilę Ana rozważała, czy o tym nie wspomnieć, ale odrzuciła ten pomysł. Nie mogła przewidzieć reakcji nauczyciela. Mógłby nie chcieć z nią więcej rozmawiać. Dlatego rzekła tylko:

– Nie. Jeszcze nie.

– W takim razie niech pani zada sobie to pytanie, kiedy będzie ją pani miała przed sobą.

Widząc zaniepokojenie na twarzy Any, don Miguel musiał zdać sobie sprawę ze swojej oschłości, bo dodał:

– Wydaje się bardzo osłabiona. Zapewne to dlatego, że traci tyle krwi. Wygląda coraz gorzej. – W jego głosie brzmiało zmartwienie.

– Wobec tego krwawi naprawdę?

– W rzeczy samej.

Więc nie będą to namalowane rany, jak w przypadku portugalskiej mniszki. Ana musiała to jednak sprawdzić.

– Zatem te rany są prawdziwe?

– Tak.

– Co pana zdaniem mogło spowodować je u niej? – zapytała, żeby nie poruszać wprost tematu stygmatów.

Don Miguel zrozumiał pytanie odmiennie.

– Dlaczego właśnie u niej? Nie wiem. Jedne osoby bywają bardziej wrażliwe od pozostałych, odczuwają rzeczy, których inni nie poczują nigdy.

– Ale czym są te rany? Świadectwem męki Chrystusowej?

– Niekoniecznie. Raczej odzwierciedleniem samego cierpienia, udręki bliźnich. Wszystkiego, co złe na tym świecie. Ona to odczuwa.

Ana nie do końca rozumiała, co nauczyciel chciał powiedzieć. Musiała zapytać wprost:

– Myśli pan, że rany mogą mieć pochodzenie ponadnaturalne?

Don Miguel utkwiał w niej wzrok.

– Chce pani, żebym powiedział, czy w Las Torres naprawdę wydarzył się cud? O to pani chodzi?

Najwidoczniej postawiła go w niezręcznej sytuacji. Nauczyciel zaczerpnął głęboko powietrza, zanim odpowiedział.

– Cuda... Może to, co nazywamy cudami, to jakby szczeliny w tym świecie, przez które prześwituje do nas odrobina nadziei. – Uniknął odpowiedzi na jej pytanie, uciekając się do metafory.

Don Miguel otwarcie spojrzął na zegar ścienny.

– Przepraszam, ale przerwa zaraz się skończy.

– Mogłabym zrobić zdjęcia?

– Jeśli to nie potrwa długo...

Wstała i wyjęła aparat z futerału. Ławka Isabel znajdowała się blisko okna, do sfotografowania jej Ana nie potrzebowała flesza.

„Nie oszczędzaj na kliszy” – zawsze jej mówił Rubio. „Na każde pięć zdjęć jedno wychodzi dobrze, dlatego pstrykaj sześć”.

I tak zrobiła.

Dobrze wybrała kąt ujęcia, aby ławka wyróżniała się pośród pozostałych. Kiedy odwracała się w inną stronę, by sprawdzić, jaki efekt wywoła plama światła, która właśnie się pojawiła, skrzyżowała spojrzenie z nauczycielem.

– Chciałby pan, żebym panu też zrobiła zdjęcie?

– Myśli pani, że czytelnicy zechcą oglądać właśnie mnie?

– Czemu nie? Zamierzam włączyć w tekst opinie miejscowych autorytetów o dziewczynce.

Mogłaby wykorzystać to, co jej opowiedział, chociaż zmieniłaby „inteligencję” na „roztropność”, a „pragnienie transcendencji” na „głęboką wiarę”. Do tego nie była jej potrzebna fotka, ale miała ochotę uwiecznić go na portrecie.

Skierowała na niego aparat, wyostrzyła i przyjrzała się jego twarzy w obiektywie. Przymknął usta w półśmiechu. Choć jej powiedział, że przerwa już minęła, Ana dała sobie trochę czasu, by go dobrze obejrzeć. Coś w jego rysach sprawiało wrażenie nieśmiałości i kruchości: wrażliwe ciemne oczy, cienkie zmarszczki wokół nich, na wpół

żartobliwy, na wpół smutny układ ust. Ale z drugiej strony czaszka była prawie kwadratowa, wydatny nos pokrywały czerwone żyłki, a przez policzki biegły głębokie bruzdy, mimo że nauczyciel nie miał zapewne nawet czterdziestu lat.

Pstryknęła raz, potem drugi. I jeszcze trzeci.

Potem opuściła aparat i podziękowała za cierpliwość.

– Nie ma za co. Mogę w czymś jeszcze pani pomóc?

Ana zaprzeczyła ruchem głowy.

– Już mi pan bardzo pomógł.

W tym momencie wrócił pół żartobliwy, pół drwiący uśmiech.

– Wobec tego odprowadzę panią do drzwi.

Gdy wychodzili, ruszył im na spotkanie tyczkowaty chłopak, triumfalnie wymachujący kawałkiem papieru.

– Proszę pana, proszę pana, mam listę. Spisałem wszystkich.

Nadeszła pora, by złożyć wizytę Juliánowi Maestremu.

Ana zastukała do drzwi kołatką – żelaznym pierścieniem podtrzymywanym przez wargi czegoś w rodzaju fauna o szpiczastych uszach. Wkrótce potem jedno z dwojga odrzwi uchyliło się na szerokość dwóch dłoni i przez szczelinę wyjrzała mała twarz, której zmarszczki i kolor przywodziły na myśl orzech włoski. Kobieta, zapewne już po siedemdziesiątce, patrzyła na Anę dużymi, bystrymi oczyma. Zamiast się przywitać, powiedziała jedynie: „Tak?”, co nie zabrzmiało szczególnie gościnnie.

Ana uśmiechnęła się do niej.

– Dzień dobry. Nazywam się Ana Martí. Chciałabym porozmawiać z don Juliánem.

– A on spodziewa się pani?

Ana bała się, że jeżeli powie, że nie, kobieta zamknie bramę z powrotem, więc przytaknęła niecierpliwie:

– Oczywiście.

Nadzwyczaj powoli – co, jak Ana przypuszczała, wynikało zarówno z ciężaru odrzwi, jak i z niechęci odzwiernej – skrzydło otworzyło się na tyle, by mogła wśliznąć się do środka.

Przez bramę wchodziło się na duży dziedziniec wewnętrzny, na którym stała przepiękna hispano-suiza z lat trzydziestych. W garażu widać było seata 1400. Jeden samochód, by się wyróżniać, a drugi do spraw praktycznych. Pan domu miał pieniądze; sam seat kosztował równowartość dziesięcioletnich zarobków hiszpańskiego robotnika. Jakiś młody człowiek polerował posrebrzaną kratkę chłodnicy hispano-suizy. Raz po raz podnosił zaczerwienione z zimna ręce i chuchał na końce palców, by je rozgrzać. Zerknął na Anę, kiedy przechodziła obok samochodu, i natychmiast wrócił do swojej pracy, bez słowa czy gestu pozdrowienia.

Starsza kobieta, najwyraźniej służąca, wpuszczając Anę do domu, rzekła:

– Pan jest w bibliotece.

Weszły do przestronnego przedpokoju. Kobieta poprosiła Anę o płaszcz i schowała go w szafie. Pokazała, by Ana podążyła za nią, i wspięły się po szerokich schodach do pokoju o dużych drzwiach z ciemnego, ozdobnie rzeźbionego drewna. Służąca zapukała – zdawało się, że niemal niedosłyszalnie. Nie rozległ się również głos, który by zezwolił na wejście, lecz mimo to kobieta otworzyła i Ana ujrzała ogromne, pełne książek regały. Julián Maestre siedział w uszatym fotelu z książką na kolanach.

– Jest tu już panna Martí, don Julián – oznajmiła służąca.

Julián Maestre spojrział na nie zaskoczony, odłożył książkę na stolik obok krzesła i wstał.

Staruszka popatrzyła na Anę z urazą.

– Powiedziała mi, że pan...

Ana przerwała jej:

– Najmocniej przepraszam, don Julián, za to, że zjawiłam się nieumówiona, ale chodzi o pewną sprawę...

Ona też nie dokończyła zdania. Julián Maestre podniósł rękę, prosząc o ciszę, i odniosła wrażenie, że lepiej będzie posłuchać tego władczego gestu.

Pan domu zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. Dobrze znała tego rodzaju spojrzenia i wiedziała, co tamten człowiek widzi – młodą kobietę. Młodą, przybywającą skądś kobietę, która czegoś od niego chce i której towarzystwo obiecuje nieco urozmaicenia w szarej codzienności. W pracy dziennikarskiej zdążyła się nauczyć, jak wykorzystać do swoich celów takie męskie spojrzenia, a także dowiedziała się, kiedy jest odpowiedni moment na powstrzymanie zapędów mężczyzn.

Julián Maestre przeciągał swe milczenie. Żaden z argumentów, którymi chciała go przekonać, aby z nią porozmawiał, na nic się nie zda wobec narzuconej ciszy. Wyraźnie było widać, że on napawa się pozycją sędziego najwyższego, która pozwala mu z całym spokojem zdecydować, czy wyrzuci ją ze swojego domu, czy pozwoli jej zostać. Dlatego ugryzła się w język, uśmiechnęła, okazując pewność siebie, położyła dłoń na wysokim oparciu drugiego fotela, żeby nie sprawiać wrażenia zastraszonej panienki, i czekała. Aż w końcu don Julián odezwał się do swojej służącej:

– Cándida, przynieś nam kawę i ciastka.

Następnie zwrócił się do Any:

– Proszę usiąść.

Pochyliła głowę, by ukryć pełną zadowolenia minę, i usadowiła się w fotelu, który w jakiś sposób zajęła już wcześniej, kiedy czekała na werdykt. Znaleźli się naprzeciwko siebie, rozdzieleni niskim stolikiem. Rzuciła okiem dookoła. Trzy z czterech ścian były zupełnie zakryte przeszklonymi biblioteczkami. Również kominek, koło którego siedzieli, obramowano etażerkami i szafkami. Za szkłem Ana dostrzegła tomy oprawne w skórę, a także grzbiety nowszych wydań. Na pierwszy rzut oka, sądząc po ilości woluminów, właściciel tego księgozbioru nie miałby czego zazdrościć jej kuzynce Beatriz.

– Ma pan imponującą bibliotekę.

– Dziękuję. Znaczną część książek odziedziczyłem, ale też powiększyłem zbiór własnymi nabytkami.

Nie mogła nie odnieść wrażenia, że oto uczestniczy w jednym z wydarzeń towarzyskich, o jakich pisywała dla „Mujer Actual” – rozmawia z głową znamienitej, bogatej rodziny. Pytanie, które jej zadał don Julián, stosownie do okoliczności zaliczało się do tematów przyjemnych i błahych.

– Jak się pani podoba nasza wieś?

– Jestem tu od niedawna. Krajobraz przedstawia się imponująco i taki tu spokój...

Nie przywykłam do tego.

Don Julián skinął głową.

– Wyobrażam sobie. Znam Barcelonę. Moja rodzina ma tam dom. *Pied-à-terre*, jak to mówią Francuzi. Gdy byłem młodszy, spędziłem w nim wiele zim. Fascynujące miasto. Do wiejskiej ciszy trzeba się przyzwyczaić. Udało mi się to i nauczyłem się wypełniać ją pomysłami i przemyśleniami, własnymi i cudzymi.

W tym momencie zamasyście otworzyły się drzwi biblioteki, aż uderzyły o jeden z regałów. Ana odwróciła się. Cándida w obu rękach niosła ciężką tacę. Zapewne otworzyła drzwi kopnięciem, żeby nie sięgać do klamki. Położyła tacę na innym stole i zaczęła rozstawiać przed nimi porcelanowe filiżanki ze srebrnymi łyżeczkami

ozdobionymi herbem rodziny, dzbanuszek ciepłego mleka, pełną cukiernicę ze szczypczykami, w której metalowych zębach tkwiła już pierwsza kostka cukru, oraz dwa talerzyki z ciastkami. Nakrywała do stołu tak samo niezgrabnie, jak weszła do pokoju – uderzające o siebie elementy zastawy pobrzękiwały tak głośno, że Ana obawiała się, czy się nie rozbiją. Kiedy służąca nalewała kawę, rozchlapała trochę wokół filiżanki don Juliána i zamiast włożyć do niej kostkę cukru, wrzuciła ją, tak że kilka kropli spadło na mankiet koszuli, podczas gdy kostka tonęła z bulgotem. Ku zdumieniu Any, Julián Maestre nie zwrócił na to uwagi.

Ana pociągnęła łyk gęstego napoju, który w smaku okazał się taki sam jak jego zapach: aromatyczny, niezbyt gorzki, tylko na tyle, by w połączeniu z dwiema kostkami cukru wywołać znakomity efekt.

– Wyśmienita kawa, don Julián.

– Dziękuję. Przysyłają mi ją z palarni w Walencji. Może skosztuje pani ciastek? Cándida nauczyła się robić francuskie wypieki, proszę się częstować.

Przysunął porcelanowy talerz, na którym jasne i ciemne ciastka leżały naprzemiennie w koncentrycznych kręgach. Ana pominęła lukrowane, ponieważ urzekł ją blask polewy czekoladowych krążków. Wzięła jeden z nich i podniosła do ust. Zamknęła z błogości oczy, czując smak prawdziwego kakao.

Julián Maestre patrzył na nią zadowolony.

– Jeżeli ze skromnych składników, jakie tu mamy dostępne, zdołała zrobić takie cuda, proszę ją sobie wyobrazić w Paryżu.

Choć się mocno starała, Ana nie potrafiła w wyobraźni przenieść niezręcznej, naburmuszonej Cándidy do Francji. Wypiła kolejny łyk kawy i przesunęła językiem po wargach, by się upewnić, że nie zostały na nich czekoladowe okruchy, po czym zagała:

– Don Julián, pozwoli pan, że wyjaśnię powody mojej wizyty...

– Proszę chwilę poczekać, chcę pani coś pokazać.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wstał i ruszył ku jednemu z regałów. Mimo swych sześćdziesięciu lat poruszał się bardzo sprawnie.

– Proszę podejść – rzekł.

Najwyraźniej postanowił pochwalić się jej swoimi skarbami. Ana pomyślała, że właściciel księgozbioru zapewne nieczęsto miewa publiczność. Podniosła się i zbliżyła do biblioteczki, za której przeszklonymi drzwiczkami stały w rzędzie dzieła klasyków złotego wieku. Byli tu wszyscy: Garcilaso, Cervantes, Quevedo, Calderón, Góngora. Wśród woluminów wyróżniało się kunsztownie oprawione *Owce źródło* Lope de Vega. Jednak Julián Maestre wskazywał Anie inny regał, na którym ustawiono pisma oświeconych Francuzów. Zwrócił jej uwagę na ogromne tomy w skórzanych oprawach.

– Mam tutaj wydanie *Encyklopedii*. Pierwsze wydanie *Encyklopedii* Diderota i d’Alemberta.

Przekręcił kluczyk i otworzył dwoje przeszklonych drzwiczek.

– Cóż za wielkie przedsięwzięcie! Spróbowali zebrać całą wiedzę swoich czasów i oddać ją do dyspozycji czytelników. Przeciw przesądom, na przekór głupocie. Zgodnie z rozumem i postępem.

Wyjął jedną z ksiąg i pogładził ją zadbanymi dłońmi.

– Wie pani, jak postępowali autorzy tamtej epoki, by ominąć cenzurę?

Wiedziała, co należy robić, by ją obejść w obecnych czasach, toteż odpowiedziała natychmiast:

– Sięgali po aluzje, posługiwali się takimi czy innymi eufemizmami i ukrywali łagodną krytykę za wielkimi, donośnymi pochwałami.

Gospodarz roześmiał się. Był to śmiech nieżywiolowy, ale życzliwy, na jaki niegdyś pozwalał sobie król po dobrym żarcie nadwornego błazna.

– Moje gratulacje. Widać, że ma pani doświadczenie w tych sprawach. Jednak Diderot robił co innego. Proszę się przyjrzeć.

Poszukał artykułu o kanibalizmie i wskazał zamieszczone na końcu odsyłacze. Ana przeczytała „Eucharystia” i „Komunia święta” i nie mogła powstrzymać śmiechu. Autor powiązał ludożerstwo z jednym z sakramentów Kościoła katolickiego. W tym momencie podziękowała Beatriz za ich cotygodniowe pogawędki, zazwyczaj kończące się wykładem kuzynki. Jedna z nich dotyczyła *Encyklopedii*, dzięki czemu Ana, obdarzona dobrą pamięcią, mogła teraz powiedzieć z pewną dezynwolturą:

– Ale na wiele mu się to nie przydało. Aresztowali go wkrótce po opublikowaniu pierwszego tomu.

Pan i władca Las Torres wydawał się zadowolony, na jego mięsistych ustach pojawił się uśmiech – dobry znak. Postanowiła poruszyć sprawę, która ją tu sprowadziła.

– A skoro mówimy o cenzurze i o prasie, pozwoli pan, że zadam pytanie. Co stoi na przeszkodzie, żebym się zobaczyła z Isabel?

Don Julián zamknął księgę. Potem powiedział uprzejmie:

– Proszę mi wierzyć, to nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

Przez sekundę Julián Maestre marszczył czoło w grymasie rozczarowania. Odsunął się od regałów.

– Jeszcze kawy?

Ana zaczynała się czuć nieprzyjemnie. On też wiedział, że nie przyszła tu na kawę i ciastka ani na rozmowę o jego wspaniałej bibliotece. Ponownie spojrzała na grzbiety *Encyklopedii*. Pan i władca Las Torres, zapalony czytelnik *Encyklopedii*, jakim się jej zaprezentował, do historii przesądów i cudów nie może mieć innego nastawienia jak negatywne. A jeśli pokazał jej swoje książki, żeby w ten sposób dać to do zrozumienia?

Przełknęła złość i poszła za nim do stołu. Podczas gdy wbijał wzrok w cienki, ciemny strumień kawy, którą nalewał ze znacznie większą wprawą niż Cándida, Ana odezwała się lekkim tonem, jakby powracała do przerwanej trywialnej pogawędki:

– Jak trudno jest czasami wytyczyć granicę pomiędzy wiarą a przesądem, prawda?

Don Julián, podając Anie filiżankę, rzucił na nią badawcze spojrzenie.

– Zgadza się.

Zabrzmiało jak wyczekująca zachęta. Ana zrozumiała, że musi się odważyć na kolejny ruch, chociaż nie była pewna, czy zna reguły gry. Don Julián odstawił kafeterkę na tacę. Oboje podnieśli filiżanki do ust, lecz Ana tym razem wypięła zaledwie kilka kropli. Stawiając naczynie na spodku, dodała:

– I jest bardzo dyskusyjne, czy coś, co uchodzi za cud, faktycznie nim jest.

Najwyraźniej trafnie wyraziła swoje wątpliwości co do cudów. Julián Maestre uśmiechnął się złośliwie.

– „Dyskusyjne” wydaje mi się określeniem zbyt umiarkowanym, jeśli pozwoli mi pani na komentarz.

Nachylił się ku niej.

– Proszę posłuchać: nie sądzę, by Isabel i jej historia zasługiwały na szczególną uwagę. Dziewczyna, która zamąciła sobie w głowie niezwykłym pomysłem. Nic więcej.

Julián Maestre był pierwszą osobą we wsi, która otwarcie dawała jej do zrozumienia, że nie wierzy w stygmaty Isabelity ani w cud dokonujący się w Las Torres.

– Ale wielu jest przekonanych, że te stygmaty są prawdziwe i uważają ją za świętą – rzuciła Ana.

Don Julián wyprostował się gwałtownie w fotelu i splótł ręce. W tej chwili przypominał jej kuzynkę Beatriz przygotowującą się do wygłoszenia jednej ze swoich peror.

– Proszę posłuchać: zwykłych ludzi przerasta skomplikowanie otaczającego ich świata. W życiu codziennym obowiązują ich zasady, prawa i nakazy, które im mówią, co należy robić. Są to proste umysły, dlatego potrzebują wyraźnych sygnałów. I dla wszystkiego, co wykracza poza ich zrozumienie, szukają ponadnaturalnych wyjaśnień. Nie potrafią pojmować świata inaczej. Z tego powodu potrzebują swoich świętych i swoich cudów. A także opiekunów. Święta Barbara chroni przed burzami. Święty Izydor zajmuje się zwierzętami i ich chorobami, święty Krzysztof dba o to, żeby wiernym nic się nie stało w podróży, a jeżeli coś zgubią, zwracają się do świętego Antoniego. Egzemy i choroby skóry powierza się świętej Róży z Limy, sprawy beznadziejnie trudne zaś świętej Ricie. Choć zwykle robią to za późno, nieszczęśliwe mężatki modlą się do świętej Liberaty, ponieważ udało się jej ustrzec małżeństwa przez to, że przestała jeść i za sprawą cudu stała się włochata jak niedźwiedź. Biedna święta Łucja została patronką od oczu, dlatego że zostały jej wyłupione... I tak dalej. Rozumie pani? Człowiek mający choćby minimalne wykształcenie nie może uwierzyć w te absurdalne historie, nie uważa pani?

Uśmiechnęła się. Po tym wszystkim, co w ciągu ostatnich godzin mówiono jej o Isabel i jej cudach, żarty Juliána Maestrego nie tylko były zabawne, lecz nawet przynosiły ulgę.

Gospodarz ciągnął swój wywód:

– Wszystko to nie jest niczym więcej jak przesadą i naciąganiem.

– Bez wątpienia. Jednakże w przypadku Isabel chodzi o coś innego, nie sądzi pan? Nie jest świętą sprzed setek lat, tylko dziewczynką, na której ciele podobno dokonuje się cud. Słyszałam, że jej ręce i stopy naprawdę krwawią.

Śmiać jej się zachciało na myśl, że zaraz sama zacznie bronić cudu z Las Torres.

Don Julián wzruszył ramionami.

– Nawet gdyby krwawiła naprawdę, kto nas zapewni, że rany te nie mają czysto ziemskiego pochodzenia?

– Wobec tego pan nie wierzy w cud w Las Torres?

– A pani może tak?

Nie miała najmniejszego interesu w tym, by jej opinia stała się przedmiotem

rozmowy, dlatego uciekła się do cytatu:

– „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, Horacjo, niż to się śniło twojej filozofii”.

– Och! Czcigodny Hamlet. Cóż, prawda jest taka, że ktoś, komu ukazuje się duch zmarłego ojca, by mu powiedzieć, że ten ojciec został otruty przez swego brata z pomocą własnej żony, jest w stanie wierzyć w cokolwiek. Ale – jego głos zabrzmiał teraz bardziej obiektywnie – tutaj mamy dziewczynkę, która nagle zaczyna krwawić w tych samych miejscach, które przekłuto Chrystusowi, kiedy go przybijano do krzyża prawie dwa tysiące lat temu. Myślę, że znalazłoby się niejedno prawdopodobne wytłumaczenie bez konieczności sięgania po tajemnice kryjące się między niebem a ziemią.

Ana dostrzegła, że nadarza się dla niej okazja.

– I dlatego tu jestem. Ponieważ zanim napiszę artykuł o Isabel, chcę sprawdzić, ile ta historia ma wspólnego z prawdą. Ale w tym celu muszę zobaczyć dziewczynkę.

– Już pani mówiłem, że to niewarte zachodu.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie sądzi pan, że to do prasy należy decyzja, czy coś jest interesujące czy nie? Chyba że nie uważa mnie pan za zdolną do osądu.

– Tego nie powiedziałem. Ale pani nie wie, jakie tutaj mamy okoliczności, ani sobie pani nie wyobraża, jakie reakcje może wywołać pani artykuł.

– Nie wydaje mi się, by nasz artykuł mógł wyrządzić szkody. Bądź co bądź, poproszono mnie, żebym przyjechała i dowiedziała się więcej o Isabel.

– Wiem. To don Benito zadzwonił do pani czasopisma. Zrobił to na własną rękę, nie konsultując się z nikim.

Ana zrozumiała, że ksiądz przede wszystkim nie skonsultował się z don Juliánem. Zatelefonował do „El Caso” bez porozumienia z panem i władcą Las Torres. Być może don Julián zakazał Anie spotkania z małą świętą, by jasno dać do zrozumienia proboszczowi, kto tu rządzi.

Julián Maestre uśmiechnął się drwiąco.

– Don Benito ma wiele powodów, by wierzyć w cud dokonujący się w Las Torres. Ale... jak to powiedział Wolter? „Interes, jaki mam w tym, aby w coś uwierzyć, nie jest dowodem na istnienie tej rzeczy”. Zastanawiam się, czy on sam w to wierzy.

Ana milczała. Możliwe, że don Julián nie myli się w swych opiniach; ona zamierzała powstrzymać się od spekulowania o tym, czy don Benito wierzy, czy nie. Julián Maestre może sobie pozwolić na niepochlebne uwagi o proboszczu; ona nie ma takiego prawa.

Gdy chodziło o Isabel, był bardzo powściągliwy w słowach. I przeciwnie: zdawało się, że mówienie o księdzu sprawia mu pewną przyjemność, skoro ten zasłużył na jego dezaprobatę, powiadamiając prasę. Jako że Ana nie odzywała się, don Julián zagadnął:

– Czytała pani *Świętego Manuela Dobrego, męczennika* autorstwa Unamuna?

Tak, знаła historię charyzmatycznego proboszcza, który stracił wiarę, ale ukrywał to przed parafianami, by nie dopuścić do nich strachu przed śmiercią i wyratować ich z rozpacz, jakiej sam doświadczał w świecie pozbawionym Boga.

Skinęła głową, ponieważ don Julián nie sprawiał wrażenia, że oczekuje odpowiedzi – wyraźnie pragnął jak najszybciej przedstawić własną wizję sprawy.

I tak było.

– Nasz don Benito czasami przypomina mi świętego Manuela Dobrego. Tak. Podobnie jak on udaje przed swoimi parafianami wiarę, której nie ma. I robi to z takim samym powodzeniem jak bohater Unamuna. Przede wszystkim u kobiet, które swoją postawą wręcz porywa. Jednak motywy jego działania są mniej altruistyczne niż u powieściowego proboszcza.

Ana powstrzymała uśmiech. To, co don Julián mówił o miejscowym księdzu, nie było zbyt dalekie od tego, co sama o nim myślała. Lecz również w tej materii wolała zachować milczenie. Nie komentować i trzymać się dyskretnie na drugim planie – tej strategii nauczyła się i stosowała ją, pracując jeszcze w „La Vanguardii”. Zapytała więc tylko:

– Chce pan powiedzieć, że kierują nim egoistyczne pobudki?

Julián Maestre wypił łyk kawy i rzekł:

– Bez wątpienia. Don Benito jest typowym najmłodszym synem szlacheckiej rodziny, niezbyt majątnej, ale z pretensjami, dlatego wysłano go, zgodnie ze zwyczajem, do seminarium. A po wyświęceniu, jak to zwykle bywa z księżmi urodzonymi jako ostatni w rodzinie, dostał parafię na końcu świata, w miejscu, które nigdy nikogo nie interesowało ani nie zainteresuje. Nawet Cyd je ominął i nie zadał sobie trudu, by je odebrać Maurom podczas rekonkwisty. I nagle ta wieś, ten kościół mają coś szczególnego, własną świętą, własny cud. A nasz don Benito wierzy, że oto nadarzyła się dla niego wielka szansa.

Dlaczego on jej to wszystko opowiada? Bo proboszcz rozdrażnił go, robiąc coś na własną rękę? A może chce ją przekonać, że nie ma żadnego cudu. Albo przestrzec, żeby nie wpadła w zastawioną przez księdza pułapkę.

– Załóżmy, że ma pan rację, don Julián. Nie sądzi pan, że don Benito rozważył ryzyko wiążące się z oszustwem? Proszę sobie wyobrazić, co może się stać, jeśli władze kościelne odkryją, że święta z Las Torres nie jest niczym więcej jak farsą.

– Powiedziałbym, że przedsięwziął środki ostrożności. Zaczynając od tego, że nie powiadomił swojego biskupa o tym, że skontaktował się z pani czasopismem.

Ana zrozumiała, do czego odnosi się jej rozmówca. Poczwała nagły chłód mimo buzującego na kominku ognia. „Spryciarz z tego księdza” – pomyślała sobie, gdy Rubio powierzył jej to zadanie. Sprytny ksiądz zadbał, by jego historia miała dobrą prasę, zanim zajmą się nią jego kościelni zwierzchnicy.

Skojarzyła też, że sprytny ksiądz postawił wszystko na jedną kartę, a tą kartą jest ona czy raczej jej artykuł. Jeżeli napisze z entuzjazmem o świętej z Las Torres, rozślawi ją w całej Hiszpanii. Wówczas – można sobie wyobrazić – don Benito zyska silną pozycję i jego zwierzchnikom będzie trudniej zanegować cud, jeśli masy pielgrzymów zaleją ulice wioski.

Ale jeżeli nie napisze artykułu albo przedstawi Isabel jako oszustkę, plan don Benita legnie w gruzach. Bez tekstu w prasie nie będzie sławnej świętej. W najgorszym przypadku, jeśli Ana zdemaskuje oszustwo, duszpasterz nie tylko wyjdzie na głupca, lecz także może stanąć przed poważnymi konsekwencjami. Nie znalazła się tutaj jednak, żeby się martwić o don Benita. Zostawiła swe przemyślenia na boku i całą uwagę skupiła na

Juliánie Maestrem.

– Wspomniał pan wcześniej, że artykuł w „El Caso” mógłby zaszkodzić wiosce. Co pan miał na myśli?

– Założmy, że napisze pani o cudzie. Rzesze pielgrzymów, jakie do nas napłyną, nie przyniosą z sobą nic więcej, jak zgiełk i wrzawę. Już teraz dyskutuje się o Isabel. Sytuacja na pewno się pogorszy.

Jego głos zabrzmiał bardziej mrocznie, gdy dodał:

– A jeżeli później okaże się, że cuda Isabelity to mistyfikacja, jak przypuszczam, Las Torres stanie się pośmiewiskiem Hiszpanii. Choć, tak na dobrą sprawę, dla don Benita byłby to koniec spodziewanej kariery, czego, szczerze mówiąc, wcale bym nie żałował, tylko że...

Jego spojrzenie stało się oskarżycielskie.

– Byłoby to również fatalne dla wioski. Pani tu nie zostanie, ale mnie przyjdzie patrzeć, jak wzbiera morze rozczarowania i oburzenia, przyjdzie mi widzieć na końcu, jak nagromadzony gniew rozładowuje się na czymś lub na kimś.

Ana uznała, że ma w ręku dobry argument.

– Zanim o czymś napiszemy, zawsze sprawdzamy wiarygodność tematu. Moje czasopismo nie chce się ośmieszyć publikowaniem fałszywych historii.

– Naprawdę? A nie zamieściliście tekstów o latających talerzach? Może się mylę?

Odpowiedziała Juliánowi Maestremu z całą godnością, na jaką było ją stać, mimo że zawstydziała ją treść niektórych artykułów ukazujących się w jej tygodniku.

– Zawsze dokładamy starań, by wiadomości były prawdziwe.

Zrobiła pauzę, by mocniej zaakcentować następne słowa:

– Zwłaszcza jeżeli chodzi o delikatną sprawę.

Słowa „delikatna” często używała w swojej codziennej pracy. Wszystko, co było problematyczne od strony politycznej, nie pasowało do wąskiego pojęcia moralności reżimu lub popadało w konflikt interesów – wszystko to było „delikatne”. Mówiło się „delikatna sprawa” i pozostawiało rozmówcy, by się domyślił, o jakie trudności chodzi. W oczach Juliána Maestrego zabłysła iskra zrozumienia.

– To znaczy, że nie chce pani zostawiać niczego niewyjaśnionego, i dlatego musi się pani dokładnie przekonać, o czym będzie pisać.

Przypomniała sobie swoją rozmowę z szefem. Ryzyko, że ktoś się poskarży na pisanie o zielonych ludzikach, choćby artykuł brzmiał nie wiedzieć jak niedorzecznie, było minimalne. Ale zagrożenia, że władze kościelne oprotestują „El Caso” za mieszanie się w ich sprawy i przedstawianie jako prawdy kłamstw jakiejś oszustki, nie wolno było lekceważyć. Szczególnie jeśli się wzięło pod uwagę, że coś takiego mogłoby posłużyć jako pretekst do zamknięcia tygodnika.

– W rzeczy samej. Dlatego byłoby dla mnie wielką pomocą, gdybym mogła zobaczyć Isabel w jej domu.

– Co pani zrobi, jeśli dojdzie do wniosku, że jej stygmaty są, powiedzmy, pomyłką?

Ana odpowiedziała pośpiesznie:

– W takim wypadku nie napiszę artykułu. Jak pan sam mówił, dziewczynka o dziwnych pomysłach nie jest interesującym tematem. Również dla mojego czasopisma.

Julián Maestre powiódł dłonią po idealnie wygolonym podbródku. Na jego ustach zawitał uśmiech.

– Dla don Benita będzie to wielki zawód.

Zwłaszcza kiedy się dowie, że jego plany zrujnowała dziennikarka, którą sam wezwał. Julián Maestre najwidoczniej analizował możliwość spłatania księdzu tego figla z jej pomocą. Odczekał jeszcze chwilę, nim rzekł:

– Sądzę, że Isabel przyjmie panią jutro. Bardzo jestem ciekaw, co pani powie po tej wizycie.

Powoli, powoli, powoli. Tak żeby nie zaskrzypiała furтка i żeby on się nie dowiedział. Może się nie dowie, bo teraz śpi w swoim domu. Pijak, jak mówi matka. Jest pijakiem. Pędzi wódkę w szopie, gdzie trzyma łopaty i wiadro, w którym miesza cement do zamykania nisz. Tam ją pędzi i pije. Nigdy nie poczęstuje. Wszystko wypija sam i dlatego teraz śpi pijany, ale lepiej nie hałasować przy otwieraniu furtki. Jeżeli się dowie, że wszedłem, może założyć kłódkę i już więcej nie będę mógł tu przyjść.

Raz prawie mnie nakrył. Bo było bardzo ciemno, potknąłem się i narobiłem hałasu. Grabarz otworzył drzwi i krzyknął:

– Kto tu jest?

Mama mówi, że zawsze mam się witać ze starszymi, ale siedziałem cicho. Przykucnąłem za gęstym krzakiem i schowałem się. A on znowu krzyknął:

– Kto tu jest?

Ale siedziałem cichutko jak mysz i zakryłem sobie głowę rękami. Nie ze strachu, bo się go nie boję, jest cherlawy, a ja jestem od niego silniejszy. Mógłbym go załatwić jedną ręką. Zakryłem sobie głowę rękami z powodu księżycy w pełni. Eugenia powiedziała mi, że jasne włosy błyszczą, kiedy świeci księżyc.

Eugenia jest najsprytniejszą dziewczynką we wsi. Eugenia jest najsprytniejszą osobą we wsi. No, nauczyciel też jest bardzo bystry, ale kiedy Eugenia podrośnie, będzie od niego bystrzejsza. I jest moją przyjaciółką. Wyjaśnia mi różne rzeczy, kiedy ich nie rozumiem. Wie, że pan Jesús nigdy nie podchodzi do furtki w nocy, bo się boi zmarłych.

– To tak głupie, jak gdyby pasterz bał się owiec – mówi Eugenia.

Ale śmieszne! Nie jestem jedynym głupkiem we wsi. Mamy drugiego.

To pewnie prawda, bo ciocia Aurelia też mówi:

– Kto to widział, żeby grabarz bał się nieboszczyków?

Eugenia wytłumaczyła mi, że „nieboszczyk” to inaczej „zmarły”. A o psach i owcach nie mówi się ani tak, ani tak, tylko „zdechłe”.

Grabarz boi się zmarłych, dlatego zaraz wszedł z powrotem do domu.

Ale głupi! Pewnie przez to jego żona i córka nie mieszkają z nim. Zostawiły go samego z synem i ze zmarłymi. Wyniosły się do innej wsi. Może dlatego, że tu mieszka potwór. Powiedziałem to cioci Aurelii i dziwnie na mnie popatrzyła. Mało się nie rozpląkała. Nie lubię, gdy ciocia Aurelia płacze.

Dziś w nocy już nie wyjdzie, jest dużo chmur i nie widać księżycy. I upije się, bo się boi. Tchórz. Ja się nie boję. Jak ciemno! Całe szczęście, że nie potrzebuję światła. Znam wszystkie ścieżki i wiem, gdzie kto leży. W niszach po prawej ciocia Antonia, pan Jesús ojciec, który też był grabarzem, i babcia Eugenie. Ależ ona była zła! Biła mnie, kiedy byłem mały. Zła! Zła! W domku z aniołami chowają wszystkich z rodziny Maestre razem. Tu kładzie się dzieci. Ja się już zrobiłem za stary. Nikt mi nie przyniesie białych kwiatów jak te, które nosi ciocia Aurelia.

– Jestem tu, Pili. Muszę ci dużo opowiedzieć. Dużo a dużo. Wiesz co? Przyjechała jedna pani z Barcelony. Bardzo ładna! I wysoka. Uczesana nowocześnie, jak artyści na zdjęciach. I jak ładnie pachnie! Tak jak pachniało tutaj wtedy, kiedy przynieśli ci tyle kwiatów na pogrzeb. Pachnie jak tu w dzień Wszystkich Świętych, ale bez świec. Przyjechała zobaczyć się z Isabelitą. Myślę, że to dlatego, że Isabelita niedługo umrze.

Bieeeeeedusieńka!

Aj! Wypsnęło mi się. Nie powinienem krzyżeć takich rzeczy, ale mi się wymykają. A jeśli grabarz słyszał? Pomyśli, że to pies. Albo duch. Tchórz z niego. Tchórz, cykor, strachajło.

– Skąd wiem, że niedługo umrze? Tak mówi don Benito, że umrze jak ty. I że wtedy będziemy mogli prosić ją o więcej rzeczy niż teraz. Bo po śmierci będzie bliżej Boga. Nie rozumiem, czemu nie mogę o nie prosić ciebie. Też już nie żyjesz i jesteś blisko Boga. Ale zdaje się, że Isabelita będzie bliżej. Przez te rany. Ale nie pochowają jej tu, z tobą. Don Benito mówi, że pochowają ją koło kościoła, a potem zbudują tam kaplicę. Ludzie będą przychodzić, żeby ją zobaczyć, a ona będzie robić cuda. Ale nie bądź zazdrosna. Do ciebie też przyjdę.

Zaczyna padać śnieg.

– Patrz, Pili. Śnieg. Słyszysz? Pada i się nie topi. Napada dużo śniegu. Jak fajnie!

Piątek. Wreszcie zobaczy się z małą świętą. Po otwarciu okiennic spostrzegła, że dachy, parapety i ulicę pokrywa gruba warstwa śniegu. Niebo było zasnuwane mleczną płachtą niskich chmur, pozycji słońca można się było tylko domyślać.

Umyła się i znowu natarła wodą kolońską, żeby się rozgrzać.

Ponownie siadła do śniadania z Aurelią. To będzie ostatni raz, gdy jedzą razem kukurydziankę i piją kawę w jadalni gospody. Spodziewała się, że po drugim śniadaniu zabierze ją samochód, który Rubio przyśle po nią z Castellón. Aurelia zaoferowała się, że podejdzie na pocztę i zamówi auto.

– Spodziewam się, że jako szofera wyślą Amancia – powiedziała. – Jest z naszej wsi, ale mieszka w mieście. Lepiej, żeby to on po panią przyjechał, bo dobrze zna drogę, wie, jak brać zakręty. A jeszcze przy tym śniegu i oblodzeniu! Nawet w lecie droga jest niebezpieczna. Paru się tu zabiło.

„Całe szczęście, że Rubio nie dał mi samochodu” – pomyślała Ana.

– Mogłaby pani też wyjechać sobotnim autobusem.

Ana nie chciała obrazić gospodyni, mówiąc, że nie może się doczekać powrotu do domu, że każdy dzień spędzony tu, w wiosce, jest dla niej stracony.

Liczyła na to, że wieczorem już będzie w stolicy. Nie wiedziała, czy zdąży na pociąg, ale choćby musiała przenocować w Castellón, znajdzie się w czymś podobnym do miasta. A w sobotę nareszcie w Barcelonie.

– W domu czeka mnie dużo pracy.

– Kiedy się nie ma męża, dobrze jest mieć zatrudnienie – zauważyła Aurelia.

Ana nie mogła się powstrzymać od komentarza:

– I kiedy się go ma, także.

– Tak, jasne.

Odezwała się do gospodyni zbyt opryskliwie i zaraz spróbowała to naprawić:

– Kawa, która zostanie, jest oczywiście dla pani. Przyślę więcej z Barcelony.

– To bardzo miłe, ale...

– Nalegam.

Aurelia znów okazała przebłysk radości, której zakłócenia Ana przypisywała wdowieństwu i utracie córki.

– Gdzie ja mam głowę! Była tu z wiadomością gospościa don Benita. Kazał pani przekazać, że będzie czekał w domu Isabelity.

– Myślałam, że po mnie wstąpi i pójdziemy tam razem.

Aurelia uśmiechnęła się z przekąsem.

– Don Benito nie lubi sobie moczyć butów śniegiem. A żeby przyjść tutaj, musiałyby bardzo nadłożyć drogi w tych swoich ślicznych bucikach.

– Ależ Aurelio! – Ana udała zgorzienie.

Mimo że były same w kuchni, gospodyni rozejrzała się w prawo i lewo. Poprawiła sobie kosmyk włosów, który jej opadł na czoło, jakby tym gestem chciała zamaskować swoje słowa.

– I myślę, że spodobałoby mu się, gdyby się trochę wsławił, tak jak ten proboszcz

z radia.

– Który?

– Venancio Marcos.

– Ten od niedzielnych audycji?

Ojciec Venancio Marcos był gwiazdą radiową, gwiazdą w ornacie, wymownym kaznodzieją udzielającym porad religijnych w Narodowym Radiu Hiszpanii, na którego antenie pouczał słuchaczy przede wszystkim w zakresie moralności.

– Właśnie on. Zauważyła pani, jaki dźwięczny głos ma don Benito?

– Tak, zwróciłam na to uwagę od razu.

– Gdy się go słucha, można się dać zauroczyć. I robi piękne katechezy. Dziewczynki muszą chodzić dwa razy w tygodniu i każda jest jedną świętą.

– Świętą?

– Tak. Don Benito przydziela im świętą patronkę i mają żyć zgodnie z jej przykładem.

– A chłopcy?

– Chłopcy też, ale don Benito bardziej dba o dziewczynki. My, kobiety, bardziej potrzebujemy w życiu przewodnika.

– Która święta przypadła Isabelicie?

– Isabelita jest świętą Łucją.

Na ile Ana sobie przypomiwała, święta Łucja nie miała stygmatów, ale została zabita w wieku trzynastu lat, czyli tyłu, ile miała teraz dziewczynka.

– Jaka szkoda, że nie zostanie pani dłużej! Ponieważ w niedziele ksiądz wygłasza wspaniałe kazania. Może też pani posłuchać mszy w dzień powszedni, ale niedzielne kazanie na pewno by panią ujęło.

– Cóż. Rzeczywiście, szkoda. Innym razem. Może pewnego dnia usłyszę go w radiu.

Wymieniły spojrzenia i zachichotały porozumiewawczo. Wtem Aurelia znów odzyskała poważny, nieco nieobecny wyraz twarzy. Ana zrozumiała, że gospodyni nie chce sobie pozwolić na przebłycki dobrego humoru.

– Niech się pani nie wystraszy na jej widok. Te rany są okropne.

Ana stwierdziła, że jakoś to zniesie. W ostatnich dniach widziała wiele. Widziała najgorsze – coś, co ścięło z nóg nawet najtwardszych zawodowców: martwe dzieci. Widziała, jak trzyletnia dziewczynka, zamordowana przez własnego wuja z powodów, o które nikt nie ośmielił się pytać, w rękach kobiet z rodziny zamieniła się w czystego, ubranego na biało „aniołka” w równie białej trumnie przybranej białymi kwiatami, wokół której sfotografowali się wszyscy pogrążeni w żałobie krewni.

Nie. Nie sądziła, by miały wystraszyć ją rany, w tym momencie popychała ją dziennikarska ciekawość.

– Mam nadzieję, że zechce ze mną porozmawiać.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jestem obca.

– Byli już u niej nieznajomi.

– Ale oni byli stąd, o ile dobrze zrozumiałam.

– Niekoniecznie. Dwa tygodnie temu przyjechała jakaś pani z Saragossy, żeby prosić Isabelitę o wstawiennictwo.

– W jakiej sprawie?

– Tego się nie wie ani się o tym nie mówi. Prośby kierowane do naszej świętej są tajemnicą. Tylko ona je zna. Jeżeli sekret wyjdzie na jaw, prośba się nie spełni.

Gdy chwilę później Ana wyszła na ulicę, pochmurna, ale spokojna pogoda ustąpiła miejsca kolejnej śnieżycy, a lekki wietrzyk groził, że się nasili. Ze stopami tonącymi w porannym śniegu i powiekami przymkniętymi z powodu płatków lecących jej prosto w twarz, Ana brnęła drogą w stronę domu Castánów. Kiedy skręciła za róg ulicy Głównej, zimny podmuch zmusił ją do odwrócenia głowy w bok i zupełnego zamknięcia oczu. Kiedy je znów otworzyła, drgnęła, ponieważ o mało nie wpadła na dziewczynkę okutaną w grubą wełnianą chustę. Dziecko wpatrywało się w nią uważnie. Ana cofnęła się o krok, mała zrobiła to samo.

Chusta spowijała ją od głowy po pas, pozostawiając odkrytą tylko twarz. Z dołu wystawała za luźna szara spódnica, jakby należąca do dorosłej, znacznie starszej kobiety; bardzo szczupłe nogi były ubrane w grube wełniane pończochy, stopy wydawały się nieproporcjonalnie długie, ponieważ tkwiły w zdecydowanie za dużych butach. Zanim Ana zdążyła cokolwiek powiedzieć, dziewczynka zwróciła się do niej z szerokim uśmiechem i zagadnęła:

– Jesteś tą dziennikarką z Barcelony? Masz się zobaczyć z Isabelitą, prawda? Chcesz, żebym poszła z tobą?

Dziewczynka podeszła do niej. Dopiero teraz Ana zdała sobie sprawę z tego, że mała ma zęza. Patrzyła na nią prawym okiem, a lewe było skierowane w jakiś nieokreślony punkt na ziemi.

– Wiem, gdzie to jest.

– Nie szkodzi, i tak z tobą pójdę. Mam na imię Eugenia. A ty?

– Mam wrażenie, że wiesz.

Dziewczynka spuściła głowę zawstydzona i zrobiła ruch, by się oddalić. Ana zatrzymała ją.

– Chodź, możesz ze mną iść, jeśli mi powiesz, jak mam na imię.

Jak w baśni braci Grimm o karzełku Titeliturym. „Jeśli odgadniesz moje imię, nie zabiorę ci pierwородnego syna”. Tylko że w tym przypadku nie było żadnego sekretu. Eugenia odpowiedziała, nie podnosząc głowy:

– Ana. I jesteś z Barcelony, i mieszkasz w gospodzie Aurelii, i pijesz kawę, i czytasz książki, i sprawisz, że Isabelita będzie sławna, i robisz zdjęcia, i...

– Dość już, dość. Chodźmy, zdaje się, że don Benito na mnie czeka.

Dziewczynka odczekała, aż Ana ruszy, i zaczęła iść obok niej, nie spuszczając z niej wzroku. Ana nie wiedziała, jak interpretować minę, z jaką mała na nią patrzyła – było to coś w rodzaju uniesienia zdeformowanego przez wadę wzroku.

Eugenia wskazała na jej torbę.

– Czy to aparat?

– Tak.

– Mnie też zrobisz zdjęcie?

- Jeśli mi zostanie film, jasne.
- Co mam na siebie założyć?
- Co zechcesz.
- A będę w gazecie?
- Tego nie mogę obiecać.

Na twarzy dziewczynki odbiło się rozczarowanie.

– Chodzi o to, że nie wiem, ile zdjęć zostanie przyjętych. A miejsca przeznaczone na fotografie są zarezerwowane dla osób najważniejszych w tej historii.

- Ale ja jestem bardzo ważna w tej historii.
- Wyrzekła to z dumą, zadzierając podbródek.

- Ach tak? Dlaczego?
- Nie mogę powiedzieć.
- W takim razie rozumiesz, że twoje zdjęcie umieszczę na końcu kolejki.

Eugenia najwyraźniej rozważyła sprawę i jeśli miała coś do powiedzenia, w co Ana wątpiła, postanowiła przemilczeć to i zmienić temat.

– Czy to prawda, że w mieście latarnie świecą przez całą noc? Chciałabym zobaczyć wielopiętrowe budynki. Czy to prawda, że można się dostać na samą górę bez wchodzenia po schodach? Chodzisz do kina? Ile jest tam kin? Pewnie tysiąc. Wiesz, że u nas też kiedyś wyświetlali film?

- A jaki?

– *Marcelino, chleb i wino*. Sprowadził go ksiądz proboszcz. Oglądaliśmy w gospodzie.

- Podobał ci się?

– Tak, dużo w nim było do płaczu. Ale chciałabym kiedyś zobaczyć film miłosny. Miłosny, w którym ludzie śpiewają. Na pewno w Barcelonie można je często oglądać. Wiesz, czemu chcę obejrzeć film, w którym ludzie śpiewają? – Eugenia nie zaczekała na odpowiedź Any. – Bo bardzo ładnie śpiewam. Umiem zaśpiewać wszystkie piosenki, które choć raz słyszałam. Jeśli chcesz, zaśpiewam ci jakąś piosenkę z radia. Którą wybierasz?

- W tej chwili żadna mi nie przychodzi do głowy.

Śnieżyca przybierała na sile, a paplanina dziewczynki z niewyjaśnionego powodu przyprawiała Anę o niepokój.

– W takim razie zaśpiewam taką, którą sama lubię, dobrze? Lubisz Luisa Mariana? Bo ja bardzo. Jest Hiszpanem, ale pochodzi z Francji, wiesz?

Eugenia zaczęła śpiewać pierwsze takty *Fioletzka*. Faktycznie miała ładny głos, o srebrzystej wyrazistości, i śpiewała czysto. Ana nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, kiedy dziewczynka chwyciła za końce swej chusty i mimo śniegu sięgającego już ponad kostki, zaczęła tańczyć do walcowego rytmu piosenki. Za każdym razem, gdy powtarzała słowa, które Luis Mariano rozciągał w swym śpiewie, kokieteryjnie przechylała głowę w bok. Skręciły za róg i znalazły się na ulicy z domem Isabelity. Nagle Eugenia zatrzymała się jak wryta i przestała śpiewać. Podniosła rękę do ust i stanęła wrośnięta w ziemię. Najwidoczniej niecierpliwłość okazała się silniejsza od obawy o zniszczenie obuwia, ponieważ don Benito wyszedł Anie naprzeciw. Z rękami

skrzyżowanymi na piersi spoglądał na dziewczynkę karcącym, gniewnym wzrokiem.

– Ile razy ci mówiłem, że nie chcę, żebyś śpiewała te nieprzyzwoite piosenki?

– Ale to była bardzo niewinna piosenka – próbowała jej bronić Ana.

– Wydają się zwyczajnymi przyśpiewkami, ale są pełne obietnic żądzy. – Zwrócił się do Eugenii i krzyknął: – Żądza! A przeciw żądzy...?

– Czystość – odpowiedziała z pochyloną głową.

– Czego nauczyłaś się z katechizmu o niebezpiecznych piosenkach?

– Że prowadzą do zbytnej czułości i zmysłowości.

– Dalej, do domu, okazać skruchę i czynić pokutę – rzekł, władczo pokazując jej palcem drogę.

– Tak, don Benito.

Odwróciła się i nie patrząc na nich ani się z nimi nie żegnając, oddaliła się biegiem.

Don Benito skierował się w stronę Any i odezwał swoim dawnym łagodnym tonem:

– Nie jest zła, ale zawsze trzeba mieć na nią oko. Nie naprzykrzała się pani? Jest zbyt ciekawska, zawsze wtyka nos w nie swoje sprawy.

– Proszę się nie martwić, tylko mnie odprowadziła – powiedziała Ana, choć w duchu musiała przyznać, że Eugenia wydała się jej nieco dziwna.

– Ciekawość to u kobiet wrodzona przypadłość.

Anie wyrwał się półuśmieszek wobec absurdu, jakim było mówienie czegoś takiego dziennikarce. Ksiądz też zdał sobie z tego sprawę, bo zaraz dodał:

– Chodźmy, jeśli można. Isabelita czeka na panią.

Don Benito zatarł ręce. Może z zimna, a może na myśl o tym, jak to przed chwilą określiła Eugenia, że Ana jest tutaj, by sprawić, że Isabelita będzie sławna.

Dotarli do domu małej świętej. Nie musieli pukać do drzwi – oczekiwano ich i otwarto natychmiast. Weszli. Proboszcz zdecydowanym krokiem zadomowionego gościa, Ana – próbując powściągnąć rozpierającą ją ciekawość.

Sutanna proboszcza zniknęła na tle ciemnego wejścia do domu. Kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku, Ana dostrzegła drugą postać – ubraną na czarno kobietę, która dotąd stała zasłonięta drzwiami. Ksiądz przedstawił ją jako Magdalenę, matkę Isabelity. Ana przypomniała sobie kobietę, która nie otworzyła jej drzwi poprzedniego dnia i zdenerwowała się jej próbą zobaczenia dziewczynki. Magdalena była drobna, szczupła, miała zapadnięte policzki i włosy zebrane w ciasny kok, co podkreślało jej wystający podbródek. Patrzyła na Anę z rękami splecionymi na podołku. Wszystko w niej przypominało ascetyczne wizerunki pokutujących świętych. Oprócz oczu. Jej oczy błyszczały dumą. Gdy don Benito przedstawił je sobie, zadowolenie rozciągnęło się również na usta kobiety. Rozplotła ręce, aby pokazać Anie drogę na piętro.

– Proszę, proszę. Isabelita jest już przygotowana.

Ana podażyła za nią wąskimi, stromymi schodami. Idący z tyłu don Benito z trudem powstrzymywał niecierpliwość i dwa razy nadepnął Anie na pięty.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzał w roztargnieniu.

Podczas wchodzenia zaczęła ją ogarniać fala ciepłego powietrza niosąca z sobą pomruk kobiecych głosów. Dotarli do jadalni – niskiego pokoju z widocznymi u sufitu ciemnymi drewnianymi belkami. W głębi znajdowała się połączona z paleniskiem kuchenka węglowa, a pośrodku stał kwadratowy stół, z którego odpadła większość lakieru, oraz cztery krzesła. Po prawej widniało dwoje niskich drzwi, drugie z nich były otwarte. Z sypialni sączyło się drążące złote światło i nakładało na mleczny blask bijący od okna wychodzącego na ośnieżoną ulicę.

Weszli do pokoju. Ciepło, które początkowo wydawało się Anie tak miłe, stało się bardziej intensywne, podobnie jak woń wosku. W pomieszczeniu, gdzie czekała na nich mała święta, do wyczuwanej wężem mieszaniny dołączył zapach wilgotnej wełny unoszący się z ubrań sześciu kobiet siedzących po bokach łóżka, po trzy z każdej strony.

Wszystkie na widok wchodzących przestały odmawiać różaniec. Cała szóstka podniosła głowy i spojrzała na Anę zmrużonymi oczyma. Następnie, także równocześnie, kobiety zwróciły spojrzenia na posłanie i w ten sposób skierowały wzrok Any na dziewczynkę spoczywającą na wielkim łóżku, z ramionami rozłożonymi na kształt krzyża. Ubrana była na biało jak panna młoda. Panna młoda bez butów. Gołe stopy opierały się na równie białej poduszce, przykryte cieniutką chusteczką z delikatną szydełkową koronką. Przez materiał zdawały się prześwitywać czarne plamy na podbiciu. Ręce leżały z dłońmi otwartymi ku górze, każda na osobnym białym jaśku, przykryta chusteczką z plamą krwi wypływającej z ran, które najwyraźniej przechodziły przez dłonie na wylot. Gołe ręce i bosc stopy, wystawione na widok. Podobnie jak drobna twarzyczka dziewczynki, której głowę okryto białą mantylką. Isabel była bardzo blada; miała ciemnokasztanowe oczy, zapadnięte pomiędzy gęstymi brwiami a fioletowymi podkówkami. Twarz zastygła jak u posągu, dziewczynka zaledwie mrugała, ale jej pierś poruszała się szybko, jak u maleńkich ptaszków. Mała oddychała przez nos. Usta miała zaciśnięte, tak samo nieruchome jak reszta twarzy.

Na znak don Benita sześć kobiet pochyliło głowy i ponownie zagłębiło się

w bolesnych tajemnicach różańca. Sznury paciorków zakołysały się w rękach.

W głowach łóżka stały zapalone dwie wysokie świece. Świecek umieszczono też na podłodze i na niskim stoliku z figurką świętej Łucji trzymającej przed sobą talerzyk z wylupionymi oczyma. Płomienie świec, modlące się kobiety, przyspieszony oddech dziewczynki zdawały się pochłaniać całe powietrze w pozbawionym okien pokoju. Ana poczuła, że się dusi, próbowała zrobić wdych i wciągnęła do płuc mieszaninę dymu, wyziewów z mokrej wełny i odoru potu, a do tego woń, której nie umiała zidentyfikować, ale która drażniła jej nos. Przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje. To była sekunda, lekkie zamroczenie, którego nikt nie zauważył z wyjątkiem dziewczynki wpatrującej się w nią uporczywie, odkąd weszła. Isabelita spostrzegła przelotne oszołomienie Any. Kąciki jej ust uniosły się w nieznacznym zarysie uśmiechu. W przytomnych oczach zdawała się błyskać żartobliwa iskra. Czy miała śmieje się teraz z chwilowej słabości gościa?

Nie. Usta dziewczynki rozciągnęły się bardziej, ale zaczątek uśmiechu przerodził się w grymas bólu. Spokój leżącej pierzchnął, zaczęła się rzucać na łóżku i wierzgać, a w jej oczach wezbrały łzy. Zasłoniła je ramionami. Ręce zostały zawieszony w powietrzu. Palce rozcapierzyły się konwulsyjnie. Mantylka zsunęła się z głowy i długie, mokre od potu kasztanowate włosy rozsypały się po poduszce. Ana, zaskoczona, cofnęła się o krok i oparła o futrynę drzwi. Rany na dłoniach dziewczynki wyglądały jak ciemne, skrwawione oczy szukające wzroku wszystkich obecnych osób. Kobiety przeżegnały się kilka razy, to samo zrobili proboszcz i Magdalena. Ana stała w drzwiach jak wrośnięta. Łóżko poruszało się, wstrząsane nogami dziewczynki, które wierzgały, jakby chciały odepchnąć rozdzierający ból. Mała święta otwarła usta jak do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, aż wreszcie odetchnęła głęboko i z głębi płuc wydała jeden przeciągły jęk.

– Ile w niej bólu! – powiedziała jedna z kobiet.

– Jak ona cierpi, biedactwo! – odezwała się inna z drugiej strony łóżka.

– Aniołeczek... – dodała trzecia.

– Radujmy się! – wykrzyknął obok Any don Benito.

Na widok dręczonej cierpieniem dziewczynki ich twarze zajaśniały uniesieniem. Kilka kobiet uśmiechnęło się przez łzy spływające im po policzkach. Ana nagle spojrzała na matkę. Dlaczego nic nie robi? Czemu nie ulży córce w bólu? Dlaczego nie podejdzie, nie obejmie jej, nie położy na czole dziecka chłodnej chusteczki, by obniżyć gorączkę?

Ale Magdalena stała spokojnie obok łóżka z rękami złożonymi na podolku i tylko patrzyła na konwulsje córki.

Wtem ktoś zapukał do drzwi i matka pośpiesznie wyszła z sypialni.

– Zaczynają się wizyty – wyjaśnił proboszcz.

– Wizyty? – zapytała Ana przyciszonym głosem.

– Ludzie przychodzą prosić Isabelitę o różne rzeczy. Niektórzy przybywają tylko po to, by ją po prostu zobaczyć. Lepiej wyjdźmy i pozwólmy, żeby mogli pobyć z nią sami.

Sześć kobiet zostało w alkowie.

Ksiądz, jakby był u siebie, zaprosił Anę, żeby usiadła przy stole w jadalni. Zrobiła, co zaproponował, i zaraz potem mogła się przyglądać procesji osób, które Magdalena wpuszczała po jednej do pokoju córki. Kolejka ciągnęła się wzdłuż ściany jadalni, zajmowała całe schody, a sądząc po odgłosach dobiegających z dołu, ludzie tłoczyli się również tam, gdzie rodzina miała drewnię. Odwiedzający patrzyli na Anę ze zdziwieniem; niektórym być może jej obecność przeszkadzała, innym zaś wręcz schlebiała.

– To dziennikarka z Barcelony – wyjaśnił im proboszcz.

Ana odniosła wrażenie, że też jest przedmiotem zainteresowania i że don Benito celowo wybrał miejsce, gdzie ją posadził. W wystarczającej odległości od oczekujących petentów, lecz na widoku, by wszyscy mogli ją sobie obejrzeć.

Dostrzegła wspierającego się na kulach mężczyznę z wiszącą bezwładnie nogą, jakby nie należała do niego. Kobieta o twarzy zdeformowanej oparzeniami, inną niosącą na rękach dziecko z wyraźnym wodogłowiem, staruszkę, która przyjechała w jukach na osle, a do pokoju wniesiono ją na krzesło, dziewczynę o zagubionym spojrzeniu, o której ksiądz powiedział, że coś jej się popsło w głowie, gdy w wieku dziesięciu lat zachorowała na zapalenie opon mózgowych. Słysząc było kaszel, lamenty, zawodzenie dzieci, płacz, czasami wyrzekania, gdy ktoś chciał się wcisnąć bez kolejki albo za bardzo zbliżył się do innego oczekującego.

Zanim ktokolwiek wszedł do sypialni dziewczynki, proboszcz odmawiał z nim modlitwę. Jako że nie miał wizerunków Isabelity, rozdawał obrazki przedstawiające świętą Łucję i inne małe męczennice. Każdy z suplikantów przebywał w alkwie przez kilka minut, a następnie wychodził bardzo poruszony. Ana zafascynowana przyglądała się przemianie zachodzącej w ich twarzach i ruchach.

O godzinie drugiej Magdalena oświadczyła, że jej córka jest wyczerpana i nikogo już dziś nie przyjmie. Podniósł się pomruk protestów. Gdy don Benito uciszał je łagodnymi słowami, ze schodów dobiegł ich kobiecy głos:

– Zrobiłam trzydzieści kilometrów, żeby się tu dostać, w tej śnieżycy. Nie możecie mnie odesłać z powrotem i nie pozwolicie zobaczyć się ze świętą.

Don Benito wymienił spojrzenia z Magdaleną, ta skinęła głową i pozwolili tamtej kobiecie wejść. Pozostali rozeszli się. Ani proboszcz, ani matka nie ulegli wobec kolejnych próśb.

Kiedy ostatnia suplikantka wyszła, to samo zrobiło sześć kobiet, które do tej pory modliły się przy łóżku dziewczynki. Magdalena została z córką. Don Benito, wyraźnie zmęczony, usiadł obok Any.

– Isabelita jest wyczerpana. Ale zgodziliśmy, żeby ją zobaczyła ta biedna kobieta. Ma bardzo chorego męża i żywi nadzieję, że nasza święta wyjedna mu zdrowie.

Ana przez cały czas dyskretnie robiła notatki, a teraz zaczęła wypytywać:

– Zawsze jest tyle osób?

– Tak, coraz więcej.

– Czy przybywają z daleka?

– Przede wszystkim z pobliskich wsi, ale sława Isabelity rozchodzi się po naszej comarce. A kiedy ukaże się pani artykuł...

Drzwi od alkowy dziewczynki otworzyły się wolno i Magdalena wyszła z palcem wskazującym na ustach, prosząc ich o ciszę.

– Dziecina musi się przespać.

– Czy wciąż krwawi? – zapytał don Benito.

– Jeszcze trochę. Potem dam księdzu chusteczki.

Wobec pytającego spojrzenia Any proboszcz wyjaśnił:

– Na niedzielnych mszach wystawiamy chusteczki z krwią pochodzącą ze stygmatów.

– A co z nimi później robicie?

– Chowamy je. Trzymam wszystkie w szufladzie w zakrystii.

– Od kiedy Isabelita ma stygmaty?

– Od dwóch miesięcy. Chociaż nie można wykluczyć, że coś działo się już wcześniej, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy.

Ana zanotowała informacje. Przeliczyła sobie w głowie, ile chusteczek musi zawierać szuflada.

– Proszę napisać, że od Bożego Narodzenia – powiedział don Benito, wskazując palcem linijkę na papierze, w której Ana zamieściła przybliżoną datę: w pierwszym tygodniu grudnia.

Spojrzała na niego zdumiona. Następnie odruchowo pacnęła cienki palec księdza ołówkiem, jakby był uprzykrzonym dzieckiem.

– Wówczas nie będzie dwóch miesięcy.

Proboszcz cofnął dłoń. Wyraz cnotliwego entuzjazmu, z jakim zwracał się do niej do tej pory, nagle zniknął z jego twarzy. Spojrzenie kierowane zza grubych szkielek okularów stwardniało, łagodnie zarysowane policzki stężały, jakby spokojne dotąd mięśnie przygotowały się do ruchu. Był wściekły, ale najwyraźniej ustąpił wobec możliwości, że zostanie bez reportażu.

– Proszę nie pomyśleć, że chcę manipulować rzeczywistością. Zasugerowałem tylko drobną *licentia poetica*.

Magdalena patrzyła na nich z niedowierzaniem, może nieco zawstydzona sceną, której właśnie była świadkiem. Ze spuszczonego wzrokiem zwróciła się w stronę kuchni, wyjęła garnek i postawiła go na ogniu.

– Zaparzę ziółka dla Isabelity.

W ciszy, jaka zapadła w pomieszczeniu, słychać było tylko trzask drewna płonącego na palenisku i stłumiony szloch dobiegający z sypialni małej świętej. Magdalena, czekając, aż woda się zagotuje, stała przy kuchence ze wzrokiem utkwionym w drzwi od pokoju. Proboszcz też spojrzał w tym kierunku. Ana robiła notatki, ale – świadoma, że don Benito próbuje je przeczytać – zaczęła stosować stenografię. Nie sądziła, aby uczono jej w seminariach. Mimo to nie odnotowała własnych odczuć: przerażenia, jakie wywołał w niej widok cierpiącej dziewczynki, zdziwienia wobec wzbudzonej przez jej rany gorliwej pobożności, a także wrażenia, które odniosła już przy pierwszym spotkaniu z don Benitem – że w szerzeniu wieści o stygmatach ma on zbyt wiele osobistych interesów.

Proboszcz odczekał, aż Magdalena wejdzie z naparem do sypialni, po czym zwrócił

się do Any:

– Czy chciałaby się pani jeszcze czegoś dowiedzieć?

– A czy ksiądz chciałby mi jeszcze coś powiedzieć?

W oczach don Benita tylko na moment znów zaiskrzyła irytacja. Zniknęła, gdy poważne spojrzenie Any przekonało go, że zadała mu po prostu pytanie, a nie rzuciła prowokację.

– Może zainteresowałoby panią, że czasami Isabelita mówi niezrozumiałym dla nikogo językiem.

– Niezrozumiałym nawet dla księdza?

– Nie jest to łacina ani greka. Wiadomo, że niektórzy stygmatycy mówią po aramejsku, lecz ja niestety nie potrafię zidentyfikować tego języka.

– A dziewczynka nie pamięta tego, co wypowiedziała?

– Nie pamięta absolutnie niczego. Nie przypomina sobie też, czy miewała wizje.

Nagle proboszcz przypomniał sobie coś z niepokojem:

– Zdjęcia!

Zapomnieli o nich. Ana miała aparat w torbie, lecz wygląd dziewczynki bynajmniej nie poruszył w niej dziennikarskiej chęci relacjonowania wydarzeń, a jedynie wzbudził przerażenie przemieszane ze współczuciem. W tej chwili chciała tylko wyjść z tego domu i oddalić się z wioski. Z fotografiami lub bez nich. Czytelnicy „El Caso” musieliby się zadowolić widokiem drzwi domu małej świętej lub kościoła. Ana miała już zdjęcia alkada, a gdyby Magdalena się zgodziła, mogłaby ją też sportretować. Albo samego proboszcza. I może jeszcze zezowatą Eugenię, skoro zrobiła jej taką nadzieję.

Zaraz jednak pożałowała swojego braku profesjonalizmu.

Don Benito patrzył skonsternowany na jej torbę, w której powinien być aparat fotograficzny.

– Proszę poczekać – rzekł.

Wstał i wszedł do pokoju dziewczynki, po czym zamknął za sobą drzwi. Ana usłyszała, że rozmawia z Magdalena, chociaż nie docierały do niej słowa.

– Nie – odezwała się Isabelita.

Odpowiedzi don Benita Ana nie dosłyszała, mówił za cicho.

– Nie chcę więcej. Jestem głodna – głos dziewczynki brzmiał chrapliwie.

– Proszę, Isabelito – wtrąciła Magdalena.

– Nie chcę zdjęć, nie chcę ziótek.

– Isabelito, bądź grzeczna – napomniała ją matka.

– Ale nie chcę już więcej – powtórzyła mała płaczliwie.

Mimo zamkniętych drzwi Ana zauważyła za nimi ruch. Lament dziewczynki wzmógł się. Przygotowania zapewne robią jej jakąś krzywdę. Ana podniosła się, by powiedzieć tamtym, że to nie jest konieczne, ale znów jej sumienie i ambicja stoczyły nierówną walkę, ponieważ wyjęła aparat z futerału i sprawdziła, ile zostało filmu. Jeszcze na osiem zdjęć. Wykorzysta wszystkie klatki. Oświetlenie w alkowie było bardzo kiepskie, a ona chciała mieć pewność, że zrobi to przekłete zdjęcie świętej.

Płacz osłabł. Słysząc już było tylko jęki.

Wkrótce potem otwarły się drzwi. Don Benito i Magdalena czekali, stojąc po

bokach łóżka, z dziewczynką pośrodku. Ułożyli Isabelitę z powrotem tak, jak Ana zastała ją po przyjeździe: bosa nogi na jaśku, ramiona rozpostarte w kształcie krzyża, na głowie mantylka. Dłonie już nie krwawiły, ale o krwi świadczyły plamy oraz głębokie czarne rany. Jednak spojrzenie dziewczynki nie było już takie samo. W miejsce zaciekawienia przebijała przez nie uraza.

Wychodziła tak pośpiesznie, że przypominało to ucieczkę.

Niezręcznie włożyła aparat do skórzanego futerału i żeby nie tracić czasu na układanie go w torbie, przewiesiła sobie pasek przez szyję i zeszła po schodach z aparatem dyndającym na płaszczu. Don Benito zdawał się nie dostrzegać jej zakłopotania i zstępował za nią ze schodów, trajkocząc radośnie, po tym jak Ana sfotografowała leżącą dziewczynkę w różnych ujęciach.

Gdy zeszli na parter, ujrzała w głębi pomieszczenia stół, którego przedtem nie dostrzegła – był zastawiony różnymi rzeczami, najwyraźniej ofiarami od suplikantów; piętrzyły się na nim: kiełbasa, sery, jajka, kosze ziemniaków, jakieś naczynia, nawet białe chusteczki do zbierania krwi ze stygmatów.

– Dowody wdzięczności – poczuł się w obowiązku wyjaśnić don Benito.

– Pieniądze też?

– Czasami, ale rodzina przekazuje je wszystkim kościołowi, na biednych. Większość osób jednak wręcza jakiś mały dar, zwłaszcza jeśli zostanie im udzielona łaska.

Wskazał na jedną ze ścian, gdzie niczym upolowane zające wisały woskowe wota. Dwie nogi i ramię dorosłych osób oraz dwa ramionka dziecięce i całe niemowlę, które swoim realizmem przypomniało Anie płód znaleziony przez zamiatacza ulic w koszu na śmieci pośrodku Rambli.

– Czy ma ksiądz potwierdzenie, że któraś z próśb została wysłuchana?

Celowo wystrzegła się słowa „cud”, nie chciała go wymawiać. Proboszcz zauważył neutralny ton jej pytania i odpowiedział z niejakim rozdrażnieniem, którego nie zdołał ukryć za dobrodusznym uśmiechem.

– Nie wystarczą pani te wszystkie dowody?

Szerokim gestem objął wiszące wota.

Ana nie skomentowała tego. Miała właśnie otworzyć drzwi i wyjść, lecz don Benito przeszkodził jej, podtrzymując je ręką.

– Kiedy ukaże się artykuł?

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, w najbliższym numerze.

Ksiądz wydał pomruk zadowolenia, ale nie puścił drzwi.

– Jestem pewien, że wypadnie doskonale. Przyznaję, że miałem wątpliwości, widząc, że nie przyjechał sam pan Rubio, i nie zaprzeczę też, że pani płęć wzbudziła we mnie sceptycyzm, ale wszystkie me zastrzeżenia rozwiały się, kiedy zdołała pani przekonać don Juliána, by zmienił zdanie.

Błede dłonie don Benita gestykulowały płynnie przed oczami Any. Słabe oświetlenie wnętrza nadawało im to samo niebieskawe zabarwienie co wotom na ścianie.

– Cóż, okazał się człowiekiem rozsądnym – odparła Ana.

– Rozsądnym, rozsądnym. – To określenie zdawało się nie przekonywać proboszcza. Złożył dłonie na wysokości ust i w zamyśleniu postukiwał się palcami wskazującymi po wargach. – Powiedziałbym raczej, z całym szacunkiem, ponieważ bez wątpienia jest to wielka osoba, wręcz osobistość, rzekłbym więc, że jest zbytnim

racjonalistą, obawiam się nawet, że sceptykiem, aczkolwiek zachowuje w tym dyskrecję, przynajmniej bez prozelityzmu. Dlatego napawa mnie wielkim spokojem, że mam panią po swojej stronie. Jestem przekonany, że przeczytam pani tekst z ogromną radością.

Miał nieobecny wzrok. Zapewne widział sam siebie, jak czyta jej artykuł w gospodzie, otoczony zafascynowanymi słuchaczami, oczarowanymi jego imponującym głosem.

– A co pani napisze?

– Cóż... to, co dziś tutaj widziałam.

– Jasne, jasne. Proszę mi wybaczyć ciekawość. To dla mnie ważna chwila.

Ana zrobiła krok w stronę drzwi.

– Przepuści mnie ksiądz?

Zabrał rękę i wolno przesunął się na bok, jak gdyby coś w nim – zapewne chęć dowiedzenia się, co Ana zawrze w artykule – opierało się temu ruchowi, ale nie znalazł powodu, by dalej zatrzymywać gościa w domu małej świętej. Ana wyszła na ulicę. Proboszcz zamknął za nią drzwi, posławszy jej pogodny uśmiech.

Śnieg przestał padać, a temperatura spadła jeszcze niżej. Mróz kłuł Anę po całym ciele, jakby płaszcz, który miała na sobie, był zrobiony z papieru. Zaczęła brnąć przez grubą warstwę śniegu. Na końcu ulicy nie mogła już poruszać palcami u nóg i miała bolesne wrażenie, że stopy zamieniły się jej w lodowe bryły. Usta jej spierzchły i popełniła błąd, zwilżając je końcem języka. Przeklinała swój brak przezorności, przez który nie zabrała rękawiczek; mimo że szła z rękami w kieszeniach płaszcza, i tak jej zgrabiały. Poruszała się na tyle szybko, na ile pozwalał jej śnieg. Chciała już jak najprędzej znaleźć się w gospodzie, zjeść coś, spakować walizkę i wyjechać, gdy tylko przybędzie po nią kierowca.

Wciąż była pod wrażeniem ran dziewczynki. Nie miały nic wspólnego z namalowanymi fałszywymi stygmatami portugalskiej mniszki, o której wspomniała jej Beatriz. Ana widziała w swej pracy wystarczająco dużo krwi i ran, by wiedzieć, że tu miała do czynienia z prawdziwą krwią, która płynęła z rąk dziecka. Nie wierzyła jednak w cuda ani w stygmaty. Za całą tą sprawą musi się kryć interwencja ludzka, nie boska. Przychodziły jej do głowy tylko trzy możliwości: proboszcz, matka albo sama Isabelita. Don Benito jest niczym zaklinacz węży – swoim głosem i darem wymowy oczarowuje zwłaszcza dziewczynki i kobiety. Ponadto ma aspiracje – chce się wślawić i awansować. Czy w swojej ambicji posunąłby się do tego, by jeśli nie fizycznie, to choć mentalnie wywołać te rany? Nie wyobrażała sobie, żeby proboszcz, który nie chciał sobie zamoczyć butów w śniegu, był zdolny do czegoś takiego; może wykorzystał ogromny wpływ, jaki ma na matkę. Ale któraż matka zrobiłaby to swemu dziecku? Fanatyczka zaślepiona przez kogoś, kto wie, jak obiecać odkupienie. Albo bogactwo. Nie. Żadna matka nie umiałaby wyrzucić swej córce takiej krzywdy. Zupełnie co innego wierzyć, że rany są łaską daną od Boga. Ana przypomniała sobie ze zgrozą pełen zachwytu wzrok Magdaleny. A sama Isabelita? Niemożliwe. Jakie dziecko zrobiłoby coś takiego? A przede wszystkim: po co? Oczy dziewczynki, jej skargi, jej płacz nie świadczyły o tym, że pogodziła się ze swą sytuacją. Gdyby Ana mogła porozmawiać z nią na osobności... Ale matka i proboszcz nie pozwolili na to i pewnie nie pozwolą. Dziewczynka została wystawiona na pokaz. Nic

więcej.

Ana nikogo nie spotkała na ulicy i zastanawiała się, gdzie się podzieli wszyscy ci ludzie, którzy przybyli rano do małej świętej. Dowiedziała się tego, kiedy dotarła do gospody. Wokół trzech spośród kilku stołów w jadalni siedziały osoby, których twarze widziała wcześniej w domu Isabelity. To ludzie spoza wioski, pomyślała, ale nie tak bardzo obcy jak ona sama, ponieważ gdy tylko weszła, wszyscy umilkli i skierowali na nią wzrok. Uśmiechnęła się, cokolwiek onieśmielona, lecz nikt nie odwzajemnił uśmiechu.

Tylko dziewczyna, która w dzieciństwie przeszła zapalenie opon mózgowych, wydała coś w rodzaju głuchego śmiechu i zaczęła się kiwać na krześle w przód i w tył, aż towarzysząca jej kobieta, być może matka, kazała się jej uspokoić. Dziewczyna przestała się kołysać i zamiast tego potrząsała głową, kierując w stronę Any szczerbaty uśmiech.

– Witaj, witaj – wybełkotała.

Jako że nie dostała odpowiedzi, powtórzyła to samo głośniej.

– Cicho – skarcił ją siedzący obok niej mężczyzna.

– Witaj, witaj – powiedziała ponownie.

Mężczyzna uderzył pięścią w stół. Dziewczyna pochyliła głowę i wciąż zerkając z ukosa na Anę, zaczęła pochlipywać. Ana przeszła przez jadalnię w stronę kuchni, ignorując śledzące ją oczy. Aurelia już na nią czekała.

– Niech im pani nie bierze tego za złe, ludzie są ciekawi. Ależ pani drży z zimna! Może by pani coś zjadła?

– Właściwie dobrze by mi to zrobiło. Czy udało się pani zamówić kierowcę?

– Zostawiłam na poczcie polecenie, żeby wezwali Amancia i powiedzieli mu, że ma tutaj być o trzeciej. Może usiądzie pani w saloniku na gorze? Tam będzie spokojniej. Za kilka minut przyniosę posiłek.

Najwyraźniej Aurelia przewidziała, że Ana tu przyjdzie, ponieważ pod stolikiem grzewczym znajdowało się już naczynie z żarem. Ana usiadła, wciąż drżąc, zdjęła buty, postawiła je blisko, by wyschły, i przykryła sobie nogi. Aurelia weszła z jedzeniem.

– Zdaje się, że don Benito jest z pani zadowolony.

– Czemu pani tak sądzi?

– Don Onésimo siedzi na dole przy winie. Powiedział mi, że spotkał go na ulicy i ksiądz jest radosny jak oberek. Za przeproszeniem.

– Za przeproszeniem?

– Pani nie wie, jaką niechęć don Benito żywi do muzyki.

Podczas gdy kończyła jeść potrawkę, tym razem z dorsza z ziemniakami, rozmyślała o jakże przeciwnych oczekiwaniach, jakie wobec niej mają mieszkańcy wsi. Z jednej strony duszpasterz spodziewa się, że pod wpływem jej artykułu w „El Caso” sława małej świętej rozpowszechni się w całym kraju, a sam najwyraźniej widzi w tym narzędzie swojego awansu w kościelnej hierarchii. Z drugiej strony jest Julián Maestre, którego poglądy są Anie bliskie, a który pozwolił jej zobaczyć się z dziewczynką po to, by zdemaskowała oszustwo albo wykazała konsekwencje zbiorowego oszołomienia i raz na zawsze skończyła z rodzącym się kultem dziewczynki i narastającym w wiosce niepokojem. Każdy z dwóch mężczyzn chce od niej czegoś przeciwnego

i prawdopodobnie będzie musiała rozczarować obu.

Lepiej by było, gdyby cała ta sprawa okazała się zwykłą sztuczką, tak jak z tamtą portugalską mniszką. Co by się wtedy stało? Najprawdopodobniej Ana opublikowałaby notkę dementującą domniemany cud, co sprowadziłoby na proboszcza spore kłopoty, tym bardziej że – na ile Ana wiedziała – jeszcze nie powiadomił oficjalnie władz kościelnych. Don Julián byłby zachwycony, do Las Torres przestałyby ściągać pielgrzymki, a co najważniejsze wszystko okazałoby się oszustwem. Ale tak nie będzie. Ponieważ rany są prawdziwe. Na pewno? Tak, na pewno. Nie dało się zaprzeczyć.

Ana nie wiedziała, co myśleć o tym, czego była świadkiem. Rany, krew, ból... Ale co oznaczają? Nie. Pytanie jest jeszcze prostsze. Co tak naprawdę widziała? Wszyscy rozpoznają u Isabelity stygmaty, cudowne rany będące wspomnieniem Chrystusowej męki. Czy właśnie to dostrzegła Ana? Czy może oglądała dziewczynkę z ranami, których pochodzenia nie rozumie lub lepiej powiedzieć: nie zna? Chudą, wynędzniałą dziewczynkę, płaczącą z bólu, podczas gdy wszyscy przyglądają się jej z zachwytem i podziwianiem. Anie żal było biednego dziecka, a jej smutek przerodził się w odrazę do tych, którzy lubują się w jego cierpieniu.

Dlatego czuła, że jej wyjazd, jej chęć jak najszybszego wydostania się z tego miejsca, to ucieczka. Ucieczka frustrująca dla dziennikarki, która powinna dotrzeć do sedna sprawy i wykryć oszustwo, choćby na nie nic nie wskazywało. Ucieczka haniebna, ponieważ zostawiała tę dziewczynkę na pastwę losu, nic dla niej nie robiąc, chociaż właściwie nie wiedziała, jak jej pomóc.

– Ale wyjeżdżam – powiedziała na głos.

„Dziennikarze nie rozwiązują problemów ani nie naprawiają ludziom życia. Podajemy tylko informacje, a odbiorcy wyciągają własne wnioski” – pomyślała.

Co napisze? Może najlepiej byłoby nie pisać nic. Chyba udałoby się przekonać Rubia, by zapomniał o tym temacie. I pozwolić, żeby się zmarnowała interesująca historia? „Wyłączność! Wyłączność!” – przypomniawszy sobie. Czyja jest ta historia? Dziewczynki, której krwawią ręce i stopy i która wzbudziła falę religijnego zapалу w okolicy. Prawie to samo Ana wiedziała w chwili przybycia do Las Torres. Jedyna różnica polega na tym, że sama ją przed chwilą widziała.

Za nieco ponad godzinę na placu stawi się po nią kierowca. Miała czas, żeby się rozgrzać, spakować walizkę i pożegnać. Potem po raz ostatni wystawi się na dojmujące zimno, będzie brnęła przez śnieg i pozwoli, aby mieszkańcy wioski wbili w nią spojrzenia – od zaciekawionych po wrogie. Podróż do Barcelony znów będzie długa i uciążliwa. Nie miało to jednak dla niej znaczenia, chciała już tylko znaleźć się w domu, pisać przy swoim stole, spać we własnym łóżku. Pragnęła słyszeć zgrzytanie tramwajów na torach, głosy na wewnętrznym podwórku swojej kamienicy, dzwonki telefonów; chciała widzieć fale ludzi wynurzających się z metra, światła kin, witryny sklepów odzieżowych, cukierni. I odjechać daleko, bardzo daleko od tych opustoszałych, stromych uliczek, od domów z zamkniętymi oknami, od ciszy, od krwawiących dziewczęcych rąk, chociaż wiedziała, że wyrzuty sumienia po zostawieniu tego dziecka własnemu losowi będą ją ścigać aż do Barcelony.

Wkrótce potem przyszła Aurelia z kawą. Miała zakłopotaną minę.

- Obawiam się, że przynoszę złe wieści: droga do wsi jest odcięta. Za dużo śniegu.
- W takim razie nie przyjechał po mnie samochód?
- Nie. Właśnie wróciły dwie osoby, które na spotkanie ze świętą przybyły autem.

Musiały zawrócić i z wielkim trudem udało im się dotrzeć tu z powrotem. Zdaje się, że tej nocy będę miała pełną gospodę.

– Ale ja muszę wrócić do Barcelony.

– Tylko że to niemożliwe. Poza tym na niebie wiszą takie chmury, że pewnie spadnie jeszcze więcej śniegu.

Aurelia podsunęła jej małą cukierniczkę z białego fajansu, z której wystawała błyszcząca rączka srebrnej łyżeczki. Ana zrozumiała, że gospodyni próbuje jakoś jej osłodzić przeciwności losu.

– To też część posagu?

– Tak. I niech pani popatrzy. – Uniosła pokrywkę i pokazała cukier. – Trzymam go od jakiegoś czasu. Cóż, pójdę na dół, mam klientów.

– Bardzo pani dziękuję, Aurelio. Czy wieś często bywa odcięta od świata?

– Prawie każdej zimy zdarza się raz albo dwa razy.

– I co wtedy robicie?

– Nie rozumiem. Co mielibyśmy robić? To samo co zawsze.

– Jasne, jasne.

Ana została sama, wpatrując się w parującą filiżankę kawy, łyżeczkę, w którą Aurelia tchnęła nieco blasku, oraz w cukierniczkę z małym skarbem ofiarowanym przez właścicielkę gospody. Ana piła kawę z namaszczeniem, na jakie ten poczęstunek zasługiwał, nie mogła się jednak pozbyć przykrego uczucia wywołanego tym, że będzie musiała spędzić we wsi więcej dni. Ile? Pozwoliła sobie, by łyżeczka cukru przytłumiła nieco wrażenie klaustrofobii, które zaczęło ją ogarniać, wypełzając z żołądka. Snieżyca rozwiązała dylemat, przed jakim postawiło Anę sumienie. Teraz, gdy jest zmuszona tu zostać, może uda się jej wyjaśnić pochodzenie ran Isabelity.

Godzinę później wyszła z gospody, tym razem w rękawiczkach i z głową okutaną w czarną wełnianą chustę, pożyczoną od Aurelii. „Upodabnam się do miejscowych” – pomyślała, z trudem prac w stronę urzędu pocztowego. Chciała przynajmniej zawiadomić Rubia, że utknęła we wsi odciętej przez śnieg.

Weszła. Znowu zadzwieczał dzwonek, znów pojawiła się otyła kobieta o ciele w kształcie ósemki.

– Jeżeli chce pani zadzwonić, nie da się, nie mamy linii. Pewnie pod ciężarem śniegu zwałił się któryś słup.

Ana wyszła z budynku bardzo zawiedziona. Ucieszyła się, że jej żal rozproszyły jakieś dziecięce głosy. Mimo mrozu na placyku bawiła się grupka dziewczynek. Grały w berka, a jednocześnie śpiewały. Melodia pochodziła ze znanej piosenki, lecz słowa były inne:

Potwór brzydal lubi róże,

Tylko małe, nie za duże.

Ścina, wacha kwiatki,

Obrywa im płatki.

*Chowajcie się, chowajcie, bo ta, która się schowa,
Nie da się potworowi i tylko tak uchowa.
Potwór brzydal lubi róże,
Takie świeże, ukwiecone,
Pożera je białe,
Wypluwa czerwone.*

*Chowajcie się, chowajcie, bo ta, która się schowa,
Nie da się potworowi i tylko tak uchowa.*

Ana zwróciła uwagę, że używają słowa „czerwone”, zakazanego przez reżim. Może na wsi jest inaczej. Albo też może mówią tak, kiedy nie ma w pobliżu dorosłych. Stosowany typowo zamiennik, „karminowe”, nie pasował liczbą sylab i nie rymowałby się. Dziewczynki zaśpiewały chórem, trzymając się za ręce. Następnie trzy puściły się biegiem, a jedna została na miejscu, zaśpiewała jeszcze raz na cały głos, bardzo szybko, po czym zaczęła je ścigać, a one krzyczały:

– Potwór! Potwór!

Kiedy ścigającej udało się dotknąć jednej z uciekających, ta zatrzymywała się, śpiewała piosenkę, a po skończeniu sama zamieniała się w goniącą. Ana stanęła na chwilę w drzwiach poczty i przyglądała się im. Jedną z dziewczynek była zezowata Eugenia, którą poznała rano. Chociaż w tym momencie ścigała koleżanki, będąc potworem, zaniechała łapanek i podbiegła do Any.

– Widziałas już Isabelitę? Zrobiłaś jej zdjęcie?

Pozostałe dziewczynki też przestały się bawić i patrzyły na nie dwie z pewnej odległości.

– Jasne, zrobiłam jej sporo zdjęć.

Ana ruszyła w swoją stronę. Trzy dziewczynki nie drgnęły z miejsc, gdzie przerwały zabawę. Wyglądały, jakby się nagle zamieniły w rozstawione na placu posągi, odprowadzające Anę wzrokiem. Eugenia przeciwnie, szła u boku Any, żeby nie stracić jej z oczu.

– Czy w Barcelonie pada śnieg?

– Normalnie nie. Nie jest aż tak zimno.

– Na pewno ludzie kąpią się w morzu na plaży.

– No cóż, w lutym nie. Poza tym tam też zrobiło się całkiem chłodno.

Dziewczynka paplała dalej, jakby w rozmarzeniu:

– I ludzie wkładają ubranie, żeby się wykapać w morzu, a potem siedzą na piasku, w słońcu.

Nic nie zdawało się bardziej odległe niż letni dzień nad morzem. Ana wyobraziła sobie plażę w Barceloncie z zamarzniętymi falami, zatrzymanymi przez mróz w pełnym ruchu, ich grzebienie niczym krawędzie szklanych figur, piasek ukryty pod śniegową czapą. Na samym brzegu stwardniałe na kamień ślady bosych stóp. Jej własne stopy były już przemoczone, miała pełno śniegu w butach.

– Czy to prawda, że chłopcy kąpią się w krótkich spodenkach, takich dotąd? – Eugenia pokazała pół uda.

– Tak.

– Widziałaś ich?

Ana znów przytaknęła. Dziewczynce wyrwał się chichot. Kogo wyobraziła sobie w kąpielówkach?

Eugenia krążyła wokół niej, trajkocząc jak najęta. Nie przestawała się poruszać, ale jedno z jej zezowatych oczu wciąż pozostawało wbite w Anę. Doszły do rogu ulicy.

– Wiesz, że Isabelita jest moją naj, najlepszą przyjaciółką? – powiedziała nagle przyciszonym głosem, oglądając się na swoje koleżanki.

Ana popełniła błąd i również się obejrzała, a przez to potknęła o coś w rodzaju krawężnika, na wpół ukrytego pod śniegiem, i upadła. Za jej plecami rozległ się śmiech trzech dziewczynek. Teraz zebrały się wszystkie pośrodku placu jak trzy małe złośliwe kruki. Eugenia nie roześmiała się. Wyciągnęła rękę, żeby jej pomóc się pozbierać. Ana nie przyjęła pomocy.

– Czemu nie pójdziesz bawić się z koleżankami? – zapytała, wstając i otrzepując sobie ubranie ze śniegu.

Mała popatrzyła na nią nieco urażona i odeszła. Pozostałe trzy puściły się biegiem.

– Potwór! Potwór!

Lepiej było już wrócić do gospody.

Resztę wieczoru spędziła, czytając w pokoiku Aurelii i od czasu do czasu słuchając radia. Jeżeli w sobotę nie dotrze do wsi ani autobus, ani zamówiony samochód, będzie musiała poprosić don Juliána, by jej pożyczył jakąś książkę. Coś lekkiego, nie miała ochoty na klasyków złotego wieku ani na myślicieli francuskiego oświecenia.

Przed szóstą lampa zamrugła trzy razy. Nim Ana zapaliła świeczkę, którą Aurelia zostawiła na stole w przenośnym świeczniku, mruganie ustało. Potem światło to przygasało, to jaśniało z powrotem, aż ponad godzinę później lampa przestała świecić, a głos spikera urwał się w pół zdania. Pokój pogrzyżył się w ciemności i ciszy. Ana po omacku znalazła świecę, zapaliła ją i poczekała chwilę, ale prąd już nie przyszedł.

Tak czy inaczej nie ruszyła się z miejsca do kolacji. Gdy zeszła, zobaczyła, że jadalnia jest pełna. Wśród osób siedzących przy stołach zauważyła rodzinę z dziewczyną, która dziś była u małej świętej.

– Witaj, witaj – odezwała się gardłowo tamta.

Towarzysząca jej kobieta syknęła, by ją uciszyć, a jednocześnie rzuciła przestraszone spojrzenie na mężczyznę, któremu przeszkadzał głos dziewczyny.

Ana usiadła sama koło ognia, odwracając się plecami do reszty. Jeśli chcą na nią patrzeć, niech się gapią. Mauricio pomagał Aurelii nakrywać do stołów. Na widok Any jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Potem chłopak przyniósł jej jedzenie. Jako że nie mógł oderwać od niej wzroku, o mało nie zgubił zawartości talerza. Aurelia zbeształa go, ale on nie przestawał się uśmiechać. Poruszał dziwnie nosem, jakby wietrzył zapach.

Krótko później Ana położyła się do łóżka. Kiedy zgasła świeczkę, zapadła absolutna ciemność. Tej nocy nie zamknęła okiennic. Z sąsiednich pomieszczeń dobiegały różne odgłosy. Kroki osób udających się po schodach do sypialni, donośny głos dziewczyny domagającej się czegoś krzykiem, napomnienia jej matki, śmiech innej kobiety, trzaśnięcie drzwi, rytmiczne sapanie jakiegoś mężczyzny, skrzypienie łóżka

i w końcu stłumione pomruki. Potem w domu zrobiło się cicho. Ana zapadła w lekki, niespokojny sen.

Obudził ją rozlegający się blisko dźwięk. Jeszcze w półśnie rozróżniła metaliczne pstryknięcie, a po nim długie, ciężkie kroki. Otworzyła oczy. Ktoś wszedł do jej pokoju. Sypialnia tonęła w ciemności, ale rozświetlił ją słaby blask księżyca. Intruz stał pośrodku pomieszczenia. Zanim Ana dostrzegła nieruchomą sylwetkę, usłyszała przyśpieszony oddech. Ten ktoś wydychał powietrze przez usta niekontrolowanymi parsknięciami. Ana nie odezwała się. Postać zrobiła kilka chwiejnych kroków w stronę łóżka. Strach sparaliżował Anie ciało, ale umysł gorączkowo szukał wyjścia, przebiegał sypialnię, próbując sobie przypomnieć, czy w zasięgu ręki nie ma jakiegoś przedmiotu, którym mogłaby się obronić.

Tamta osoba zatrzymała się z nogami tuż przy łóżku, a potem na nim usiadła. Pod wpływem starego dziecięcego strachu Ana poczuła, że jej stopy są od niej dalekie i bezbronne. Podkuliła nogi. Już nie mogła udawać, że śpi, i intruz zdał sobie z tego sprawę.

– Witaj, witaj – rzekł.

Mimo że Ana natychmiast rozpoznała niepełnosprawną umysłowo dziewczynę, mimowolnie zdążyła wrzasnąć. Tamta wystraszyła się i też zaczęła krzyczeć. Były to krzyki przerażonej dziewczynki przeplatające się z niemal wesołym pozdrowieniem: „Witaj, witaj”, jakby do pokoju weszły dwie różne osoby. Zaraz dał się słyszeć ruch w innych pomieszczeniach. Drzwi sypialni Any wciąż były otwarte. W korytarzu rozbłysło światło świeczki. Zbliżała się opiekunka dziewczyny, narzekając głośno:

– Co robisz? Gdzie cię poniosło?

Młoda obłąkana wciąż krzyczała.

Kobieta weszła i oświetliła scenę. Ana ujrzała, że dziewczyna jest ubrana w przydługą, za szeroką koszulę nocną. Była bosa, miała zmierzwione włosy. Matka spojrzała i rzuciwszy się na córkę, chwyciła ją za ramię. Ta opierała się i wrywała, matka złapała ją więc za włosy i pociągnęła. Tymczasem inni goście powychodzili ze swoich pokojów i zaglądali do sypialni Any. Przypatrywali się scenie w zdumieniu. Jakiś mężczyzna zrobił sobie przejście, rozpychając gapiów, i zbliżył się, żeby pomóc matce. Dziewczyna opierała się z taką siłą, że opiekunka ledwie ją mogła ruszyć z miejsca. Mężczyzna niósł w ręce skórzany pas. Trzasnął nim o podłogę. Młoda natychmiast się uspokoiła, ale to najwidoczniej nie wystarczyło mężczyźnie, ponieważ podniósł pas i tym razem uderzył nim dziewczynę. Matka wykrzyknęła:

– Na Boga! Przecież to twoja córka!

– Moja córka? Moja córka umarła. To tutaj to nic więcej jak zwierzę w ludzkim ciele.

Nieszczęsna dziewczyna wyszła z pokoju ze spuszczoną głową.

Ana wstała z łóżka. Podeszła do mężczyzny, który wyraźnie szykował się do dalszej chłosty na korytarzu.

– Tylko mnie wystraszyła. Nic się nie stało.

– Musi się nauczyć – odparł tamten. – Cała ta podróż na nic. Pomogło na chwilę, niestety.

Druga kobieta zaczęła płakać na dźwięk tego ostatniego słowa.

– Niech pani dobrze zamknie drzwi – powiedziała na odchodnym.

– Ale tylko mnie przestraszyła – powtórzyła Ana.

– Jutro wyjeżdżamy, choćby miało nas to kosztować życie, inaczej sam ją zrzucę w przepaść – zapowiedział ojciec.

Żona wybiegła za nim. Pozostali goście wrócili do swoich pokoi. W korytarzu została jedynie Aurelia. Nie obudzili jej, wciąż miała na sobie to samo ubranie, w którym podawała kolację. Wyszła z pokoju z balkonem i skinęła do Any przepraszająco.

Z pomieszczenia zajmowanego przez rodzinę dobiegły krzyki i odgłosy smagania pasem.

Aurelia zignorowała je. Odwróciła się i weszła z powrotem do swojego pokoju, przypomniawszy uprzednio Anie:

– Niech pani dobrze zamknie drzwi.

Tak zrobiła.

Kilka minut później uderzenia i krzyki ucichły. Znowu zapanowała cisza, lecz Ana nie mogła zasnąć. Gdy w końcu zmorzył ją sen, dała się ukołysać piosence dziewczynek z placyku: „Potwór brzydal lubi róże, tylko małe, nie za duże. Ścina, wacha kwiatki, obrywa im płatki...”

W sobotę rano śniegowa czapa przykrywająca wieś urosła jeszcze bardziej i stwardniała. Nie było szans, by wydostać się stąd tego dnia.

Na śniadanie Ana zjadła z Aurelią codzienną kukurydziankę z kawałkami wieprzowiny, co już ją zaczynało męczyć, po czym usiadła w pokoju z balkonem ze swoimi książkami i notatnikiem. Może jeżeli sprawdzi i uporządkuje zapiski, wpadnie na jakiś pomysł, znajdzie jakiś ślad, który jej pomoże dotrzeć do sedna sprawy. Zanotowała nawet, ile zapamiętała ze swoich rozmów z don Juliánem, proboszczem i nauczycielem. A także luźne zdania, jakie podchwyciła podczas wizyty u małej świętej. Zapełniła kilka stron, spodziewając się, że coś się jej ukaże pomiędzy wierszami. Po kilku godzinach bezowocnej pracy postanowiła wyjść i rozprostować nogi.

– Na ten ziąb? – zareagowała zaskoczona Aurelia. – Proszę zaczekać, pożyczę pani dodatkową ciepłą chustę. Inaczej pani zamarznie.

Ana wyszła więc na ulicę z głową okutaną grubym kawałkiem czarnego wełnianego materiału, przesiąkniętym wonią jedzenia z gospody. Nie przeszkadzało jej to, wręcz przeciwnie, zdawało się dawać więcej ciepła, jakby w zapachu zachowało się coś z temperatury gorących garnków i rondli.

Bardzo trudno było poruszać się w śniegu, choć niektórzy mieszkańcy odśnieżyli swoje odcinki chodnika. Na ulicy kilka osób przetarło wąskie ścieżki, były też ślady kół wozu i kopyt ciągnącego go zwierzęcia. Śnieg skrzypiał pod stopami Any, a ten odgłos kojarzył się jej z przegryzaniem wełny.

– Używaj nożyczek, Aneta – napominała ją matka tamtego wieczoru, gdy uczyła ją tkania.

Musiała być wtedy bardzo mała, ponieważ pamiętała, że było to w dużym mieszkaniu przy Paseo de San Juan, gdzie mieszkali, zanim po wojnie dotknęły ich represje, na długo przed tym, nim rozstrzelano jej brata Ángela, zanim matka popadła w fanatyzm religijny, przekonana, że jej powinnością jest odpokutować za grzechy, które przywiodły ich rodzinę do utraty wszystkiego.

– Ale nie mogę ich znaleźć – odpowiedziała i przegryzła wełnianą nić.

Skrzypienie śniegu wywoływało u niej dreszcz podobny do tego, którzy przepelzł jej wtedy w górę po kręgosłupie i zakończył się w ustach czymś w rodzaju zgrzytnięcia zębami.

Anie zdawało się, że za plecami słyszy czyjeś kroki. Zatrzymała się i obejrzała do tyłu, ale nie zobaczyła nikogo; również dźwięk ucichł. Ruszyła dalej, tym razem natężając uwagę. Tamte kroki, stawiane w pewnej odległości, pokrywały się z jej własnymi. Przyspieszyła nieco, a dotarłszy do rogu ulicy, zatrzymała się jak wryta. Nie pomyliła się – rozlegał się za nią tupot stóp, lecz zaraz raptownie ustał. Odwróciła się. Jakiś cień, może zapiętek albo obcas, zniknął w bramie domu.

Kiedy Ana dobrnęła do stromej ulicy, na drodze stanęła jej jakaś postać.

– Panna Martí, jak miło panią widzieć!

Właśnie z jednego z domów wyszedł don Benito z głową okrytą czarnym beretem. Miał zaczerwienioną twarz, zapewne w tamtym domu było bardzo ciepło.

– Dokąd się pani wybiera? – zagadnął.

– Na spacer.

– Gdyby pani zechciała pójść ze mną, mógłbym pani pokazać kościół – zaproponował. – Choć ostatnio nieco podupadł, może się pani przekonać, że w swoich czasach, gdy region cieszył się bogactwem i prosperował, była to imponująca budowla.

Zgodziła się. Skorzysta z okazji i zada księdzu kilka pytań. Tymczasem on rzucił tonem uprzejmej rozmowy:

– Właśnie udzieliłem namaszczenia chorych. Przy takich mrozach wielu z nas odchodzi. Biedna Benigna nie przetrwa tej zimy.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć na taką uwagę. Ruszyli w stronę kościoła.

– Jak tam nasz artykuł?

– Zamierzam go napisać w Barcelonie.

– Skoro musi pani spędzić wśród nas kilka dni więcej, mogłaby pani napisać już tu. Bardzo bym chciał go przeczytać i, kto wie, może mógłbym dorzucić swoje ziarnko piasku.

Rozmawiał z nią jowialnym, pogodnym tonem, tym samym, jakim przedstawił się Anie w gospodzie w dniu jej przyjazdu.

– Wiem, że mówiąc to, grzeszę przeciwko skromności, ale czuję się jak pokorny rolnik, który zasiał ziarno wiary w tej dziecinie. I w całej wsi. Nie może sobie pani nawet wyobrazić stanu moralnego upadku, jaki zastałem, gdy mi powierzono tę parafię. Mój poprzednik, niech spoczywa w pokoju, był już bardzo stary i brakowało mu siły niezbędnej do tego, by zapanować nad instynktami i prymitywnymi zwyczajami mieszkańców wioski. Byli, by tak rzec, zdiczali. Z wielkim trudem udało mi się sprawić, że dziewczynki zaczęły uczestniczyć w katechezie, że chłopcy zaczęli służyć do mszy jako ministranci... To była ciężka praca – powiedział nieco teatralnie – lecz teraz zostaliśmy wynagrodzeni, mamy małą świętą.

Ana udała, że z zainteresowaniem przygląda się czarnemu ptakowi, który właśnie przysiadł na kalenicy pobliskiego domu. Z przyjemnością skupiła wzrok na czymś czarnym i lśniącym – jedynym, co się poruszało na tle okrywającego całą wieś białego całunu. Rozległo się ostre krakanie, jakby roztrzaskano cienką tafelę szkła, i ptak przyciągnął również uwagę proboszcza.

– Kruk – rzekł ksiądz. – Na wiosnę mamy kosy i drozdy, które bardziej melodyjnie śpiewają, a jeśli się pójdzie w górę, gdzie znajduje się pustelnia Pinares, można zobaczyć sępy płowe. Alkad początkowo nie był zbyt przekonany.

– Do czego?

– Do tego, żebym do was zadzwonił. Ale uświadomiłem mu, jakie korzyści może z tego odnieść wieś. A teraz powiedziałbym, że stał się wielkim entuzjastą, chociaż obawiam się, że ten entuzjazm jest zbrukany interesem finansowym. Pytał mnie też, czy znam zawartość artykułu. A ja mu odpowiedziałem: „Niech się pan nie martwi, don Onésimo, zobaczy pan, że panna Martí napisze nam coś wspaniałego o Isabelicie i o wiosce”.

Kruk znowu zakrakał i wzbił się do lotu. Oboje spojrzeli za nim i odprowadzali go wzrokiem, aż stracili czarny punkt z oczu.

– Powiedziałem też alkadowi, że teraz, gdy jest pani tu „uwięziona”, będzie pani miała więcej do napisania.

Zaśmiał się z własnego żartu, ale ona nie umiała się przyłączyć do jego wesołości. Ksiądz dodał:

– Na przykład w niedzielę rano może pani przyjść na sumę. To jedyna pora, kiedy Isabelita opuszcza swój dom, odkąd pojawiły się u niej stygmaty. Poza tym nigdzie się nie rusza. Don Onésimo może sobie planować, co mu się żywnie podoba, ale kaplica dziewczynki będzie albo w kościele, albo nigdzie.

Ana powtórzyła pytanie, które zadała już wcześniej:

– Ale czy Isabelita nie powinna najpierw zostać co najmniej beatyfikowana? A ponadto oznacza to jej śmierć. Nie przypuszcza ksiądz chyba...?

– To nie jest już w naszej gestii, proszę pani. Podobnie nie jest w gestii władz świeckich decydować o sprawach, które nie leżą w ich kompetencji. Sprawy boskie, kościelne, nie podlegają tym samym prawom.

Don Benito podsunął jej na tacy pytanie, które chciała postawić:

– Co o Isabelicie sądzą księżda przełożeni? Są zainteresowani, prawda? – rzuciła z udawanym entuzjazmem.

Proboszcz odchrząknął.

– Tak, przypuszczam, że tak... że... O, będą we właściwym momencie.

– We właściwym momencie?

– Cóż, należy zaczekać, zachować nieco ostrożności, zanim uderzy się w dzwony.

Ana drażyła dalej:

– Wobec tego może wolałby ksiądz, żebyśmy się wstrzymali z publikacją naszego artykułu do czasu, gdy uzyskamy przychylną opinię księżda zwierzchników.

– Nie, nie. To są niezależne od siebie rzeczy.

Dotarli do placu Głównego, obrzeżonego domami, które w porównaniu z wyniosłym kościołem wydawały się maleńkie. Fasadę renesansowej trzynawowej budowli zgodnie ze stylem plateresco zdobiły herby, pinakle i festony, świadczące o tym – jak wcześniej zapewnił proboszcz – że świątynia ma za sobą świetną przeszłość, obecnie trudną do wyobrażenia.

Weszli. Po przekroczeniu progu Ana musiała dostosować swój krok do uroczystego, pełnego namaszczenia stąpania don Benita.

Potrzebowała trochę czasu, aby jej oczy przyzwyczyły się do panującej we wnętrzu ciemności. Choć rzędy ławek w nawie głównej były zaledwie cieniami, obliczyła, że zmieszczą się w nich wszyscy mieszkańcy wioski. Dostrzegła cztery boczne kaplice. W trzech z nich paliły się rozstawione świece. Czwarta, druga po prawej od wejścia, jaśniała blaskiem świeczek stłoczonych przed nią na podłodze.

Jakaś starsza kobieta zbierała wypalone ogarki i prostowała świece, które się przechyliły. Na widok księżda z gościem wyszła im na spotkanie. Don Benito przedstawił ją – była to jego gosposia, a zarazem zakrystianka. Kobieta przywitała się skinieniem głowy, po czym zwróciła się do proboszcza:

– Don Benito, może dałoby się sprowadzić więcej świeczników, bo воск spływa na podłogę, ktoś mógłby się pośliznąć...

Wtem drzwi kościoła otworzyły się i zatrasnęły z hukiem. Do księdza popędził dziesięcioletni chłopiec.

– Don Benito, niech ksiądz przyjdzie do domu. Poczula się bardzo źle, pewnie już umiera.

Nie miał wierzchniego okrycia, wybiegł tak szybko, że zdążył założyć tylko szalik. Proboszcz pożegnał się z kobietami i pośpieszył do domu, z którego wyszedł przed kilkoma minutami. Sutanna, przemoczona u dołu, wisiała na nim ciężko mimo szybkiego kroku.

Kiedy zostały same, zakrystianka posłała Anie zawzięte spojrzenie.

– Mała święta jest nasza. Powinna pani wiedzieć, że nie wszyscy jesteśmy zadowoleni, gdy przyjeżdżają tu do niej ludzie z wielkich miast.

Wyrzuciła to z siebie gwałtownie i odeszła tak prędko, że nie dała Anie czasu na reakcję.

Ana była teraz sama w kościele. Jak ćma pozwoliła, by przyciągnął ją blask bijący z kaplicy, gdzie paliło się morze świec rozjaśniających wizerunek jakiejś świętej, dziewczynki. W lewej ręce trzymała ona liść palmy, który opierała o ramię. W prawej dzierżyła złotą tacę z dwojgiem oczu. Święta Łucja, patronka, którą don Benito przydzielił Isabelicie.

Nagle wydało się Anie, że słyszy za sobą stawiane ukradkiem kroki. Pomyślała, że to zakrystianka. Odwróciła się, ale jej oczy – przyzwyczajone teraz do blasku świec – nic nie dostrzegły w ciemności. Zaraz potem dobiegł ją czyjś stłumiony chichot.

Oddaliła się od kaplicy Świętej Łucji. Z przyległej niszy poprzebijany strzałami święty Sebastian rzucił jej zbolące spojrzenie. Podmuchi, który wzbudziła jej spódnica, poruszył płomień świec ustawionych u stóp figury. Cień półotwartych ust posągu rósł i malał na przemian, jakby święty coś mówił. Ana usłyszała z tyłu szuranie ubrań, ale znowu ustało, gdy tylko obejrzała się za siebie. I ponownie chichot. Wbiła wzrok w drzwi i czym prędzej ruszyła do wyjścia.

Na ulicy odetchnęła z ulgą. Było południe, lecz niebo pociemniało, kotara szarych chmur zasnuła je zupełnie.

Ana pomaszerowała w stronę gospody. Zanim opuściła plac, obejrzała się jeszcze kilka razy, ale nie zobaczyła, żeby ktoś wychodził z kościoła. Ulice były opustoszałe. Szła skulona z rękami skrzyżowanymi na piersi, na próżno próbując się ochronić przed zimnem.

Popołudnie spędzi z książką. Oby tylko Aurelia tym razem także przygotowała dla niej podgrzewany stolik. Jeśli znów nie wyłączą prądu, będzie mogła tam czytać.

Usłyszała za sobą skrzypienie. A więc znów ktoś ją śledzi, stąpając tak, żeby dźwięk się pokrywał z jej krokami. Choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że lepiej będzie wrócić do bezpiecznej gospody, zaczęła ją ogarniać ciekawość. W dyskusji zabrała też głos ostrożność i przypominała Anie, że może mieć do czynienia z kimś niebezpiecznym; Ana odparła tę przestrożę argumentem, że nie wyobraża sobie, kto by jej chciał zaszkodzić i dlaczego. A może jest znacznie więcej osób, które myślą tak jak gospościa don Benita i niechętnym okiem patrzą na obecność kogoś obcego we wsi?

Szła dalej, jakby niczego nie zauważyła. Nie chciała, aby śledzący ją człowiek

wiedział, że go wyczuła. Zapamiętała dobrze pewien dom, który miała minąć po drodze – z przestronną, głęboką bramą, tuż za rogiem. Skierowała się ku bramie, ukryła w niej i czekała. Kilka sekund później podążająca za nią osoba też skręciła i nie widząc nikogo, stanęła. W tym momencie Ana wyszła ze swojej kryjówki. Jej prześladowca krzyknął i przewrócił się. To była Eugenia.

– To ty szpiegowałaś mnie w kościele?

Mała kiwnęła głową.

– Można wiedzieć, dlaczego za mną chodzisz?

Oczy dziewczynki zupełnie oszalały. Patrzyły z boku na bok, to w górę, to w dół, jakby już zupełnie nieumocowane. W końcu jedno z nich zatrzymało się na Anie. Ana wyciągnęła do małej rękę.

– Dlaczego nie wstajesz?

Eugenia spuściła głowę.

– Bo się ze strachu posikałam.

Była tak przygnębiona, że Anie przeszedł cały gniew.

– W takim razie lepiej, żebyś poszła do domu.

Dziewczynka podniosła się i otrzepała ubranie ze śniegu.

– Ale mogę cię kawałek odprowadzić?

– A nie przeziębisz się?

Nie odpowiedziała. Ruszyły w kierunku gospody. Milczenie Eugeniei trwało zaledwie trzy kroki.

– Słuchaj, czy to prawda, że w Barcelonie są teatry, w których tańczą gołe kobiety?

– Skąd to wytrasnęłaś?

– Powiedział mi Martín, syn piekarza, który służył tam w wojsku. Prawda to?

– Cóż, gołe to może nie, ale w skąpym ubraniu.

– I jak się ruszają?

Eugenia zaczęła kołysać się w biodrach, co miało zapewne wyglądać jak lubieżny taniec; jednocześnie stawiała wielkie kroki, by jakoś radzić sobie z zaspami; ramiona, skrzepowane grubymi ubraniami, poruszały się jak u niezdarnej hurysy. Ana nie mogła się pozbyć myśli, że pod spódnicami ciała dziewczynki jest mokre od zimnego moczu.

– Eugenia, przestań. Żeby cię nie zobaczył don Benito...

Te słowa powstrzymały małą tancerkę. Znów przykleiła się do boku Any i zaskoczyła ją, chwytając za rękę.

– Słuchaj, Eugenia, czy to prawda, że jesteś najlepszą przyjaciółką Isabelity?

– Naj, najlepszą. – Dziewczynka wymówiła to z emfazą.

– A co ta najlepsza przyjaciółka myśli o tym, co się dzieje?

Celowo nie poruszyła sprawy stygmatów ani rzekomej świętości Isabelity. Zauważyła ucisk ręki dziewczynki w swej dłoni. Nie popatrzyła na nią, tylko szła ze spuszczonego wzrokiem, niepewna.

– Właściwie to nie wiem... – rzekła w końcu.

– Czego nie wiesz? Czy to jakiś sekret?

Skręciły za róg ulicy, przy której stała gospoda. Eugenia podniosła głowę i wspięła się na palce, żeby powiedzieć coś Anie na ucho. Ana nachyliła się ku niej:

– Nie boisz się spać w gospodzie Aurelii?

Ana spojrzała na swą towarzyszkę zaskoczona. Skąd ta nagła zmiana tematu? Może ktoś jej powiedział, co się zdarzyło poprzedniej nocy, gdy do pokoju Any wtargnęła tamta dziewczyna.

– Dlaczego miałabym się bać?

– Bo ktoś tam umarł.

– Jest wiele domów, w których ktoś umarł.

– Tak, ale ten się zabił.

– Co chcesz przez to powiedzieć, że „się zabił”?

– No, pan Luis, mąż Aurelii, zabił się w tym domu. Powiesił się. Wiesz gdzie?

Nie chciała się tego dowiedzieć, ale Eugenia najwyraźniej nie zamierzała przerwać opowieści w tym miejscu.

– Powiesił się na belce na strychu, gdzie Aurelia trzyma do wysuszenia szynki po świniobiciu.

Brak delikatności w wizji Eugeniei obudził w Anie dziennikarkę. Pytanie wyrwało się jej automatycznie:

– Kiedy to było?

– Trzy lata temu. Po tym, jak umarła Pili. – Zrobiła przerwę i przysunęła się blisko do Any, zanim podjęła temat. – I czasami wraca, bo zostało mu coś do załatwienia, wiesz? Wraca, żeby się dowiedzieć, kto zabił Pili.

– Została zabita?

Eugenia przytaknęła z bardzo poważną miną.

– To był potwór.

– Potwór?

Dziewczynka puściła pytanie mimo uszu.

– A kiedy go znajdzie, to go ukarze i zabierze ze sobą do piekła. Ponieważ ci, co popełniają samobójstwo, idą do piekła, a wtedy... Muszę już iść! – zawołała, patrząc na drzwi gospody, do których zostało tylko kilka metrów.

Wysunęła dłoń z ręki Any i odbiegła. Powodem ucieczki była Aurelia – właśnie stanęła w drzwiach z łopata, by odsnieżyć wejście. Ana podeszła do niej.

– Ach, ta dziewczynka! – rzekła gospodyni. – Mała plotkarka. Wszędzie jej pełno, zawsze ciekawska, zawsze wtyka nos w czyjeś sprawy. Proszę, niech pani wchodzi, już nagrzałam w pokoju.

Ana najpierw poszła do swojej sypialni i zdjęła mokre ubranie. Potem wzięła książki i notatnik i usadowiła się w pokoju z balkonem. Aurelia na stoliku grzewczym i na kredensie rozstawiła świece, żeby zapewnić gościowi światło. Naczynie z żarem promieniowało już ciepłem, ale zanim Ana usiadła przy stole, by sobie rozgrzać nogi pod grubym przykryciem, skierowała się do komody, na której znajdowały się zdjęcia małej Pilar. Zwróciła uwagę na poważne spojrzenie dziewczynki; mała pozowała do zdjęcia z taką samą uroczystą miną, jaką Ana widziała u ludzi, których sama fotografowała w ostatnich dniach. Pili miała dziesięć lub jedenaście lat, choć poważne, skupione wejrzenie i starannie zaczesane włosy z idealnym przedziałkiem nadawały jej starszy wygląd, prawie dwudziestolatki. Niemal identyczny, jaki miała na innym zdjęciu, ułożona

w białej trumnie, ubrana do pogrzebu.

Ana usłyszała zbliżające się kroki Aurelii. Odstawiła zdjęcia na miejsce i usiadła przy ciepłym stole. Otworzyła na chybił trafił książkę, która leżała akurat na wierzchu.

– Dziś znowu jesteśmy w gospodzie tylko we dwie – powiedziała Aurelia, wchodząc. – Wszyscy wrócili do swoich wsi, jak się dało.

Ana nie umiała się zorientować, czy gospodyni cieszy się z tego, czy żałuje, że nie ma więcej dochodów.

– Proszę uważać z butami. Jeśli pani przysunie mokre tak blisko do żaru, popękają. Ana wyjęła więc stopy spod przykrycia i zaczęła zdejmować buty.

– To dlatego, że tak zmarzłam – mruknęła dla usprawiedliwienia.

– Przyszłam zapytać, czy nie ma pani jakichś rzeczy do prania. Skoro nie przyjechała pani na aż tyle dni, pewnie zabraknie pani czystych ubrań.

– Jeśli mi pani pokaże, gdzie je mogę wyprać, sama to zrobię.

– Niech pani mi je zostawi. Lubię, gdy mogę dla kogoś coś zrobić.

W głosie gospodyni nie było nic dziwnego, ale po tym, co Anie opowiedziała Eugenia, zdanie Aurelii nabrało intensywnego dramatyzmu. Jeśli dziewczynka mówiła prawdę, Ana wolała nie wypytywać właścicielki gospody.

– Cóż, jeżeli to naprawdę nie kłopot...

– Zagrzeję wody. Za pół godziny proszę mi przynieść rzeczy, będę miała wszystko przygotowane.

Aurelia wyszła.

Ana nasłuchiwała oddalających się kroków, by się upewnić, że gospodyni nie ma już w pobliżu. Potem wstała i rozejrzała się, jakby nadal nie była pewna, że została zupełnie sama. Ponownie wzięła obie fotografie i przyglądając się im, zaczęła rozmyślać. Jeśli córka Aurelii została zabita, dlaczego nikt o tym nie wspomniał? Eugenia powiedziała, że było to trzy lata temu. W 1953 roku Ana nie pracowała jeszcze dla „El Caso”, ale jeżeli sprawę badała policja, jej starsi stażem koledzy będą o tym wiedzieli. Albo Enrique Rubio, albo tamci z centrali w Madrycie. To źródło informacji, niestety, było w tej chwili odcięte. We wsi nikt nie zrobił na ten temat najmniejszej aluzji, nawet w obecności dziennikarki z „El Caso” mieszkańcy najwyraźniej nie byli zainteresowani poruszaniem tego tematu. Nie mogła też podejść do nikogo z plotką opowiedzianą przez nie do końca zrównoważoną dziewczynkę, która być może sama chciała się wydać interesująca. Eugenia była więc jedynym źródłem, do którego Ana mogła się zwrócić.

Teraz to ona będzie musiała chodzić krok w krok za dziewczynką.

Ana nie pozwoliła, żeby Aurelia sama wyprała wszystkie jej ubrania – czuła się w obowiązku, by jej pomóc. Wkrótce potem rozwieszały pranie w jadalni, przy ogniu płonącym na kominku. Gdy w pełnej skupienia ciszy rozmieszczały rzeczy na zaimprovizowanym suszaku – pończochy, halkę, bluzkę – rozległy się kroki w kuchni. Aurelia najwidoczniej wiedziała czyje.

– Mauricio! Co ty tam robisz?

– Nic, ciociu Aurelio. Przyszedłem po kolację dla don Ignacia.

– Nie zmyślaj! Jeszcze nie pora. Idź i pobaw się chwilę na ulicy. I żebyś cię nie przyłapała na szpiegowaniu.

Aurelia zwróciła się do Any:

– Jak na tak wyrośniętego chłopca porusza się prawie bezszelestnie. Parę razy napędził mi strachu!

Zza drzwi kuchni dobiegł tłumiony chichot.

– Mauricio, jeśli będę musiała do ciebie przyjść, pożałujesz. Zmiataj, jak powiedziałam.

– Tak, ciociu.

Usłyszały trzask zamykanych drzwi.

– W rzeczywistości jest bardzo posłuszny. I matka pilnuje, żeby był czysty. Gdy się na niego patrzy, taki wyrośnięty i taki silny, ale anioleczek. Tylko że czasami nie zdaje sobie sprawy ze swej siły. Jest jak chłopczyk w dużym ciele mężczyzny. Ale jest dobry. Widać to, bo lubią go dzieci i zwierzęta. On też je lubi. Pewnego razu jedna z kotek z rzeźni okociła się, a jako że Mauricio tak przepada za zwierzętami, kobieta z rzeźni pomyślała, że podaruje mu jedno kocię, zanim resztę utopi. Pozwoliła mu, żeby sobie wybrał, a on podszedł do tego z takimi emocjami, że za mocno uściśnął kotka i zabił go. Nie mogliśmy chłopaka pocieszyć! Tak bardzo się smucił.

Przerwał jej dobiegający z kuchni szloch.

– Biedny koootek!

Mauricio oszukał je – ukrył się w kuchni i stamtąd podsłuchiwał historię opowiadaną przez ciocię. Aurelia zerwała się z miejsca, wpadła do kuchni i wróciła, ciągnąc go za ucho.

– Jak można być tak głupim i tak sprytnym jednocześnie!

Chłopak wyrywał się, ale ciotka przestała go karać i ganić. Pochlipywał, aż jego wzrok napotkał spojrzenie Any i zaraz mina mu się zmieniła, znów się uśmiechnął, pokazując zęby ze szparami.

– Jesteś bardzo ładna.

To kosztowało go kuksańca i reprimendę.

– A teraz zostaniesz tu ze mną i będziesz mi pomagać do czasu, aż rzeczywiście przyjdzie pora, żeby zanieść kolację sierzantowi.

– Ale muszę już iść, ciociu Aurelio.

– No proszę! Teraz nagle musisz już iść. Co tam chowasz?

– Nic.

– Pokaż mi.

Aurelia siłowała się z nim, by go zmusić do rozłożenia ramion i pokazania, co ukrywa pod kurtką. Chłopak opierał się, ale w końcu ustąpił. Rozchylił poły okrycia, a wtedy powypadały okrągłe ciastka z dziurką i na podłodze rozpadły się na kawałki.

– Pączki! Ależ Mauricio, ukradłeś mi pączki! Nie dają ci jeść w domu?

– To nie dla mnie.

– W takim razie dla kogo?

– Nie mogę powiedzieć. To tajemnica.

Położył sobie palec na ustach i syknął.

– Wiesz, co czeka złodziei, prawda? – zapytała Aurelia, zbierając kawałki pączka z podłogi.

– Pójdą do piekła – odpowiedział potulnie, z lekkim strachem.

Gospodyni wzięła ostatniego pączka i popatrzyła na bratanka z mieszaniną rezygnacji i czułości.

– Masz. Daję ci je w prezencie. Teraz już nie są kradzione. Ale niech się to więcej nie zdarzy. Obiecujesz? Poszukam chusteczki, żeby je zawinać.

Ana i Mauricio zostali sami. Chłopak stał ze złączonymi rękami, trzymając w nich stosik pączków, i patrzył zachwycony na Anę.

– Jesteś bardzo ładna.

– Dziękuję.

– I pachniesz bardzo miło. Podarowałbym ci pączka, ale nie są dla mnie.

– A dla kogo?

– To tajemnica. – Rozejrzał się na boki.

Podeszła do niego i powiedziała mu na ucho:

– Mnie możesz ją zdradzić. Umiem dochować sekretu.

Mauricio roześmiał się cicho, marszcząc nos przy węszeniu.

– Są dla Isabelity.

– Dla Isabelity?

– Tak. Bo ona jest głodna. Mama nie daje jej jeść. Żeby szybko poszła do nieba, wiesz?

– A ty zanosisz jej jedzenie?

– Wiem, jak wejść do jej domu. Ale to też tajemnica.

– Nikomu nie powiem.

Chłopak wciąż trzymał pączki, jakby były cennym ładunkiem. Właściwie nim były.

Ana, wzruszona, pocałowała go w policzek.

– Jesteś dobrym przyjacielem, Mauricio.

Chłopak zaczął się śmiać tak radośnie, że Aurelia patrzyła na niego zdziwiona, gdy wróciła z chusteczką.

– Co za głupoty teraz tu wyczyniasz?

Mauricio nie mógł mówić; śmiał się, krztusił, siąkał nosem i wydawał piskliwe okrzyki szczęścia, podczas gdy jego ciotka pakowała pączki, kręcąc głową.

– Idź do kuchni. Przygotowałam jedzenie dla don Ignacia. Dziś dostanie kolację na zimno. Pożegnaj się z panią i przestań robić z siebie głupka.

– Do-o-o widzenia – wyjąkał.

Wkrótce później zjadły kolację przy świetle lampy naftowej. Półcień sprawił, że Aurelia stała się małomówna, a Ana nie miała ochoty wypełniać ciszy rozmową. Zrozumiała, co oznacza ta mała kradzież pączków: Isabelitę głodzi się na śmierć. Przypomniała sobie skargi dziewczynki, kiedy matka dała jej tylko ziółka. Matka morząca córkę głodem, by uczynić ją świętą. Była to myśl tak potworna, tak nienaturalna, że Ana na chwilę zapomniała o stygmatach. Jednak temu niedorzecznemu pomysłowi towarzyszyło pytanie: kto za tym wszystkim stoi? Rzecz oczywista, matka, ale gdy Ana rozszerzyła wizję i napełniła ją szczegółami, takimi jak: głód, rany, kobiety odmawiające różaniec w alkowie, zbroczone krwią chusteczki trzymane w zakrystii... stało się dla niej jasne, że matka jest tylko współniczką, może nawet jedynie ręką wykonującą polecenia

kogoś, kto spodziewa się więcej korzyści – don Benita. Proboszcza, który miał czelność z hipokryzją krytykować alkada za to, że ten chce otworzyć we wsi bar dla pielgrzymów. Proboszcza, który popełnił nadużycie, zawiadamiając prasę bez pozwolenia swych zwierzchników. Dopiero teraz zrozumiała jego grę: jej artykuł ma przygotować drogę, sprawić, by sława dziewczynki ze stygmatami rozprzestrzeniła się tak bardzo, by po jej śmierci wiele świadectw przemawiało za beatyfikacją. Nie ulegało wątpliwości: martwa będzie bardziej dochodowa. Za życia jest zaledwie ciekawostką i w pewnym momencie Kościół zajmie się jej sprawą, wyśle specjalistów do zbadania rzekomego cudu, a oni wszystko sprawdzą i odkryją oszustwo. Nie uznają cudu. Pozwolą, by rzecz popadła w zapomnienie. Lecz jeśli mała umrze, będzie łatwiej.

Ana kończyła kolację, nie zdając sobie sprawy z tego, co je. Z determinacją podjęła decyzję: nie zostawi dziewczynki własnemu losowi. Musi ją jak najszybciej wyrwać ze szponów don Benita i zabrać stąd. Ale powinna być przezorna, przeprowadzić swój plan w stosownym momencie, nie teraz, kiedy jest odcięta od świata. Pocieszyła ją myśl, że może nie będzie sama w swym przedsięwzięciu, Julián Maestre zrozumie ją i może wesprze. Na pozostałych mieszkańców wsi nie mogła liczyć. Może na Miguela, nauczyciela. A co z Aurelią?

Właścicielka gospody wstała od stołu i pozbierała naczynia, zatopiona we własnych myślach. Anie przyszło do głowy, że w tej chwili lepiej zachować milczenie.

Położyła się wcześniej, przytłoczona zarówno zmęczeniem, jak i potrzebą zapomnienia choć na krótki czas o odkryciach, jakich nie szczędził jej dzień. Jej wyobraźnia przeskakiwała ze zdjęć nieżyjącej córki Aurelii do wizerunku ubranej na biało Isabelity, od dojrzałych rysów małej Pilar na fotografiach do zbolącej twarzyczki leżącej w łóżku świętej.

Prawie nie zauważyła, kiedy zapadła w sen, i podczas gdy dwie dziewczynki wymykały się z jej świadomości, do coraz bardziej zamglonego umysłu zaczęła sobie torować drogę inna osoba, której wyglądu Ana nawet nie знаła. Mąż Aurelii powoli przyjmował kształty. Widziała go od tyłu, ubrany był jak prawie wszyscy mężczyźni ze wsi w ciemne szerokie spodnie i sztruksową marynarkę. Ręce trzymał w kieszeniach, a głowę miał pochyloną do przodu. Zdawał się niezdecydowany, cofnął się o krok i przybliżył do punktu, z którego Ana go obserwowała, a zaraz potem ruszył przed siebie i oddalił się. Zrobił ruch, jakby się miał skierować w lewo, lecz nagle chyba zmienił zdanie, bo przesunął się w prawo. Gdyby go mogła zawołać, może by się odwrócił i zobaczyłaby jego twarz. Jak on ma na imię? Eugenia jej mówiła, ale Ana nie umiała sobie przypomnieć. Próbowwała dokładnie odtworzyć z pamięci słowa dziewczynki. „Powiesił się na belce na strychu, gdzie Aurelia trzyma do wysuszenia szynki po świniobiciu”. Gdy przywołała to wspomnienie, ujrzała wędliny wiszące u drewnianych belek na strychu. Sznurki, którymi były obwiązane, skrzypiały płaczącym lamentem, podczas gdy szynki to przybliżały się, to oddalały, przesuwają to w prawo, to w lewo, jakby obdarzone własną wolą. Oczy Any, prowadzone jakąś zewnętrzną siłą, jakby były obiektywem aparatu fotograficznego, skupiły się gdzieś wyżej, mozolnie podążyły za węzłami powrozów zwieszających się z belki, która ciągnęła się przez całe poddasze. Aż dotarły do liny grubszej od pozostałych i zaczęły przesuwać się po niej wolno w dół.

Wówczas znów usłyszała głos Eugenii mówiącej: „Powiesił się na belce na strychu, gdzie Aurelia trzyma do wysuszenia szynki po świniobicie”. Wiedziała, że zaraz usłyszy imię męża Aurelii i że gdy ono zabrzmi, ciało wiszące wśród suszących się wędlin odwróci się ku niej i pokaże jej twarz. Ana chciała poprosić Eugenię, by zamilkła, powiedzieć jej, że nie chce poznać jego imienia, lecz dobrze wiedziała, że kiedy dziewczynka raz zacznie opowiadać historię, nie ma sposobu, żeby ją zatrzymać. Ciało zakołysało się, jakby się chciało rozpędzić do obrotu, gdy tylko zostanie wezwane. Eugenia zaraz miała powiedzieć: „Powiesił się, mąż Aurelii, pan Luis”.

Luis!

Ana nie wiedziała, czy wykrzyczała jego imię, budząc się, czy był to tylko dźwięk, jaki wydały jej płuca pod wpływem wrażenia, że się dusi. Usiadła na łóżku i próbowała odzyskać oddech, a serce biło jej przy tym jak oszalałe. Była złana potem i miała sucho w gardle. Z trudem odczytała godzinę na zegarku, który przed snem położyła na stoliku nocnym. Dochodziła jedenasta. Ana potrzebowała łyka wody. Na komodzie stał dzbanek i szklanka. Kiedy oczy przyzwyczyły się do odrobiny światła wpadającego przez okno, wstała, nie zapalając świeczki. Podeszła do mebla. Podłoga była lodowata, co Ana przyjęła z wdzięcznością, bo potwierdzało, że otrząsnęła się w końcu ze snu. Tak samo chłód dzbanka z wodą, którą piła powoli, ponieważ miała wyrytą w pamięci matczyną przestrożę: „Źle jest pić zimną wodę ze zbytnim pośpiechem”. Zaczęła drzeć z zimna, choć miała na sobie grubą koszulę nocną, ale zanim znów się położyła do łóżka, chciała się uspokoić zupełnie. Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi. Jako że została jedynym gościem w gospodzie, tej nocy nie zamknęła ich na klucz. W domu były tylko Aurelia i ona. Same.

Otworzyła drzwi. Dom trwał pogrążony w absolutnej ciszy. Aurelia nie usłyszała jej krzyku. Ana wróciła do łóżka.

– Umyj sobie porządnie twarz. I za uszami też.

Przecież wiem. Ale mama i tak zawsze to powtarza. W niedzielę trzeba się dobrze umyć, żeby iść do kościoła i założyć szkaplerzyk. Ale szkaplerzyk dopiero po śniadaniu. Lubię niedziele. Pozwalają mi wtedy spać, a kiedy wstaję, ojca i braci już nie ma. Tym lepiej, bo nie śmieją się ze mnie, jak codziennie, a ojciec nie mówi o mnie brzydkich rzeczy:

– Powinniśmy go zamknąć na strychu albo w zagrodzie dla zwierząt.

Mama wścieka się na niego. Gładzi mnie po głowie i mówi, że jestem „promyczkiem słońca” i że jestem dobry. Bracia są zli, bo rzucają we mnie kamieniami, gdy się zbliżam. Inne dzieci też to robią, ale nie są moimi braćmi. Bracia nie powinni rzucać kamieniami w brata. Tak mówi mama. Ale oni rzucają, gdy ona nie widzi. Kiedyś poskarżyłem się i zabiła ich za to. Ale potem ojciec mnie zbił za donoszenie. Dlatego lepiej tego nie robić, nie. Nikt nie lubi donosicieli.

– Kończ już, Mauricio, idziemy.

Zaraz będzie msza. Zawsze chodzę z mamą, bo we wsi są ludzie, którzy mnie nie lubią. Mówią, że nie powinienem wychodzić na ulicę. Nie rzucają we mnie kamieniami. Dziwnie patrzą. I mówią różne rzeczy. Ale jeżeli idę z mamą, nie odzywają się.

– Włóż płaszcz, Mauricio.

– Ale mi nie zimno.

Prawie nigdy nie jest mi zimno.

Dziś przyniosą do kościoła Isabelitę. Biedusienka. Przykro mi, że zrobiły się jej takie rany. I leci z nich krew. Płacze, bo ją to boli. I dlatego że jest ciągle głodna, choć jej przynoszę wszystko, co mogę. Zanim została świętą, była dla mnie bardzo dobra. Tak jak Eugenia. I jak ciocia Aurelia. I złościła się, kiedy inne dzieci rzucały we mnie kamieniami albo bobkami mułów albo wciskały mi mrówki do buzi albo rzepy do spodni.

Ale teraz Isabelita może czynić cuda. Znowu poproszę ją tej niedzieli. Eugenia się złości, gdy mówię:

– Poproszę, żeby mi naprawiła rękę.

– Lepiej ją poproś, żebyś nie był taki głupi.

Tak zrobię. Następnym razem. Może pewnego dnia mi pomoże.

A jeśli mi dziś nie pomoże, przynajmniej będę mógł wachać kadzidło i świece. I jeżeli będzie ta pani z Barcelony, ją też będę mógł wachać. I patrzeć na nią. Jaka ona ładna! I pocałowała mnie, i powiedziała, że jestem dobry.

– Włożyłeś szkaplerzyk?

– Tak, mamó.

Kawa w niedzielny poranek była słabsza niż w poprzednie dni. Aurelia zaczęła wprowadzać oszczędności.

– Idzie pani na mszę, prawda?

Nadarzała się kolejna okazja zobaczenia małej świętej, poza tym Ana rozmyślała o tym, jak mogłaby jej pomóc. Przypuszczała, że Julián Maestre też będzie obecny na nabożeństwie, i miała nadzieję, że uda się jej porozmawiać z nim, by mogła mu się zwierzyć ze swych odkryć. Potrzebowała we wsi sprzymierzeńca, a nikt nie nadawał się lepiej niż on. Powiodła sobie dłonią po głowie i zauważyła, że ma brudne włosy.

– Najpierw chciałabym sobie umyć głowę.

– W takim razie zagrzeję wody. Jeśli pani chce, mogę pomóc.

Nie czekając na odpowiedź, postawiła miednicę na kuchennym stole, a na ogniu gar z wodą i poszła po ręczniki. Wróciła dodatkowo z kostką mydła.

– Zostało mi po córeczce. Bardzo dobre, z Marsylii. Proszę powąchać.

Ana przybliżyła sobie mydło do nosa. Wciąż wyczuwało się zapach lawendy.

– Kupiłam u handlarza, który przyjeżdża do nas furgonetką raz w miesiącu. Córka bardzo je lubiła.

Mówiła to bez patetyzmu, rozkładając dwa białe ręczniki z wyszytymi ciemnoniebieskimi inicjałami P.M. Pilar Mendívil. Jej córka.

– Lepiej, żeby pani uklękła na tym stołku, bo przy pani wzroście, jeśli pani usiądzie na krześle, nie sięgnę dobrze do głowy.

Ana podeszła do niskiego taboretu, który stał przy palenisku, uklękła na nim i oparła ręce o stół. Aurelia rozpostarła jeden z ręczników na jej ramionach, wzięła rondel z długą drewnianą rączką, nabrała gorącej wody i domieszała trochę zimnej, aby uzyskać odpowiednią temperaturę.

– Niech pani pochyli głowę.

Woda zmoczyła Anie włosy.

– W porządku?

Odpowiedziała, że tak. Pozostałe czynności wykonały bez słów. Ana zamknęła oczy z głową pochyloną do przodu i szyją wystawioną bezbronne. Jej policzki ogrzewała buchająca z miednicy para wodna, w powietrzu unosił się zapach lawendy. Mocne palce kobiety, pocierające Anie skórę na głowie i robiące pianę we włosach, sprawiały, że czuła się jak dziewczynka w rękach matki. Aurelia zmoczyła jej włosy, namydliła i spłukała precyzyjnymi ruchami kogoś, kto nie zapomniał, jak to się robi. Na koniec owinęła Anie głowę drugim ręcznikiem.

– A teraz niech pani usiądzie koło ognia, żeby pani nie zawiąło.

Ana posłusznie usiadła, a tymczasem Aurelia wzięła miednicę i wylała wodę z mydlinami w pomieszczeniu, gdzie znajdowała się ubikacja. Wróciła, wyjęła z kieszeni fartucha grzebień i zaczęła starannie rozczesywać Anie włosy.

Ana, choć znała odpowiedź, spytała Aurelię:

– Isabelita też tam będzie, prawda?

– Tak. W niedziele sadzają ją na krześle i niosą do kościoła.

Grzebień natrafił na splątany węzeł. Aurelia kilkoma szarpnięciami rozdzieliła włosy. Ana nie poskarżyła się.

– Na krzesło? Dlaczego? Nie może chodzić sama?

– Aj, Ana! Nie mnie należy o to pytać. Pewnie z powodu wszystkiego po trochu. Raz, że ją bolą stopy, a dwa, że to bardzo ładnie wygląda, gdy ją wnoszą.

– A nie z powodu jej słabości? Ponieważ...

Gospodyni przerwała jej:

– Proszę mnie o to nie pytać.

Grzebień utknął i jego zęby wbiły się Anie w skórę na głowie.

– Czemu?

– Bo nie chcę o tym mówić.

Rzuciła to ostrym tonem, a w nacisku grzebienia na skórę dała się wyczuć groźba.

– Przepraszam. Nie chciałam być impertynencka.

Przeprosiny zostały przyjęte gładkim, rytmicznym ruchem grzebienia.

– Włosy zdążą wyschnąć przed mszą.

Aurelia wróciła do swych obowiązków. Ana została przy ogniu, jak jej gospodyni przykazała, i mimo kawy poczuła lekką senność. Ocknęła się na głos Aurelii.

– Pewnie nie ma pani ze sobą woalki?

– Nie.

– Proszę pójść ze mną, coś dla pani znajdę.

Ana po raz pierwszy weszła do pokoju Aurelii. W przeciwieństwie do saloniku z balkonem, w sypialni panowała mroźna temperatura. Łóżko z ciemną narzutą, szafa, krzesło i komoda wystarczały za całe umeblowanie. Żadnych fotografii, wazoników czy figurek, nic, co przesłoniłoby pustą powierzchnię komody. Podobnie nic nie wisiało na ścianach z wyjątkiem krzyża z czarnego drewna i kości słoniowej, umieszczonego nad wezłowiem łóżka. Aurelia otwarła jedną z szuflad komody i wręczyła Anie woalkę z czarnego tiulu.

– Bardzo delikatna – zauważyła Ana.

Wśród czarnych ubrań wypełniających szufladę błyszczały białe kwiaty.

– Je też robię sama.

– Po co?

– To lilie. Dla mojej Pili. We wtorki zawsze chodzę na poranną mszę, a potem na cmentarz i zanoszę jej kwiaty. Kiedy, tak jak teraz, nie kwitną, robię je sama.

– Umarła we wtorek? – Ana instynktownie nie wypowiedziała imienia i zniżyła głos, jakby chciała załagodzić pytanie.

– Pochowaliśmy ją we wtorek.

Zwyczajowo zdanie zakończyłoby się informacją o dniu śmierci dziewczynki, ale Aurelia zrobiła pauzę i, jakby ta linia partytury nie należała do niej, milczała, niejako licząc takty w oczekiwaniu na swoje następne wejście. Ana dodała:

– Bardzo ładne.

– Podobają się pani? Proszę sobie jedną zatrzymać.

– Nie. Na pewno wymagają wiele pracy i są dla pani córki.

– Zrobię więcej. Jeśli czegoś mi nie brakuje, to czasu. Zawsze robię dużo kwiatów,

bo kradną mi je z grobu.

Szły do kościoła w milczeniu. Ana nie wiedziała, jak interpretować nieobecne spojrzenie Aurelii: czy tak zdenerwowały ją pytania o Isabelitę, czy raczej zagubiła się we wspomnieniach o własnej córce. Na placu grupa mężczyzn odśnieżała łopatami wejście do kościoła. Usypane sterty śniegu niczym małe łańcuchy górskie ciągnęły się wzdłuż przetartej ścieżki, którą podążali parafianie wzywani przez dzwon.

Znowu zaczęło mocno sypać, wiatr porywał płatki śniegu i spadały, łącząc się w grubą warstwę pokrywającą ulice i dachy. Ludzie kulili się i przyspieszali kroku. Onésimo Sandoval, alkad, przeciwnie – stał w drzwiach kościoła jak strażnik i witał wchodzących, gdy otrzepywali sobie ze śniegu okrycia i woalki. Anę i Aurelię pozdrowił ze szczególnym entuzjazmem.

Oczy mu błyszczały. Zapewne już sobie wyobrażał bar, który otworzą we wsi on i jego żona. Wbrew pompatycznej oficjalnej retoryce reżimu, ciężkiej od napuszonych słów w rodzaju: „imperium”, „krucjata”, „okazałość”, aspiracje ludzi w kraju były niepozorne, skromne, wynikające z czystej potrzeby przetrwania. Marzenie alkada polegało na tym, aby mieć mały bar we wsi zagubionej na końcu świata. Jeżeli ambicje mieszkańców Barcelony były niewielkie, te tutejsze należało wręcz uznać za maleńkie.

Za alkadem, ale nieco z boku, sierżant Gwardii Cywilnej dopalał papierosa. Przywitał się z Aną na odległość, dotykając róna trikornu dwoma palcami, w których trzymał papierosa. Potem wyrzucił niedopałek i rozdeptał go. Czynność całkowicie zbędna; niedopałek zgasł z zimna, zanim dotknął śniegu. Sierżant wszedł za nimi dwiema, rozcierając ręce, by je rozgrzać.

Inaczej niż podczas pierwszej wizyty Any, kościół był oświetlony. We wszystkich kaplicach płonęły świece, rozjaśniając wizerunki świętych, ale ich blask całkowicie pochłaniały czarne ubrania osób siedzących w ławkach, które wyglądały teraz jak rzędy ciemnych ciał. Zdawało się, że w świątyni zgromadziła się cała wieś. Wszystkie ławki były pełne – w tych przeznaczonych dla kobiet panował ścisk, podczas gdy w tych dla mężczyzn między siedzącymi zachowały się odstępy szerokości co najmniej dłoni. Ana była wdzięczna za towarzystwo Aurelii, ponieważ gdy weszła, w masie ciemnych sylwetek podniosły się nieprzeliczone blade owale i zwróciły ku niej zaciekawione oczy. Ci, którzy rozmawiali przyciszonym głosem, umilkli, a ci, którzy dotąd siedzieli cicho, zaczęli szeptać.

Nie chciała, by odnieśli wrażenie, że ją onieśmielili, dlatego omiotła spojrzeniem nawę główną i została powitana skinieniami głowy. Niektórzy, nieliczni, odwrócili wzrok; większość, chroniona półmrokiem i anonimowością, śledziła jej ruchy zupełnie bez skrępowania.

Ana wolałaby zostać z tyłu kościoła, ale Aurelia wskazała jej gestem dłoni, żeby usiadła obok staruszki, która przesunęła się, by zrobić im miejsce. Chociaż Aurelia była drobna, usiadły tak ściśnięte, że Ana z jednej strony czuła zaokrąglone biodra właścicielki gospody, z drugiej zaś – szpiczaste kości staruszki. Wiedziała, że wbite są w nią wszystkie spojrzenia, a rozlegający się dookoła szmer przypominający darcie papieru to nie odgłos odmawianych modlitw. Kobiety w ławce przed nimi udawały, że się witają z Aurelią, by rzucić okiem na Anę.

– To ta dziennikarka z Madrytu – odezwała się starszka dziecinnym, drżącym z przejęcia głosem.

– Tak, ciociu Nito, już to wiedzą – odpowiedziała Aurelia. – I nie z Madrytu, tylko z Barcelony.

Starsza kobieta przyjrzała się Anie ze wznowionym zaciekawieniem i uśmiechnęła się do niej, jakby chciała dać do zrozumienia, że Ana wygląda dla niej w porządku. W ten sposób Ana zinterpretowała najlaskawsze spojrzenia, jakie na nią kierowali niektórzy. Inni patrzyli raczej nieufnie, badawczo, jak zakrystianka, która oznajmiła: „mała święta jest nasza”.

Ana spojrzała w stronę ławek mężczyzn. Oni też ją obserwowali; tu również zderzyła się z tą samą mieszaniną życzliwej ciekawości i niechęci. Przebiegając wzrokiem po rzędach, napotkała dwie przyjazne twarze. Z trzeciego rzędu nauczyciel posłał jej uśmiech i skinienie głową. Z przodu przed wszystkimi na osobnym klęczniku siedział Julián Maestre; on też skinął jej głową, kiedy ich oczy się spotkały.

Chwilę później w kościele rozległ się gwar podekscytowanych głosów:

– Mała święta! Już jest nasza święta!

Ana odwróciła się wraz z pozostałymi akurat na czas, by zobaczyć, jak otwierają się drzwi i wchodzi dwaj mężczyźni niosący na krzesle Isabelitę. Krzesło było z jasnego drewna, z siedziskiem wyplatany z trawy, ale ci ludzie nieśli je tak, jakby dzierżyli tron, a blask płonących w świątyni niezliczonych świec nadawał mu złocisty kolor. Dziewczynka, bardzo blada, o zaostrzonym profilu, była spowita grubą wełnianą kołdrą, spod której wystawały tylko twarz, dłonie i bosa stopy. Rany na stopach, śnieżnobiałych jak u posągu, wyglądały jak dwie czarne kropki. Isabelita trzymała dłonie złożone na podołku, niesiona przez nawę główną powoli, jakby to była procesja w Wielkim Tygodniu. Odprowadzały ją zahipnotyzowane spojrzenia, najbliżej siedzący wysuwali ku niej ręce, nie ośmielając się jej dotknąć ani nawet otrzeć się o niosących ją mężczyzn. Niektóre kobiety z kolei całowały i obejmowały Magdalенę, która szła za córką ubrana cała na czarno, z czarną koronkową mantylą upiętą na tradycyjnym wysokim grzebieniu. Za nią podążał ze spuszczoną głową jakiś mężczyzna, zapewne ojciec dziecka.

Gdy przybyli przed ołtarz, przyklękli. Zanim postawili krzesło obok pierwszej ławki dla kobiet, gdzie wolne miejsce najwyraźniej było zarezerwowane dla matki, odwrócili dziewczynkę w stronę zebranych. Isabelita rozłożyła wówczas dłonie, uniosła je na wysokość piersi i pokazała krwawiące rany. Z gardeł wiernych wydobył się pomruk podziwu. Następnie krzesło odwrócono i postawiono przodem w stronę ołtarza.

W tym momencie pojawił się don Benito.

Oprócz obecności Isabelity, umieszczonej na poczesnym miejscu, msza nie miała w sobie nic niezwykłego aż do homilii. Ana już wcześniej doceniła brzmienie głosu proboszcza, a teraz uświadomiła też sobie jego moc. Nie tyle chodziło o słowa, o przerażające sceny, jakimi odwoływał się do wyobraźni parafian, opisując wszystkie etapy męczeństwa świętej Łucji, ani też o kwieciste przymiotniki, którymi portretował młodą męczennicę, ani o przytaczane przezeń dialogi, jakby wzięte z filmów o świętych. Chodziło o wszystkie wychodzące z jego gardła głosy, jakby w jego ciele mieszkała cała obsada aktorska. Przyjemny dla ucha, poważny głos z wolna opowiadający o życiu Łucji

ustępował innemu, donośnemu, pochodzącemu z głębin płuc – kaznodzieja ponuro odmalowywał nim każdą z tortur, jakim poddano ciało świętej, którego z kolei nie musiał opisywać. Jedni znajdowali model w postaci delikatnej, dziecięcej figurki zajmującej jedną z kaplic, inni bezwiednie kierowali wzrok ku Isabelicie, zwłaszcza gdy głos proboszcza zmieniał się i gładko, lecz stanowczo odwzorowywał wypowiedzi świętej Łucji:

– Nic nie zdoła złamać mej woli służenia Panu, żadna z prób, którym mnie poddajecie.

Patos, z jakim don Benito wygłaszał kazanie, przemawiał do wszystkich. Słowa, które nie były w stanie poruszyć oprawców – ich wypowiedzi ksiądz recytował z metalicznym, przywodzącym na myśl wojsko tembrem typowym dla lektorów czytających w radiu wiadomości – trafiały do serc wiernych. Kiedy proboszcz żarliwym, triumfalnym tonem obwieścił chwałę, jakiej dostąpi mała święta w raju, rozległ się nawet czyjś stłumiony szloch.

– Tam w niebie, Isabelito, czekają na ciebie twoje siostry w cierpieniu: święta Agata, święta Eulalia, święta Łucja, święta Agnieszka, święta Maria Goretti, a także wszyscy męczennicy młodziankowie, którzy napełniają niebiosa śmiechem i zabawą po cierpieniach i udrękach, jakich doznali w życiu przez to, że wytrwali w Chrystusowej wierze.

Po tych słowach rozległ się ciężki od bólu lament Magdaleny obejmującej córkę.

Ana też poczuła się przejęta. Czy don Benito naprawdę publicznie zapowiedział rychłą śmierć dziewczynki?

Nieco później, w porze rozdawania komunii, rozegrała się dziwna scena. Gdy proboszcz ruszył z kielichem ku wiernym, don Julián zrobił ruch, by wstać, ale zatrzymał się i ustąpił pierwszeństwa Isabelicie. Dziewczynka podniosła się z wielkim wysiłkiem i uwolniła od okrywającej ją kołdry. Miała na sobie tę samą białą sukienkę, którą jej założono w piątek, a włosy podtrzymywał również biały czepek. Przez sukienkę przeziarało wycieńczone ciało, chude ręce, kościste ramiona. Musiała zrobić tylko kilka kroków, ale sprawiły jej taki ból, że przy każdym z jej ust wydobywał się jęk, powtarzany jak echo przez parafian.

– Isabelisieeeeńka, biedusieeeeeńka.

Ochrypli głos Mauricia wybił się ponad wszystkie inne. Ktoś kazał mu się uciszyć.

Dziewczynka przyjęła komunię i odwróciła się ze spuszczoną głową. Rany krwawiły, mała stąpała na palcach. Ledwie jej starczało sił, by się utrzymać na nogach. Usiadła z powrotem i matka owinęła ją kołdrą. Wtedy przysza kolej don Juliána. Właściciel ziemski nawet nie starał się ukryć, że przeszkadza mu zakłócenie hierarchicznego porządku. Choć wcześniej pokazał Anie, jakim jest oświeconym sceptykiem, najwyraźniej niewygodnie się czuł, odstępując swe uprzywilejowane pierwsze miejsce w ceremonii.

Gdy wyszli z kościoła, na zewnątrz czekała ich nowa śnieżna czapa. Wiatr za to nieco zelżał. Może wkrótce Ana będzie mogła wyjechać z wioski.

Rozlegający się za jej plecami męski głos pozbawił ją jednak nadziei na szybki wyjazd:

– Nie podoba mi się to niebo. Znosi się na niezłą śnieżycę.

Mimo to i mimo że temperatura chyba jeszcze bardziej spadła w ciągu tej godziny, na placu kościelnym utworzyły się kółka rozmawiających. Jak gdyby ludziom trudno było się rozstać z ciepłem wydzielanym przez pozostałych i z tego powodu przedłużali pożegnania. Jakby nie chcieli przyjąć do wiadomości, że kiedy się rozejdą do domów, będą musieli się w nich zamknąć i skupić blisko ognia. Również Aurelia dołączyła do jakiejś grupy kobiet i rozmawiała z nimi z ożywieniem. Drzwi gospody zostały otwarte, lecz Anie nie wydawało się właściwe, by miała wracać i nie zaczekać na właścicielkę. Skoro przyszły razem, powinny też razem wrócić.

Coś się otarło o jej plecy, więc odwróciła się i zobaczyła, że to Mauricio – stał tuż obok niej, wężąc ze zmarszczonym nosem.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, pojawiła się Eugenia i odepchnęła chłopaka.

– Mauricio, nie dokuczaj pani.

– Ale tak ładnie pachnie.

Eugenia odciągnęła go jeszcze dalej.

– Pachnie jak Pili.

– Nie gadaj głupot!

– To prawda.

Eugenia położyła sobie palec na ustach. Chłopak posłuchał, choć protestował pod nosem.

W tym momencie ujrzeli, że z kościoła wyniesiono krzesło z małą świętą.

– Isabelisieeeńka, biedusieeeeeńka – zawołał Mauricio i puścił się biegiem do drzwi.

– Tak – dodała od siebie Eugenia. – Biedna Isabel.

– Z powodu bólu, prawda? – zagadnęła Ana.

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Niedawno mówiłaś mi, że jesteś jej najlepszą przyjaciółką.

– Bo jestem.

– Skoro tak, może mogłabyś mi coś o niej opowiedzieć. Do mojego artykułu.

– Jasne. Ja wiem wszystko. Ale... – zaczęła się kołysać na piętach w przód i w tył – ale ty musisz mi wyjaśnić różne rzeczy o Barcelonie. Nowe rzeczy.

– Co zechcesz – zgodziła się Ana. – Może przyjdiesz do gospody spotkać się ze mną i tam porozmawiamy?

Eugenia jeszcze się wahała.

– Poza tym mogłabym ci zrobić zdjęcie i jeśli opowiesz coś interesującego, będziesz w gazecie.

– Dobrze.

Ana spodziewała się bardziej euforycznej reakcji, biorąc pod uwagę sposób, w jaki Eugenia śledziła ją ostatnimi dniami. Ale zauważyła, że dziewczynka ledwie zwraca uwagę na jej słowa. Mała utkwiała wzrok w trzech osobach, które właśnie wychodziły z kościoła.

– Kto to? – zapytała Ana.

– Moi rodzice. Muszę już iść.

Trzecią osobą była Cándida, służąca Juliána Maestrego. Eugenia podbiegła do nich, wzięła ojca za rękę i zaczęła ją szarpać nagłaco. Mężczyzna szorstkim ruchem uwolnił się od uścisku i zbeształ córkę. Dziewczynka uspokoiła się natychmiast, jak pień zwęglony przez piorun. Wówczas z tyłu podeszła do niej matka i objęła małą, najwyraźniej potępiając opryskliwość, z jaką ojciec potraktował córkę. Zaraz potem służąca pożegnała się z nimi. Ojciec, wyraźnie niezadowolony, ruszył przed siebie z rękami w kieszeniach. Matka wzięła Eugenię za rękę i poszły za nim, by go dogonić. Zatrzymał się i chwycił drugą dłoń dziewczynki. Ana miała nadzieję, że Eugenia odwróci się, by się z nią pożegnać, albo da jakiś znak, którym potwierdzi ich późniejsze spotkanie, lecz mała nie wykonała żadnego gestu. Ana pomyślała, że Eugenia zapewne nie chce, by rodzice się dowiedzieli, że z nią rozmawiała. Najprawdopodobniej jej bliscy należą do tych mieszkańców, którzy nie pochwalają obecności dziennikarki we wsi.

Świeża warstwa śniegu, zdeptana przez parafian, zrobiła się śliska i utrudniała ruchy mężczyznom niosącym krzesło z Isabelitą. Dotarli do rogu wychodzącej na plac stromej ulicy i człowiek idący po prawej pośliznął się. Choć ostatecznie nie upadł, krzesło zachwiało się tak gwałtownie, że dziewczynka musiała wyjąć ręce spod kołdry, by mocno chwycić się siedzenia. Ból, jaki jej to sprawiło, był tak intensywny, że krzyknęła. Jej donośny jęk uciszył rozmawiających na placu i spłoszył dwa czarne ptaki, które dotąd obserwowały ludzi z komina, a teraz poderwały się do lotu z pełnym oburzenia krakaniem. Kilka osób pobiegło, by pomóc dziewczynce, wśród nich nauczyciel. Isabelita skręcała się na krześle z bólu, próbowała się zerwać, jakby chciała uciec, ale przeszkodziły jej bosa, ranne stopy oraz własna matka, która sadzała ją na nowo, ilekroć dziewczynka chciała wstać. Obaj tragarze stali spokojnie w milczeniu, podczas gdy Magdalena uspokajała córkę. Pozostałe osoby, które zdążyły podbiec – trzech mężczyzn i dwie kobiety – również tylko przyglądały się scenie; nikt nie odważył się nawet dotknąć dziewczynki. Z wyjątkiem don Miguela, który przyklęknął przed krzesłem, jednak nie zrobił tego niczym wierny zamierzający oddać jej cześć, ale jak nauczyciel rozmawiający z uczennicą. Położył jej dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Isabelita. Bardzo cię boli?

Dziewczynka nie zdążyła odpowiedzieć. Magdalena zmusiła don Miguela, by wstał.

– Jak pan śmie!

On jednak stawiał jej czoło:

– Powinien ją zbadać lekarz.

– A to czemu?

– Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, że mała jest chora? Że cierpi?

Ludzie przestali rozmawiać na placu, podeszli do nich i otoczyli ich kręgiem.

– Ale co pan opowiada? Nie jest chora. Nie widzi pan, że to cud?

– Widzę, że pani córka traci dużo krwi, że jest coraz chudsza i znosi straszne bóle. To właśnie widzę, Magdaleno. Niech pani na nią spojrzy! Wygląda jak szkielecik. – Zwrócił się do pozostałych: – Nie dostrzegacie tego?

Dziewczynka siedziała bez ruchu, na nowo owinięta w kołdrę zakrywającą jej dłonie, ale nie mogła ukryć urywanego oddechu. Usta miała mocno zaciśnięte i cicho łkała. Na obu brzegach wyplatanego siedzenia jej ręce zostawiły krwawe ślady.

– Widzę cud – upierała się Magdalena.

Krąg otaczających ich osób zacieśnił się nieco.

– Czy badał ją lekarz? Proszę mi powiedzieć, zanim pani ogłosi, że to cud, czy nie przyszło pani do głowy, że córka może być chora? Nie pomyślała pani, że można ją wyleczyć?

Magdalena patrzyła na niego ze zdumieniem. Odpowiadając, podniosła głos, jakby została obrażona:

– A cóż to niby za choroba? Wszyscy widzimy, że ma znaki naszego Pana, nie potrzebuje lekarza, żeby ją badał. A don Benito zna się na tym i nie ma wątpliwości.

– Bo ma wiarę – wtrąciła inna kobieta.

– Pan nie ma wiary, don Miguel? – spytała Magdalena. – W takim razie co pan robi na mszy?

– Nie chodzi o to, czy ktoś ma wiarę, czy nie, tylko o zdrowie pani córki, o jej życie.

– Zdrowie mojej córki jest w rękach Boga. Jej życie też.

– Ale to tylko dziewczynka. Musi wychodzić na ulicę, iść do szkoły...

– Moja córka nie potrzebuje szkoły. Wie już wszystko, co ma wiedzieć, uczy ją nasz Pan. Jest tylko dziewczynką, ale tak samo dziewczynkami były święta Agnieszka i święta Łucja.

Nauczyciel, skonsternowany, pokręcił głową.

– Nie wydaje się pani, że w tym, co pani właśnie powiedziała, jest wiele pychy?

Argument ten matce Isabelity odebrał mowę, ale rozsierdził kilka innych osób.

– Za kogo się pan uważa?!

– Jak pan śmie mówić w ten sposób do biednej Magdaleny, gdy ona tak cierpi?

– To obraza dla Isabelity.

– Obraza dla małej świętej.

– To nasza święta.

Głosy zamieniły się w rozgorączkowane krzyki, do których niektórzy dołączyli wygrażające gesty.

– To nasza święta – powtórzyło chórem kilka kobiet.

– Wracaj sobie do miasta! – zawołał jeden z mężczyzn, robiąc krok w stronę nauczyciela. – Jeśli ci się tu nie podoba, wynoś się z naszej wsi.

– Nie potrzebujemy tu ateistów.

– Skończy pan jak don Amadeo, z plecami na cmentarnym murze.

Ana nie wiedziała, kim był don Amadeo, lecz nawet dla niej przekaz był zrozumiały. Wystraszyła się groźby, a jednocześnie zaskoczyło ją określenie „don”, świadczące o szacunku do zmarłego, nauczyciela sprzed wojny, jak przypuszczała. Ten

sam „don”, który znalazł się pomiędzy Miguelem a wzburzonym tłumem, mimo wszystko wydawał się słabą ochroną. Don Amadeo najwyraźniej nie odniósł z tego tytułu większego pożytku. Osłonił go przed kulami tak samo jak koszula czy marynarka, którą miał na sobie. Jej ubranie też wydało się teraz zrobione z papieru. Zaczęła drżeć. Zimno ciągnęło ją do gospody, ale choć nie wiedziała, co robić, nie chciała zostawiać don Miguela samego. Ostrożnie podeszła do grupy.

– Mała święta jest nasza! – krzyczała jakaś kobieta z twarzą zaczerwienioną od gniewu.

Dziewczynka zwinęła się w kłębek pod kołdrą. Kłócąc się o nią, zapomniano, że siedzi na krześle. Nawet dwaj mężczyźni, którzy ją tu przynieśli, odwrócili się do niej plecami. Jeden z nich urągał nauczycielowi:

– Ateista! Ateista!

Drugi słuchał rozgnionego wyrzekania jednej z kobiet.

– Ale za kogo on się uważa?!

Krąg zacieśnił się jeszcze bardziej i podniesione głosy zamieniły się we wrzask. Jakiś krzepki młody człowiek, podjudzany przez dwie starszki, zrobił ruch, jakby się miał rzucić na nauczyciela. W tym momencie między zebranych ludzi wtargnęli Julián Maestre i sierżant Gwardii Cywilnej, do tej pory nieprzerywający rozmowy i przyglądający się scenie z pewnej odległości. Sierżant stanął pomiędzy don Miguelem a młodym osiłkiem.

– A co to ma znaczyć?

Młodzieniec odparł urażony:

– To obraza dla małej świętej.

– Nie słyszałem niczego obraźliwego – wtrącił się Julián Maestre. – Co pan powiedział?

Młody człowiek zmieszał się. Wetknął ręce w kieszenie grubej marynarki i rozejrzał się wokół siebie, szukając wsparcia. Tylko jedna ze starszek, które podjudzały go wcześniej do ataku na nauczyciela, odważyła się odpowiedzieć:

– Bo on obraził Magdalenę.

– Jeśli nawet tak było, nie miał takiego zamiaru, prawda, panie nauczycielu?

Don Julián położył mu dłoń na ramieniu. Don Miguel potrząsnął głową.

– Widzicie państwo? Dalej! Rozejdźcie się do domów, a tu nic się nie wydarzyło.

– Słyszeliście, co wam powiedział don Julián – dodał sierżant. – Idźcie do domów.

Nie chcę żadnego zamieszania.

Nikt nie zaprotestował, nikt nie oponował. Niektórzy nagle przypomnieli sobie o dziewczynce i na pożegnanie przyklękli przed nią, a dwaj tragarze z powrotem podnieśli krzesło. Isabelita była jeszcze bledsza niż wtedy, gdy ją wniesiono do kościoła – zdawało się, że zaraz straci przytomność. Kilka osób, dalekich od przyznania racji nauczycielowi, wpadło na ten widok w coś na podobieństwo uniesienia. Matka z towarzyszącymi jej kobietami sformowała orszak, który ponownie ruszył w drogę przerwana incydentem. Mimo obronnej interwencji don Juliána niektórzy nie powstrzymali się i na odchodnym rzucali don Miguelowi zawzięte spojrzenia, ale rozeszli się już bez słowa.

Don Julián poklepał go po ramieniu i pożegnał się z nim.

– Niech pan pamięta, panie nauczycielu, że nie odbiera się psu kości, kiedy trzyma ją w pysku.

Potem ruszył w stronę czekającego nań sierżanta. Mijając Anę, przywitał się z nią nieco rozkojarzony, po czym spytał:

– Jak tam pani artykuł?

– Dobrze. Jeszcze niczego nie napisałam.

Zatrzymał się i w zaskoczeniu uniósł brwi.

– Ach tak?

– Najpierw chcę się więcej dowiedzieć. Jestem pewna, że dotrę do sedna sprawy i odkryję, co tu się dzieje. A co do tej biednej dziewczynki...

– Gdzie?

Pytanie Juliána Maestre zabrzmiało cokolwiek absurdalnie i zbiło Anę z tropu.

– Gdzie to będzie? W wiosce, w Las Torres.

– Jasne, jasne – zdążył powiedzieć, gdy przerwał im sierżant.

– Don Julián, przepraszam, musimy iść.

Posiadacz ziemski pożegnał się z Aną krótkim skinieniem głowy, nie dając jej okazji do umówienia się na spotkanie na osobności.

Wówczas spostrzegła, że nauczyciel stoi nieruchomo w tym samym miejscu, gdzie doszło do konfrontacji z tłumem. Zrobiła krok w jego stronę, a on – jakby potrzebował takiego sygnału do odejścia – dał jej gestem do zrozumienia, że się śpieszy, i zaraz się oddalił. Pomyślała, że don Miguel zapewne nie chce rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Lepiej było wracać już do gospody. Rozejrzała się za Aurelią. Gospodyni nie dołączyła wcześniej do kręgu zebranego wokół Isabelity. Ana dostrzegła ją w drzwiach kościoła. Aurelia pocieszała Mauricio, który obejmował ją, łkając. Wyglądało to tak, jakby otoczył ją łapami jasnowłose niedźwiedź; każdy jego szloch wstrząsał również ciałem Aurelii.

– Co się stało? – spytała Ana.

– Jest rozczarowany. Don Ignacio wezwał ochotników na obławę w górach, a on chciał iść z nimi. Ale go nie chcą.

Mauricio podniósł głowę. Oczy miał zalane łzami i pociągał nosem.

– Gdyby Isabelita mnie uzdrowiła, mógłbym pójść – wystękał wśród czkawki.

Anie tak się go zrobiło żal wobec tego niedorzecznego pragnienia, że ku własnemu zdziwieniu rzekła:

– No to może następnym razem.

Chłopak spojrział na nią i przestał płakać.

– Tak myślisz?

– Pewnie.

Odsunął się od Aurelii, wytarł sobie nos rękawem koszuli i uśmiechnął się.

– Jesteś bardzo ładna.

Ciotka dała mu kuksańca.

– Nie bądź bezczelny, Mauricio. I zwracaj się do panny Martí z szacunkiem, przez pani.

Spuścił głowę, ale zerknął figlarnie na Anę.

– Panna Martí bardzo ładnie pachnie, jak Pili.

Przez twarz Aurelii przebiegł dziwny grymas.

– No już, wracaj do domu. Zobaczymy, czy święta pewnego dnia cię z tego wyleczy i przestaniesz wygadywać głupoty.

Mauricio oddalił się biegiem. Lewa ręka kołysała mu się przy tym, jakby była przerzuconym przez ramię skórzanym workiem.

Zostały na placu same i ruszyły w stronę gospody.

– Czy mogę panią o coś zapytać? To nie dotyczy Isabelity.

– Jeśli chodzi o don Amadea, był nauczycielem. Rozstrzelali go falangiści. Tak samo zginął Mateo García, choć miał dopiero szesnaście lat i był ministrantem, a także jeden z Tellów, Jacinto, on też...

– Jacinto Tello. Czy to krewny Serafína Tella, partyzanta?

– Jego kuzyn. Serafín uciekł w góry. Gdyby go złapali, też by go rozstrzelali.

– Ludzie ze wsi?

– Martwi, wszyscy. Ci, którzy ich zabili, nie – zrobiła pauzę, rozejrzała się i zniżyła głos. – Ale ci, którzy na nich donieśli, tak.

Dotarły do gospody. Gdy otworzyły drzwi, powitało je ciepło i dodający otuchy zapach sosnowego drewna.

– Zaraz rozdmucham żar.

Ana spędziła popołudnie w pokoju z balkonem. Kiedy był prąd, słuchała radia. Aurelia powiedziała jej, że ten odbiornik skonstruował nauczyciel. Zrobił kurs korespondencyjny organizowany przez barcelońską akademię i stamtąd przysłali mu części do montowania aparatów radiowych. Może, pomyślała Ana, to jego sposób na ucieczkę. Scena na placu kościelnym pokazała jej, że don Miguel mógłby być jej sprzymierzeńcem potrzebnym do ratowania dziewczynki. Bardziej niż Julián Maestre, którego zdystansowana postawa wobec cierpienia małej ochłodziła oczekiwania, jakie Ana w nim pokładała.

Głosy spikerów, muzyka, wiadomości przypomniały jej, że gdzieś tam wciąż istnieje zewnętrzny świat. Świat, do którego pragnęła wrócić. Świat wytęskniony również przez niektórych mieszkańców wioski, takich jak Eugenia; wrogi i onieśmielający dla prawie wszystkich pozostałych.

W radiu znów rozmawiano o najważniejszym bieżącym temacie – wyjątkowo niskich temperaturach.

„Silny mróz i śnieżyce w Kantabrii oraz na północnym wybrzeżu, częściowo na wschodzie i w centrum kraju. Obfite opady śniegu na północy i w dolinie Duero spowodowały utrudnienia w transporcie kolejowym oraz na szosach w stolicy i na północy. Średnie temperatury miesięczne są niższe niż normalnie w całej Hiszpanii. Od 1901 roku nie było takich mrozów w lutym. Zanotowano piętnaście stopni poniżej zera w Pampelunie, trzynaście poniżej zera w Cuence, jedenaście poniżej zera w Valladolid, dziesięć w Geronie, Burgos i León, dziewięć w Madrycie, Salamance, Ciudad Real...”

Ana wzdrygnęła się, słysząc, że termometry w Barcelonie pokazują prawie siedem stopni poniżej zera, i przybliżyła stopy do naczynia z żarem. Usłyszała, że również w Almerii i Kadyksie panuje mróz, i pomyślała, że śnieg i lód nieprędko stopnieją. A ona

wciąż będzie uwięziona w Las Torres. Spiker mówił dalej:

„Wielki chłód, jaki sparaliżował cały kontynent europejski, można porównać jedynie z temperaturami ze stycznia 1914 roku”.

Prąd utrzymał się do godziny trzeciej. Ana mogła jeszcze przez jakiś czas czytać przy świetle dziennym, ale wkrótce musiała zapalić świece. Czekając na odwiedzinę Eugenie, myślała o tym, co jej opowie o Barcelonie. Zacznie od parku rozrywki na Tibidabo, a potem opisze jej bożonarodzeniowe dekoracje świetlne i styczniowy pochód Trzech Króli. A może to dla niej zbyt dziecinne? Z niewielu zdań, jakie zamieniła z Eugenią, wynikało, że jest to utalentowana dziewczynka o wielkiej inteligencji; inteligencji żywej i wiecznie głodnej, chętnie karmiącej się czymkolwiek, byle nie zagubić się nieodwracalnie w swoim środowisku.

O piątej czekała nadal.

O szóstej przeszła przez kilka faz złości przeplatanej możliwymi wyjaśnieniami i usprawiedliwieniami. Musiała pomagać w domu. Albo rodzice należą do tych, którym nie pasuje obecność Any we wsi, i ukarali córkę, ponieważ widzieli, jak z nią rozmawiała. Lub może zapomniała. Z drugiej strony, sama tak bardzo była zainteresowana tą rozmową...

Wieczorem, po zjedzonej przy świecy kolacji złożonej z wędlin, Ana położyła się do łóżka. Następnego dnia postara się ją znaleźć i pogawędzi przez chwilę, choćby na ulicy.

Przykryła się aż po brodę i zwinęła w kłębek.

Na zewnątrz panował wielki chłód, a noc – jak zapowiadali w radiu – miała być najmroźniejsza ze wszystkich, jakie pamiętano w Hiszpanii.

Znowu powiedzieli, że nie. Zawsze mówią, że nie.

Don Julián powiedział, że nie.

Don Ignacio powiedział, że nie.

Don Onésimo powiedział, że nie, i jeszcze śmiał się ze mnie:

– Jak mielibyśmy zabrać takiego głupka? Tylko tego by brakowało, żeby poszedł też z nami Paquito.

Ale ja nie jestem taki jak Paquito! Paquito całymi dniami siedzi w pokoju przy oknie ze śliniakiem pod brodą, a ma ponad dwadzieścia lat. Paquito nie umie mówić, mówi tylko „wziął, wziął”, gdy ktoś go woła po imieniu. Paquito wszystko robi pod siebie. Ja umiem mówić, chodzę do ubikacji za potrzebą i sam się myję.

Tej nocy, o tak, jest mi zimno. Na szczęście włożyłem grubą baranicę i wełnianą czapkę ojca, ale zapomniałem o rękawiczkach. Bardzo zmarzły mi ręce...!

Ochotnicy wyszli godzinę temu. Żeby się wymknąć, musiałem czekać, aż mama zaśnie. Żeby iść za nimi. Dzisiaj może złapią Serafina, brata Dominga. Don Ignacio mówi, że tak jest w wielu rodzinach, że są bracia dobrzy i bracia źli. Domingo jest dobry, bo wygrał wojnę. Serafin jest zły, bo przegrał.

Wiem, dokąd poszli. Kiedy zamiatałem w koszarach, słyszałem, jak mówili, że pójdą do gospodarstwa Trespinos. Że partyzanci nękają je od ponad sześciu miesięcy.

– Tak przynajmniej twierdzi tamten gospodarz – powiedział don Ignacio. – Moim zdaniem trzyma z nimi i już.

– Albo go zastraszyli – dodał alkad. – Niech pan sobie przypomni, co zrobili z gospodarstwem Fuentecilla. Ukradli owce, zabili syna i psy.

Wtedy wyrwało mi się, zajęczałem, bo bardzo mi było żal psów. No i mnie przyłapali.

– To ty! Czemu tu ciągle węszysz?

– Zostaw go, Onésimo. Nie widzisz, że też jest zwierzątkiem? – powiedział don Julián.

Don Julián jest dobry. Wielu ludzi we wsi boi się go, ale ja nie, bo mnie traktuje dobrze i zawsze mówi, że jestem zwierzątkiem, a zwierzątka są dobre. Alkad to co innego, kopnął mnie w tyłek.

Skoro już mnie pobili, a prawie nigdy nie biją dwa razy, zapytałem, czy mogę iść z nimi. Bo w dodatku było ich bardzo mało, tylko pięciu ludzi. Najlepszych, tak powiedział don Ignacio. Beze mnie.

– Nie, Mauricio.

Ale i tak idę.

Nikt mnie nie widział, bo na ulicach jest ciemno. Znowu nie ma światła.

Do gospodarstwa Trespinos idzie się najpierw szosą wychodzącą ze wsi, a potem drogą przez las, tak wąską, że wóz nie przejedzie. Ci z gospodarstwa zawsze przyjeżdżają do nas na mułach.

Jak trudno się idzie przez ten śnieg! Ale za to bardzo dobrze widać ślady ochotników.

Hej, zaraz! To nie są ślady ochotników, za małe. I nie prowadzą do Trespinos, tylko dalej szosą. A jeśli za nimi pójdę?

Już wiem, czyje to ślady. Teraz skręciły do lasu. Czy to jakaś zabawa? Jasne, że tak. Zobaczymy, czy ją znajdę.

– Znajdę cię, znajdę.

Ciemno tu, drzewa zasłaniają księżyc... Znajdę cię, znajdę.

– Znalazłem! Nie udawaj, że śpisz. Znalazłem cię. Teraz ty szukasz. Eugenia, twoja kolej. No dalej, wstawaj. Eugenia, jeżeli nie wstaniesz, pójdę sobie.

No i pójdę. A ona zostanie tu z tym swoim tobołkiem. Jeśli się nie odezwie, idę. Nie. Nie idę.

– Eugenia. Nie podoba mi się ta zabawa. Wstań. Eugenia! Biedusieeeeeńka!

Najzimniejsza noc w roku była również najkrótsza. O drugiej obudziły Anę krzyki i głosy rozlegające się w domu. Wstała i otworzyła drzwi. Zawołała Aurelię. Właścicielka gospody wyszła do niej. Była ubrana i trzymała świecę. Mimo półmroku dawało się zauważyć, że płakała. Na dole kilka osób mówiło i krzyczało jednocześnie.

– Co się stało, Aurelio?

– Niestety. Znalaziono martwą Eugenię.

Ana wyszła boso z pokoju i niepewnie podeszła do gospodyni.

– Jak to?

– Była w lesie. Mauricio ją znalazł. Zawiadomił ochotników, znajdowali się niedaleko.

Ana zrozumiała każde ze słów Aurelii, lecz mimo to nie mogła pojąć, co ta do niej mówi. Gospodyni odwróciła się i zbiegła ze schodów. Ana stała sparaliżowana w ciemnym korytarzu. Oszołomiona, czuła tylko zimne podmuchy, gdy do gospody wchodziły kolejne osoby.

Eugenia martwa w lesie.

Zdanie ułożyło się w jej głowie z całą wyrazistością, ale wciąż wzdbraniała się przed przyjęciem jego znaczenia do świadomości.

Wróciła do pokoju i nie zamknawszy drzwi, zaczęła się ubierać – powoli, oszczędnymi ruchami, nie mogąc się otrząsnąć z otępienia. Zauważyła światła na ulicy. Podeszła do okna i dostrzegła przechodzącą grupkę trzech mieszkańców przyświecających sobie smołowymi pochodniami. Nie szli do gospody, ale nie kierowali się też do domu Eugenie, ponieważ ten znajdował się gdzie indziej.

Włożyła buty i zeszła do jadalni. Zebrało się tu już ponad trzydzieści osób. Zapłakane kobiety, mężczyźni o twarzach zaszepionych zmartwieniem, również dzieci. Najmłodsze spały lub pochlipowały; starsze ze spuszczonej głowami siedziały wokół jednego ze stołów. Gdy Ana weszła, rzuciły na nią przelotne spojrzenie i jeszcze bardziej przybliżyły do siebie głowy. Zarówno ci, którzy rozmawiali w grupkach, jak i ci pogrążeni w milczeniu zdawali się otoczeni czapą ciemnego powietrza, dla Any nieprzeniknionego. Zrozumiała, że w tym momencie obca osoba z Barcelony będzie tolerowana, o ile nie spróbuje wejść na scenę. Dlatego nie odważyła się o nic pytać. Aurelia rozpałała ogień. Zobaczywszy Anę, zaprosiła ją gestem, by usiadła. Ana ze wzrokiem wbitym w ziemię podeszła do wskazanego krzesła. Jakby chciała zrezygnować nawet z roli obserwatorki, postawiła krzesło w ciemnym kąci i tam usiadła. Z przeciwnego krańca stołu jakaś starszuszka rzucała jej ukradkowe, potępiające spojrzenia, jednocześnie mówiąc coś do ucha młodszej kobiecie, siedzącej tyłem do Any i potakującej głową. Rozmawiały o niej, o nieproszonym gościu, świadku ich zmartwienia. Ana zastanawiała się, czy nie powinna wrócić do swego pokoju. Jak zostałyby rozumiane jej odejście? Jako okazanie szacunku? Braku zainteresowania? Jako wymuszona ucieczka? Co będzie robiła w pokoju? To, co ci wszyscy – szukała odpowiedzi na pytania, za którymi czaiła się, czekając na swój moment, żałoba po Eugenie.

Nadejście dwóch nowych osób zupełnie zmieniło jej tok myślenia. Głosy obecnych z niepokojem domagały się jakichś informacji. Nowo przybyli kiwali głowami, opowiadając to, co wszyscy już wiedzieli, ale – podobnie jak Ana – nie mogli przyjąć do wiadomości. Jakaś młoda kobieta wybuchnęła płaczem i zaraz rozplakało się niemowlę, które trzymała w ramionach. Siedzący nieco dalej staruszek załamał się i ukrył twarz w dłoniach, inny położył mu rękę na ramieniu. Pośród lamentów i pomruków rozległy się pytania, które chciała zadać Ana.

- Ale co to dziecko robiło w lesie w taki mróz?
- Mówią, że miała ze sobą tobołek.
- Dokąd ją poniosło? Matka szukała jej przez całe popołudnie.
- Dlaczego jej nie zanieśli do domu?

Nikt nie znał odpowiedzi, ale wśród pytających zaczęły się pojawiać też przypuszczenia.

- Nie widziano jej od obiadu, więc pewnie wtedy wyruszyła.
- Zapadła noc, zanim doszła tam, gdzie się wybierała.
- Zgubiła się.
- Chciała odpocząć chwilę i zasnęła.
- Don Ignacio kazał ją zanieść na cmentarz. Żeby zbadać ciało.
- Nieśli ją owiniętą w koc.
- Wyglądała, jakby po prostu spała.
- Choć była tam kilka godzin, zwierzęta jej nie ruszyły.
- A przy takim śniegu na pewno są głodne.
- Tak jak partyzanci.
- Cicho! Co wygadujecie!
- Nie tknęły jej. Była nienaruszona.
- Nieruszona.
- Nietknięta.

Od stołu, przy którym siedziały dzieci, dobiegł cichy głos jednej z dziewczynek:

- Potwór, to pewnie zrobił potwór.

Tak jak z Pili – odezwał się siedzący obok niej piętnastoletni chłopiec i powiódł wzrokiem po pomieszczeniu.

- Bo już miała ten wiek – dodała tamta.

Inna dziewczynka dała jej gestem znak, by zamilkła, i pokazała głową Anę. Ich spojrzenia spotkały się, Ana nie mogła udawać, że nie słyszała. Ta, która wspomniała o potworze, zaczęła przyciszonym głosem śpiewać znaną Anie piosenkę, mimo że tamta druga szturchała ją karcąco.

Aurelia krążyła między jadalnią a kuchnią z nerwową pracowitością osób czuwających przy zmarłych. Podawała ludziom szklanki z wodą i winem. Spojrzenie miała puste, zagubione. Ana przypomniała sobie zdjęcia jej córki, zmarłej w tym samym wieku, w jakim była Eugenia. Gospodyni przeszła obok stołu, przy którym nuciła dziewczynka. Usłyszawszy melodię, stanęła jak wryta. Jej twarz ściągnęła się najpierw w wyrazie strachu, a potem czystego gniewu.

- Cicho! – rozkazała.

Dziewczynka posłusznie przestała śpiewać i wyprostowała się na krześle jak struna.

Na drugim końcu jadalni czyjś dorosły głos powtarzał:

– Nietknięta, nietknięta.

Przerwał mu dźwięk otwierających się znowu drzwi. Do gospody wszedł don Miguel, ale wrogie spojrzenia zebranych sprawiły, że stanął jak wryty, jakby nagle przed drzwiami wzniesiono niewidzialny mur. Aurelia, bądź co bądź właścicielka gospody, zburzyła ten mur, podchodząc do nauczyciela i zachęcając, by się zbliżył do ognia. Stanął więc obok Any, odwracając się plecami do reszty sali, z wyjątkiem stołu zajętego przez dzieci. Gdy się pojawił, nawet ci, co zdawali się niemal zmorzeni snem, poprawili się na swoich miejscach, jakby byli w szkole. Jedna z dziewczynek rozplakała się na jego widok. Jej matka odłączyła się od swojej grupy, wzięła małą na ręce i usiadła z powrotem z córką na kolanach. Dziewczynka miała około dziesięciu lat, ale dała się kołysać jak niemowlę. Matka mruczała do niej gardłowo, poklepując ją do rytmu po ramieniu. Mała ukryła twarz na piersi kobiety i wydała kilka ostrych, urywanych szlochów. Przyglądając się tej scenie, Ana nawet nie zauważyła, gdy ludzie znowu zaczęli mówić.

Powtarzali pytania: dlaczego Eugenia wyszła na szosę do Cantavieji, czemu niosła swoje rzeczy w tobołku, dlaczego, mając świadomość, jakie to niebezpieczne, usiadła w śniegu, by odpocząć... Z pytaniami przeplatały się słowa „nienaruszona” i „nietknięta”, powracające uparcie jak refren.

Gospodyni wyszła z kuchni ze szklanką wina dla don Miguela. Nauczyciel wypił je jednym haustem, po czym zwrócił szklankę Aurelii, a ona poszła do kuchni, by ją napełnić na nowo. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Właściwie w ogóle się nie odzywał. Kiedy wręczyła mu drugą porcję wina, podziękował skinieniem głowy. Upił łyk i jakby to wreszcie przywróciło mu głos, zwrócił się do Any, odnosząc się do dziewczynki płaczącej w ramionach matki.

– Siedzieli w jednej ławce. Od zawsze – wyjaśnił wyraźnie poruszony.

Nie mógł widzieć rozmawiających, ponieważ wciąż był do nich odwrócony plecami, ale na pewno słyszał skierowane przeciwko niemu komentarze. Ana wyłapała luźne słowa: „ateista”, „nie wierzy”, „lekarz?”, „czerwony”. Te ułamki zdań, strzelające w powietrze jak iskry wśród szarych burzowych chmur, jakimi wydawały się rozmowy prowadzone półgłosem w gospodzie, sprawiały, że atmosfera coraz bardziej gęstniała. Ze swojego miejsca przy kominku Ana widziała odległe jeszcze błyskawice, jakie w nauczyciela ciskały wzrokiem niektóre osoby. Nieustanny ruch Aurelii rozpraszał nieco zbierające się chmury, ale nie był w stanie zupełnie ich rozwiać – bezsilny, nieobliczalny gniew wzbierający w ludziach po śmierci Eugenie szukał kogoś, na kim mógłby się rozładować.

Don Miguel zauważył to bez wątpienia i poczuł też, że burza może się rozpętać w momencie, gdy on odwróci się przodem do sali. Dlatego trwał w swojej wymuszonej pozycji ze szklanką wina w ręce.

Dziewczynka znowu zaczęła nucić piosenkę o potworze, ale niezbyt cicho, toteż mimo gwaru wszyscy ją usłyszeli. I nagle zamilkli. Wówczas nauczyciel odwrócił się i stanął twarzą do dorosłych:

– Kolejna dziewczynka nie żyje! I co mi teraz powiecie?

– Cicho bądź, komunisto! – krzyknęła jedna z kobiet.

– Czerwony. Pod ścianę!

– Miguel, lepiej będzie, jeśli wyjdiesz. – Aurelia podeszła do niego i pociągnęła go.

– Nie chcę. Pozwolisz, żeby mnie wyrzucili z twojego domu?

– Tak będzie lepiej.

– Właśnie, idź do swojego domu. Później złożymy ci wizytę – rzekł jeden z mężczyzn, wstając od stołu.

– Co mają znaczyć te pogroźki, Braulio? – zwróciła się do niego gospodyni. – Przypomnij sobie, dlaczego tutaj jesteśmy. Więcej szacunku.

Mężczyzna bez słowa usiadł z powrotem.

Aurelia przyciszonym głosem powiedziała do nauczyciela:

– Lepiej idź do kuchni i zostań tam.

Posłuchał jej rady. Parę osób szeptało pod nosem w próbie protestu czy kpiny. Aurelia natychmiast stłumiła te głosy. Drobną właścicielką gospody hamowała zapędy gości nie tylko dlatego, że stawała pośrodku jadalni z rękami założonymi na biodra; robiła coś więcej – tworzyła moralną barierę, która sprawiała, że wszyscy zginali karki, napotykać jej spojrzenie. Musiało to mieć coś wspólnego ze śmiercią jej męża, ze zmarłą córką i śmiercią drugiej dziewczynki, jak wspomniał nauczyciel.

Kilka minut później zdawali się już nie pamiętać o obecności don Miguela w tym domu. Weszły cztery kolejne osoby, powtórzyły się pytania, przypuszczenia, zapewnienia. Nowo przybyli też często używali słowa „nietknięta”.

Minęła prawie godzina, większość dzieci spała przy stole z głowami opartymi na skrzyżowanych ramionach, gdy drzwi znowu się otworzyły i wszedł sierżant. Wszyscy z wyjątkiem jednej zniedołężniałej staruszki podnieśli się z miejsc. Niektórzy zerwali się z takim impetem, że poprzewracali krzesła i pobudzili dzieci, z których część rozglądała się zdezorientowana, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Funkcjonariusz Gwardii Cywilnej przybył z cmentarza, dokąd zanieśiono ciało Eugenii w celu dokonania oględzin.

– Gdzie ona teraz jest? Chyba nie zostawiliście jej tam? – zapytał zaniepokojony głos, zanim don Ignacio zdążył zamknąć za sobą drzwi.

Ludzie rzucili się na niego, ledwie zostawiając mu miejsce, by mógł zdjąć pelerynę.

– Co jej się przydarzyło?

– Od jak dawna nie żyje?

– A rodzice?

– Co się tam działo?

– Dokąd szła?

– Jak to się stało, że ją znalazł Mauricio?

– Był z ochotnikami?

Gwardzista ignorował pytania do czasu, aż udało mu się przesunąć bliżej ognia. Kłębowisko ludzi i głosów podążyło za nim. Aurelia wyszła z kuchni i podała sierżantowi wino. Trzymając szklaneczkę w ręce, ale nie pijąc ani łyka, zaczął mówić i, jakby

zanotował sobie pytania w głowie, odpowiedział na nie płynnie w kolejności, w jakiej zostały zadane.

– Umarła z zimna, powiedziałbym, że dwie albo trzy godziny przed tym, jak ją znaleźliśmy. Zanim tu przyszedłem, przekazałem ją rodzicom, którzy też nie wiedzą, co tam robiła. Powiedziałbym, że chciała iść do Cantavieji, ale musiała zawrócić, ponieważ droga była odcięta. Pod ciężarem śniegu zwało się kilka drzew. Zmęczyła się długim marszem, być może przystanęła i zasnęła. Już się nie obudziła. Mauricio znalazł ją, ponieważ szedł za ochotnikami.

Anę zaskoczyły dwie rzeczy. Z jednej strony, jego oszacowanie godziny śmierci. Nie podejrzewałaby go o znajomość medycyny sądowej. Z drugiej strony, od lat pracowała jako dziennikarka w dziale wydarzeń i zdążyła się wystarczająco zapoznać z policyjną procedurą postępowania w przypadkach zgonów następujących z przyczyn nienaturalnych, toteż zdziwiło ją, że gwardzista przekazał rodzinie ciało zmarłej po oględzinach, które zapewne były powierzchowne. Postanowiła, że go zapyta o to, gdy będzie mogła z nim mówić na osobności; w tym momencie wielu z przybyłych miało jeszcze bardzo ważne dla nich pytanie:

– Czy to prawda, że ciało było nietknięte? – zagadnęła jedna kobieta.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – nie zrozumiał sierżant.

– Że jej nie tknęły zwierzęta – wyjaśniła inna.

– Tak, była nietknięta – zapewnił pośpiesznie. – Obejrzeliliśmy całe ciało, niczego nie brakowało. Nie było żadnego zadrapania.

Z jego głosu biła pewność siebie. Dotąd był władzą drugorzędną, na swój sposób cieniem Juliána Maestrego, którego wszyscy postrzegali jako naturalnego pana wsi. Teraz, w przypadku tej śmierci sierżant sięgał po przynależną mu pozycję reprezentanta rządu, mimo że Madryt był bardzo daleko. W swej roli przedstawiciela prawa zdawał się mniej obojętny. Spojrzenia ludzi zawisły na jego ustach – oczekiwano kolejnych szczegółów. Jednak on już powiedział wszystko, tak że mógł jedynie powtórzyć słowa, które mu podsunęto:

– Tak, była nietknięta.

– Nietknięta, nietknięta.

– Powinniście wziąć pod uwagę, że właściwie nie ma tu mięsożernych zwierząt...

– uściślił sierżant, ale go już nie słuchano.

– Nietknięta, nietknięta.

Słowo to przekazywano z ust do ust, jakby w poszukiwaniu kogoś, kto odważy się w końcu wypowiedzieć to, co myśleli wszyscy. Wreszcie zrobiła to jedna dziewczynka:

– Sprawiała to Isabelita.

Ana odwróciła się, by na nią spojrzeć. Mała miała oczy szkliste ze zmęczenia.

– Tak, sprawiała to święta – podchwycił jeden z mężczyzn.

Zdanie powtarzano, tworząc bezładny kanon.

– Sprawiała to święta.

– Sprawiała to święta.

– Sprawiała to święta.

Wkrótce dodano do niego nową melodię:

– Uczyniła cud.

Oba zdania okrążyły kilka razy całe zgromadzenie, podczas gdy ludzie stawali się coraz bardziej poruszeni.

– Sprawiała to święta.

– Uczyniła cud.

Trzecia melodia udzieliła się stopom, które zaczęły się niespokojnie przemieszczać po podłodze.

– Chodźmy jej podziękować.

Chociaż nikt nie wydał poleceń ani nie stanął na czele grupy, wszyscy wzięli swoje okrycia i ubrali się w nie. Ci, którzy przyszedli do gospody z lampami naftowymi, zaświecili je teraz na nowo. Kilku zapaliło smolne pochodnie, którymi przedtem oświetlało sobie drogę, reszta pożyczyla od Aurelii przenośne świeczniki i świece. W ciągu kilku minut grupa sformowała się w pielgrzymkową procesję i wśród modłów opuściła gospodę, kierując się do domu Isabelity, by podziękować dziewczynce za uczynienie cudu i zachowanie nienaruszonego ciała Eugenii.

Jako że klienci zabrali ze sobą świece, w opustoszałym pomieszczeniu zrobiło się ciemnowo – oświetlały ją jedynie płomienie ognia buzującego w kominku. Ana wstała, by pójść do swojego pokoju i włożyć płaszcz. Chciała zobaczyć, co będzie się dalej działo.

– Cóż, ja też będę się zbierać – powiedział gwardzista.

Nie zwrócił się ani do Any, ani do Aurelii, która sprzątała pozostawione naczynia i odnosiła je do kuchni, gdzie wciąż siedział don Miguel. Sierżant mówił do pustej przestrzeni pozostałej po tłumie, który hurmem wymaszerował na ulicę. Gdy słuchacze opuścili don Ignacia, jego głos sporo stracił ze swej siły. Ana pożegnała się z nim. Weszła na górę do swojego pokoju, włożyła płaszcz, na ramiona zarzuciła sobie grubą chustę i wybiegła na ulicę. Kiedy zrobiła już kilka kroków w stronę domu małej świętej, uświadomiła sobie, że ani nauczyciel, ani właścicielka gospody nie przyłączyli się do tłumy.

Zawróciła, by wziąć z gospody aparaturę fotograficzną. Zostało jej jeszcze kilka rolek filmu i chciała zrobić zdjęcia, choć najprawdopodobniej nie uda się sfotografować nic więcej jak drżące płomienie świec i pochodni, trzymające je białe ręce i ciemne zarysy sylwetek. Być może w mroku zamajaczy czyjaś twarz albo głowy dzieci, które też pociągnięto na zaimprovizowaną procesję do domu małej świętej.

Drzwi zostawiono niedomknięte, ale w jadalni nadal utrzymywało się ciepło ludzi, którzy tłoczyli się tu nie tak dawno. W powietrzu czuć było palonym drewnem, winem ze szklanek porzuconych na stołach i potem ciał za wcześnie wyrwanych z łóżek, wystraszonych, zaniepokojonych tyłoma pytaniami bez odpowiedzi. Pomieszczenie oświetlał jedynie blask ognia palącego się na kominku oraz lampy naftowej, którą Aurelia postawiła na stole koło kuchni. Zza drzwi dobiegały głosy gospodyni i nauczyciela, ale nie było słycać, co mówią.

Wtem rozległ się szorstki odgłos, jakby trzask pocieranej zapalki. Ana drgnęła i odwróciła głowę w stronę ognia. Na krześle poruszyła się jakaś spowita w chusty kobieta. Ana nie zauważyła jej w mroku, gdy weszła. Staruszka patrzyła na nią złośliwymi oczkami, kąciki ust pociągały całą jej twarz w dół. Ana pozdrowiła ją. Wówczas stara wieśniaczka klasnęła językiem, wyrażając swą niechęć, i zaczęła mamrotać coś, co mogło być zarówno modlitwą, jak i złorzeczeniem. Ana nie chciała jej słuchać. Przeszła obok niej i szybko wspięła się do swojego pokoju. Wyjęła z futerału aparat i zmieniła film. Poprzednią rolkę schowała do kieszeni walizki.

Kiedy znów przechodziła przez jadalnię, spostrzegła, że pod jednym ze stołów śpi dwójka dzieci, cztero- czy pięcioletnich, skulonych na baranich kozuchach. Staruszka wciąż mamrotała, ale tym razem nie odwróciła się do Any, tylko wpatrywała się w ogień. Mimo wszystko Ana nie mogła się pozbyć wrażenia, że niewyraźne słowa są skierowane przeciw niej.

Weszła do kuchni. Aurelia z zagubionym spojrzeniem zmywała naczynia. Miguel najwidoczniej już sobie poszedł.

– Czy mogę wziąć z sobą lampę, która została w jadalni? – zapytała Ana.

– Jasne.

Wróciła do jadalni po lampę. Wyszła. Cokolwiek ma się zdarzyć, powinna to widzieć.

Podążała w stronę domu świętej, kierując się wydeptanymi w śniegu śladami. Dwie ulice przed celem postanowiła okrążyć dom i zejść z drugiej strony, żeby mieć lepszy widok na twarze, nie na plecy tłumu. Lampa sporo ważyła. Gdy Ana trzymała ją w górze, by sobie przyświecać, ręka zaczęła jej drętwieć. Nie czuła już palców i obawiała się, że ciężki przedmiot wyśliznie się jej z dłoni. Postawiła go na chwilę na śniegu i poruszyła palcami, zamykając i otwierając pięść. Czucie w dłoni wróciło, przejawiając się bolesnymi mrówkami. Potarła sobie ręce, nie zdejmując rękawic, potem przez chwilę uderzała dłonią o dłoń i potupała, żeby przywrócić czucie w stopach. Następnie wzięła pałąk lampy i znów ją uniosła.

A zaraz potem o mało nie upuściła, kiedy kilka metrów przed sobą dostrzegła małą

białą figurkę, wolno poruszającą się pod ścianą jednego domu. Postać, jakby się chciała zakamuflować na tle śniegu, od stóp do głowy była okryta białą kołdrą. Gdy padło na nią światło, zatrzymała się i skuliła, próbując zamienić się w nieruchomy tobołek. Ana podeszła bliżej. Tam, gdzie – jak przypuszczała – powinna być głowa tej osoby, zauważyła ruch palców. Rozchyliły w tym miejscu kołdrę, zapewne po to, by zrobić szparę na oczy. Wówczas biały kształt przesunął się dwa kroki do przodu, zawrócił, zrobił kilka kroków w przeciwnym kierunku, znów zawrócił i ponownie nieco się zbliżył, wciąż wahając się na granicy światła rzucanego przez lampę Any, jakby było pułapką, w którą się złapał i z której nie mógł się wydostać. W końcu mała postać osunęła się w śnieg.

Podchodząc bliżej, Ana usłyszała dziecięcy jęk. Postawiła lampę na ziemi i wyciągnęła rękę do drżącego tobołka, a on drgnął mocno i zaczął ją błagać:

– Zostaw mnie, zostaw.

To była Isabelita.

– Jak mam cię zostawić na tym mrozie? Nie słyszałaś, co tej nocy przydarzyło się biednej Eugenii?

W odpowiedzi rozległ się długi, łamiący się szloch, a potem ucichł, jak płacz niemowlęcia zbierającego siły do jeszcze głośniejszego lamentu. Mała kompulsywnie kiwała się do przodu i tyłu, chrapliwie wypuszczając powietrze.

– Nie mogę oddychać! Nie mogę oddychać!

Jej ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze, wręcz spazmatyczne.

– Nie mogę oddychać!

Ana szarpnęła kołdrę. Dziewczynka mocno trzymała jej brzegi, ale udało się rozchylić przykrycie na tyle, by wyjrzały spod niego przerażone oczy Isabelity. Mała dusiła się z braku powietrza, które docierało do jej płuc zbyt małymi porcjami. Ana uklękła obok niej, spróbowała ją nieco wyprostować, unosząc jej podbródek, i zaczęła jej mówić do ucha:

– Spokojnie. Oddychaj głęboko. Tak. Jeszcze raz. Nabierz powietrza, więcej, więcej. A teraz wypuść. Bardzo dobrze.

Stopniowo oddech dziewczynki ustabilizował się. Dopiero teraz Ana zdała sobie sprawę z tego, że odkrywając Isabelitę siłą, zdarła jej strupy z rąk i rany krwawią na nowo. Dziewczynka najwyraźniej też właśnie to zauważyła i starała się je ukryć, ale zdradziły ją czerwone plamy na kołdrze.

– Nie musisz ich ukrywać.

Dziewczynka wyciągnęła dłonie i pokazała je. Najpierw spód, następnie wierzch. Ana pomyślała o codziennym rytuale, w ramach którego jej ojciec sprawdzał, czy przed obiadem porządnie umyła ręce. Również w przypadku Isabelity ten gest miał w sobie coś z egzaminu posłuszeństwa. Dziewczynka nie pokazywała Anie stygmatów, pokazywała jej ranne dłonie. Ana pogładziła je po palcach.

– Bardzo cię boli?

Mała kiwnęła głową. Obie drżały z zimna. Śnieg przemoczył wszystkie warstwy ubrań, jakie miały na sobie.

– Jak ci się udało wyjść z domu, tak że nikt nie widział?

– Tato jest z ochotnikami, a mama poszła do sąsiadki, żeby się dowiedzieć, co się

stało. Wyszłam, zanim wróciła.

– A co robisz o tej porze na ulicy, Isabelita?

– Chcę sobie iść.

– Dokąd?

– Daleko.

Wskazała głową w stronę wiodącej ze wsi drogi – tej samej, którą obrała Eugenia i z której wróciła martwa, niesiona przez ochotników.

– Dlaczego?

– Bo już więcej nie chcę. Nie chcę więcej. Nie chcę być święta, nie chcę być zamknięta w domu, nie chcę wizyt.

Mówiła z gniewem i każdy punkt jej wyliczenia miał w sobie więcej rozpaczy. Ana objęła ją. Dziewczynka ciągnęła swój lament:

– Nie chcę, żeby mnie prosili o rzeczy, nie chcę, żeby mi dawali prezenty, nie chcę, żeby na mnie patrzyli w kościele, nie chcę, żeby don Benito ocierał mi rany chusteczkami, nie chcę, żeby mi mówił, że prędko umrę. Nie chcę prędko umrzeć, bo pójdę do piekła. Nie chcę iść do piekła. Nie chcę.

– Czemu tak mówisz?

– Bo jestem w ciężkim grzechu. Jeżeli umrę, Bóg mnie pokarze i wyśle do piekła.

Ana zrozumiała, wypuściła Isabelitę z objęć, odsunęła się nieco, chwyciła ją za ramiona i próbowała złowić jej spojrzenie, ale mała trzymała głowę opuszczoną. Ana wzięła ją za ręce. Dziewczynka, znów posłuszna, pokazała jej spód i wierzch dłoni.

– Kto ci to robi? Mama? Don Benito?

Pokręciła głową.

– Sama robisz sobie stygmaty?

Potwierdziła skinieniem.

– Dlaczego?

– Ale teraz, kiedy Eugenia nie żyje...

– Co Eugenia ma wspólnego ze stygmatami? Czemu je sobie robisz?

Isabelita myślała o czym innym:

– Masz coś do jedzenia? Ciasteczka?

W pobliskiej uliczce rozbłysły światła, zabrzmiały głosy przemieszane z krzykami.

– Święta! Gdzie nasza święta?

– Poszła sobie!

– Opuściła nas.

– Nie, nigdy. Ktoś nam ją ukradł! – zawołała piskliwie jakaś kobieta.

– Ukradli nam świętą! – zawtórowała jej druga.

– Isabelita, gdzie jesteś? – to, zdaje się, nawoływał don Benito.

Krzyki rozlegały się coraz bliżej. Ludzie zaraz wejdą w uliczkę, w której Ana znalazła dziewczynkę.

Spróbowała ją podnieść. Zabrać ze sobą do gospody. Ukryć.

– Gdzie jest nasza święta?

– Ukradli nam ją. To nauczyciel, na pewno nauczyciel – powtórzyła łamiącym się głosem inna kobieta. Gniew zaciskał jej struny głosowe.

Ana nie mogła więc ukryć małej w gospodzie. Mogłoby im przyjść do głowy szukać tam don Miguela. A gdyby znaleźli Isabelitę, zapewne nie słuchaliby wyjaśnień. Nie wiedziała też, co się stanie, jeśli zastaną ją z małą świętą na ulicy. Najprawdopodobniej stwierdzą, że to ona próbowała ją ukraść. Obca. Nie tylko ze strachu postanowiła, że lepiej zostawić małą tu, by ją odnaleźli. Również dlatego, że nie miała gdzie jej ukryć. Nie nadszedł jeszcze właściwy moment.

Dziewczynka zrozumiała, co jej przekazuje uścisk ramion Any.

– Zostawisz mnie?

– Tylko na razie. Wrócę. Obiecuję.

Isabelita podźwignęła się i spojrzała na Anę z rezygnacją, po czym z powrotem owinęła się kołdrą i podążyła chwiejnym krokiem na spotkanie z poszukującymi ją ludźmi.

– Przynies mi ciasteczka – powiedziała na pożegnanie.

Ana przygasiła lampę. Nie chciała, by ją odkryli. Nie zrobiła nic złego, ale i tak się bała.

Zatoczyła wielkie koło, zanim odważyła się wrócić do gospody.

Metalowa klamka była tak lodowata, że Ana poczuła zimno przez wełnianą rękawiczkę. Jednak kręciła gałką na próżno – drzwi się nie otworzyły. Potrząsnęła nimi. Nic z tego. Zamknięto je na klucz. Cofnęła się o krok. Dom tonął w ciemności. W oknach pokoi na piętrze nie widać było nawet blasku. Przez zamknięte okiennice jadalni sączyło się słabe światło pochodzące zapewne z ognia na kominku. Rozejrzała się po ulicy, ale nikogo nie dostrzegła. Nie dobiegały jej również głosy grupy poszukującej Isabelity.

Może Aurelia położyła się, przekonana, że Ana jest u siebie w pokoju. Zapukała do drzwi. Zabębniła pięściami. Głuchy odgłos zakłócił ciszę ulicy. Przerwała i nasłuchiwała. W domu nic się nie poruszyło.

Nogi miała zlodowaciałe. Przez chwilę myślała, że jeśli gospodyni nie otworzy, przyjdzie jej umrzeć tutaj z zimna. Zaczęła uderzać dłonią o dłoń, by je rozgrzać, i tym ruchem odgoniła złe myśli. Nie. Nie zamarznie. Ktoś przyjmie ją na noc, choć potencjalnych chętnych nie było wielu. Oczami wyobraźni ujrzała się, jak chodzi od drzwi do drzwi i wszędzie jej odmawiają.

Wtem usłyszała ochryply szept:

– Aurelia, to ty?

Głos wydał się jej znajomy.

– Nie, to ja, Ana.

Ktoś przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi.

– Niech pani szybko wchodzi, zanim nas ktoś zobaczy.

Rozpoznała go, to był nauczyciel. W jego głosie zabrzmiała ulga.

Wpuścił ją do ciemnego korytarza. Potem schylił się, żeby ponownie dwa razy obrócić klucz, i sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte.

Odwrócił się.

– Jestem – zawahał się, zanim dokończył – w tarapatach. Dlatego się tu ukrywam. Napijesz się ze mną wina?

Przedtem zauważyła, że jest bardzo blady i zmęczony. Teraz zdawało się, że zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. Pytanie nie zabrzmiało jak zachęta, tylko raczej jak żarliwa prośba.

Ana kiwnęła głową, przyjmując zarówno zaufanie związane ze zwracaniem się przez ty, jak i zaproszenie na wino, i poszła za nauczycielem.

W jadalni było pusto. Staruszka i dzieci zniknęły. Ktoś przeniósł wszystkie szklanki na jeden stół. Powietrze w pomieszczeniu było ciężkie i duszne. W ciemności Ana potknęła się o krzesło.

– Nie chcę zapalać światła, żeby nie było go widać z zewnątrz.

Na stole usytuowanym obok drzwi do kuchni, najbardziej oddalonym od okna, przygaszona lampa naftowa oświetlała butelkę wina i na wpół opróżnioną szklaneczkę.

Miguel zachęcił Anę, by usiadła. Następnie przyniósł z kuchni drugą szklaneczkę, nalał wina i usiadł naprzeciw niej. Poruszał się po domu pewnie. Napili się jednocześnie.

– Odprowadziłem Aurelię do domu Eugenii, a potem poszedłem do siebie. Nie byłem tam nawet pięciu minut, gdy usłyszałem grupę osób wykrzykujących pod moimi

drzwiami: „komunista”, „ateista”, „sukinsyn”. Obrażali mnie, zresztą jak zawsze.

I pewnie jeszcze gorszymi słowami, pomyślała Ana, których nie chce powtarzać. Przygryzła wargi.

– Był tam ojciec małej Alicii. We wrześniu podarował mi na imieniny dwie grube kiełbasy, z tych, które wyrabia. „Wielkie dzięki, don Miguel, wielkie dzięki”. Był też López. Jego młodszy syn zaczął w tym roku szkołę. Starszy to niezłe ziółko. „Niech pan go trzyma krótko, don Miguel. Zobaczymy, czy będzie z niego jakiś pożytek. Dziękuję, don Miguel. Niech Bóg ma pana w opiece, don Miguel”.

Wzrok miał utkwiony w drewnianym blacie stołu. Wziął szklankę i opróżnił ją jednym haustem. Ana zastanawiała się, ile już w siebie wlał tej nocy. Ale jego oczy nie były zaćmione, gdy spojrzał na nią i uśmiechnął się przeproszająco. Na jego twarzy znów odbijała się nieśmiałość przemieszana z determinacją, które Ana wcześniej uchwyciła w obiektywie.

– Przepraszam. Użałam się nad sobą.

– Nie, wcale nie.

Rozumiała, że czuje się rozczarowany, że sytuacja napawa go goryczą. Nic już dla nich nie znaczy to, że był nauczycielem, że przez kilka lat uczył ich dzieci. Nagle w ich oczach jest jedynie ateista, który chce im odebrać małą świętą. Jeżeli jego tak potraktowali, co by zrobili z nią, obcą?

– Krzyczeli „ma naszą świętą, zabrali Isabelitę”. Gdy usłyszałem, że zaczęli walić do drzwi, żeby je wyważyć, uciekłem przez okno z tyłu. Aurelia zawsze zostawia drzwi otwarte, postanowiłem więc, że się tu u niej schowam. Pewnie w końcu rozwalili moje drzwi. Mam nadzieję, że nie rozbili radia, które miałem do połowy złożone.

Ana przypomniała sobie, że Miguel konstruuje odbiorniki radiowe, takie jak ten, który Aurelia ma w swoim pokoju.

Zamyślił się, spoglądając przez nią na wskroś, jakby zapatrzony w jakiś punkt zagubiony w ciemności jadalni. Ana czekała w milczeniu na dalszy ciąg zwierzeń.

– Nie znaleźli tam Isabelity. Szkoda, że nie mogłem jej pomóc.

Zaczął obracać w dłoni szklaneczkę, wbijając w nią wzrok, jakby chciał czytać w niej jak w kryształowej kuli. Ana zastanawiała się, czy widzi tam coś więcej niż niedopitą resztkę wina. Przyszłość małej Isabel? Własną?

Otrząsnęła się z zadumania.

– Widziałam się z Isabel.

– Widziałaś ją? Gdzie?

– Na ulicy. Próbowала uciec. Ale deptali jej po piętach i w końcu ją znaleźli.

Wpatrywał się w nią uporczywie.

– Nie mogłam nic dla niej zrobić. Rozszarpaliby mnie na strzępy.

– Tego możesz być pewna.

– Zanim ją dopadli, powiedziała mi, że sama robi sobie te rany.

Miguel nie wydawał się tym zbyt zaskoczony. Przytaknął tylko wolnym skinieniem głowy jak ktoś, kto widzi, że potwierdzają się jego przypuszczenia.

– Wiesz, że matka nie daje jej jeść?

– Co masz na myśli?

– Że dosłownie chcą, żeby umarła z głodu. Mauricio czasami przynosi jej coś do jedzenia.

Na twarzy nauczyciela przerażenie walczyło z niedowierzaniem. Musiał kilka razy przełknąć ślinę, zanim odzyskał mowę.

– Miałem wrażenie, że robi się coraz chudsza, ale nigdy bym nie pomyślał, że fanatyzm Magdaleny może się posunąć tak daleko. Do czego ona jest zdolna? Zagłodzić własne dziecko?

– Przypuszczam też, że to z jej polecenia dziewczynka odnawia sobie rany.

Miguel zaczął powoli mówić:

– Nie jestem zbyt pewien, czy Magdalena ma świadomość tego, co robi córce. Mogę sobie wyobrazić, że naprawdę uważa, że Isabel żywi się hostią, którą przyjmuje co niedzielę – dodał gorzkim tonem. – Jak przystało świętej.

– W takim razie motorem tego wszystkiego byłby don Benito. Może tak umiejętnie wpływa na matkę i córkę. To coś w rodzaju „prania mózgu”, jak niedawno napisali w jednej gazecie.

Przypomniała sobie artykuł o amerykańskich żołnierzach, którzy wrócili z wojny w Korei. Najwidoczniej chińscy specjaliści tak zmanipulowali im umysły, że byli jeńcy jak automaty powtarzali doktryny wpojone im przez oprawców. Jej ojciec skomentował to wtedy: „Po co nam do tego Chińczycy, skoro mamy u siebie inkwizycję?”.

– Możliwe, że to on ją przekonał, aby nie dawała córce jeść, ponieważ nie potrzebuje „ziemskiego pokarmu”. A te jego patetyczne historie o młodych męczennicach skłoniły Isabelitę, by sobie zrobiła rany. Uformował sobie z niej świętą według własnego widzimisię.

Miguel popatrzył na nią sceptycznie.

– Nie wiem. Don Benito jest ambitny, ale nie sądzę, by miał na tyle wyobraźni, żeby coś takiego obmyślić.

Anie stanęła przed oczami postać proboszcza z wściekłą błyskawicą w oczach, której nie zdołały ukryć grube szkła okularów, kiedy nie zgodziła się podać mylnej daty wystąpienia stygmatów. Za żarliwą pobożnością, roztaczaną przez gładki głos, porywający dar wymowy, gesty typowe dla łagodnego duszpasterza, stał człowiek, który doskonale wie, czego chce, i nie pogodzi się z porażką. Dlatego powiedziała:

– Będzie bronił swojej świętej jak lew i tygrys.

– Nie tylko on.

Oboje przypomnieli sobie ludzi ze wsi, którzy tej nocy wyszli na poszukiwanie Isabelity i byli gotowi zlinczować nauczyciela.

– Ślepi fanatycy – mruknął Miguel.

Ana poczuła dreszcz.

– Ale dlaczego mieliby ją głodzić na śmierć? Przecież przynosi im niemałe korzyści. Coraz więcej osób w nią wierzy – zapytał zdziwiony.

– Gdy umrze, będą ją mogli beatyfikować, a pewnego dnia może zostać świętą. Don Benito uważa śmierć męczeńską za ukoronowanie kariery świętej.

– Ponadto żywa może przysporzyć problemów. Mogłaby się sprzeciwić dalszemu kultowi – zauważył Miguel, najwyraźniej zaczynając podzielać punkt widzenia Any.

Poczuła w ustach bolesną suchość, lecz mimo to dodała:

– I właśnie to się stało. Dziś chciała uciec. Teraz mają kolejny powód, by przyspieszyć jej śmierć.

W twarzy Miguela dostrzegła odbicie własnego strachu.

– Jeśli nic nie zrobimy, umrze.

Miała wrażenie, że jej słowa zabrzmiały płasko, jak kwestia bohaterki taniego melodramatu. Wywarły jednak niemal cudowny wpływ na Miguela. Wierzchem dłoni odsunął szklanke, którą zdążył opróżnić dwa razy, i rzekł zdecydowanie:

– Musimy ją stąd wyrwać.

Zastanowił się chwilę.

– Nie może zostać we wsi. Pod żadnym pozorem.

– Ale jest za słaba, żebyśmy ją mogli zabrać dokądś pieszo. Nie możemy również na oczach wszystkich wywieźć jej autobusem.

– Moglibyśmy zabrać ją do Barcelony. Kiedy pogoda się poprawi, przyjedzie po mnie samochód wysłany z wydawnictwa. Moglibyśmy ją wywieźć ukradkiem. Wiem, gdzie można by ją na początek umieścić w Barcelonie.

Myślała o Beatriz. Kuzynka nie byłaby zachwycona, lecz biorąc pod uwagę okoliczności, pewnie by się zgodziła. Tymczasem był to najmniejszy problem. Najpierw muszą jakoś wydostać Isabelitę z wioski.

Miguel już pracował nad planem.

– Magdalena co rano wychodzi na mszę. Odkąd Isabelita ma stygmaty, do kościoła uczęszcza też jej ojciec, Paco.

Odkąd jest ojcem świętej.

– Mówisz, że Mauricio wchodzi do jej domu, tak? Moglibyśmy poprosić, żeby jej zaniósł wiadomość, że ma zabrać, co będzie jej potrzebne, i że czekamy pod murem ogrodu, tym od strony zaułku. Tam niełatwo nas zauważą, wokół są same tylne podwórka i ogródki. Mur nie jest bardzo wysoki. Mogę go przeskoczyć, pomóc jej przedostać się górą i wsadzić ją do samochodu.

Przez kilka sekund Ana wyobrażała sobie, jak prowadzi służbową furgonetkę z siedzącą z tyłu Isabelitą owiniętą w koce, z rękami i stopami w bandażach, które sama jej założyła. Widziała, jak kieruje się w stronę Barcelony, pewnie biorąc zakręty na bezśnieżnej szosie. Dokoła kwitną janowce i zielenią się pąki na drzewach, a ona śpiewa jakąś modną piosenkę. Dotarłszy do tej wizji, zdała sobie sprawę z tego, jak nedorzeczny jest ten pomysł, i wróciła do rzeczywistości.

– To uprowadzenie, Miguel. Na policji zgłoszą uprowadzenie dziecka.

– Nie, jeśli sami złożymy doniesienie. Zrobisz to, kiedy dojedziesz do Castellón. A gdy dziewczynka powie prawdę, będzie oczywiste, że nie doszło do porwania.

– Żeby to zrobić, musimy tam dotrzeć. Ale najpierw jej rodzice odkryją, że zniknęła. Pójdą do don Ignacia. W ciągu kilku minut zostaniemy zatrzymani przez patrol Gwardii Cywilnej.

– Tylko pod warunkiem, że będzie działało radio w koszarach. Ale je można uszkodzić. Ktoś mógłby je uszkodzić... A jak wiesz, połączenia telefoniczne z miastem bywają zawodne.

Brzmiało to prawie euforycznie i Ana zastanawiała się, czy znaczna część tego absurdałnego planu nie jest zasługą wina, które nauczyciel wypił. Dostrzegła inny problem:

- Jeżeli ludzie uświadomią sobie, że mi pomogłeś, zlinczują cię.
- O ile mnie znajdą.

Ana zrozumiała. Ratowanie Isabelity było dla niego także okazją do wyniesienia się ze wsi. Z nią. Co jej powiedział podczas pierwszego spotkania? Że cuda są jak szczeliny w tym świecie, przez które prześwituje do nas odrobina nadziei. Wtedy wydawało się jej to zbyt romantyczną ideą, ale teraz Miguel najwyraźniej stał u progu przeżycia własnego cudu.

Spowijające ich milczenie przypomniało jej o kimś, kto odszedł. Nauczyciel wspominał, że Aurelia poszła do rodziców Eugenii.

- Wiesz, że Eugenia chciała powiedzieć mi coś ważnego o Isabelicie?
- Nie dziwi mnie to. Zawsze były razem. Powierzały sobie sekrety, śmiały się, miały wspólne sprawy. Eugenia była z nich dwóch sprytniejsza. Kładła przyjaciółce do głowy najdziwniejsze pomysły.
- Myślę, że znała prawdę o stygmatach i o tym, że matka Isabelity głodzi ją na śmierć.

– Tego zapewne dowiedziała się od Mauricia. Bardzo podziwiał Eugenię. Uwielbiał ją.

To oferował jej w zamian za „odrobinę miasta”, pokarm dla jego głodnego ducha.

– Obawiam się, że kiedy podeszła do mnie pod kościołem, ktoś usłyszał, co mówi, i domyślił się, co chce opowiedzieć. To okropne!

Miguel patrzył na nią zdumiony. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie jej słów.

– Więc sądzisz, że to nie był wypadek?

Eugenia wychowała się we wsi, nie była niedoświadczoną turystką, która może się łatwo zgubić. Doskonale wiedziała, jak niebezpiecznie jest iść do lasu podczas mrozu albo próbować dotrzeć pieszo do Cantaviejy przy takim śniegu, który blokuje drogę.

– Nie. Eugenię ktoś zabił.

– Ale, ale... – Głos mu zadrżał. – To nie do pojęcia. Uważasz, że don Benito lub Magdalena...?

– Żadne z nich. Ale ktoś z tych, którzy tej nocy byli gotowi cię zaatakować: owszem, tak. Ktoś z tych, którzy byliby w stanie zrobić wszystko, by pomóc proboszczowi.

Ana ledwie się odważyła sformułować swe podejrzenia.

– Możliwe, że wymarsz ochotników był tylko przedstawieniem. Dlaczego mieliby wyruszać w najzimniejszą noc? Nie. Myślę, że próbowali wynieść ze wsi ciało dziewczynki, żeby zostało znalezione kilka dni później.

Nietknięte ciało dziewczynki. Wielu przypisuje cud biednej „stygmatyczce”, podczas gdy wyjaśnienie jest prostsze. Żadne zwierzę nie zdążyło naruszyć zwłok, ponieważ zbyt krótko leżały w lesie. Ledwie je tam położyli, zjawił się Mauricio. A zrobili to ochotnicy rzekomo polujący na partyzantów.

Wyszli w okrojonym składzie, zaledwie pięciu ludzi. Zapewne najbardziej zaufanych, gotowych milczeć w imię lojalności, w imię fanatyzmu.

Nie przewidzieli tylko, że pójdzie za nimi Mauricio i natknie się na nią tak szybko. Miguel pokręcił głową.

– Ale to by oznaczało, że wtajemniczone jest pół wsi, że nawet don Ignacio należy do spisku. Stwierdził, że dziewczynka zamarzła, i pozwolił, żeby ją pochowano jutro, nie czekając, aż zostanie zrobiona autopsja.

Pośpiech w planowaniu pochówku był kropką nad i. W każdej chwili można się było spodziewać naprawy elektryczności i linii telefonicznej. A przez telefon kompetentny policjant mógłby zażądać dokonania autopsji. Najlepsza strategia wobec tego to oznajmić, że ciało niestety zostało już pochowane. Jaki sędzia zarządziłby ekshumację dziewczynki, która zamarzła w lesie na obrzeżu zagubionej na końcu świata wioski?

To rozumowanie napędzało Anie coraz więcej strachu, nie tylko dlatego, że zgodnie z nim śmierć Eugenie nie była wypadkiem, lecz także z powodu wielkiej liczby współników i skrytych sprzymierzeńców potrzebnych do podtrzymywania takiego kłamstwa.

Kto wie, ilu mieszkańców wsi jest wciągniętych w intrygę. Jeżeli zabili Eugenię, żeby ją uciszyć, żeby nie mogła rozmawiać z dziennikarką, oznaczało to, że Ana stale jest obserwowana, szpiegowana. Miguel najwidoczniej doszedł do tego samego wniosku, bo spojrzał na nią zaniepokojony i powiedział poważnym tonem, który – jak sobie wyobrażała – stosował, gdy chciał coś wpoić swym uczniom:

– Nie powinnaś opuszczać gospody, póki nie przyjedzie po ciebie samochód. I nikomu też nie mów, że stygmaty są fałszywe.

Popatrzył na nią wymownie.

– Absolutnie nikomu – powtórzył.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, że rozumie, na twarzy Miguela pojawił się lekki uśmiech. Uśmiech nieprzeznaczony dla Any.

– Aurelio, nie słyszałem, jak weszłaś.

– Wróciłam przez kuchnię. Krótsza droga.

Ana odwróciła się.

– Witaj, Ana.

Właścicielka gospody zaczęła rozplątywać węzły przytrzymujące chustę, którą miała na głowie. Potem zdjęła płaszcz. Ana zastanawiała się, ile z ich rozmowy słyszała.

– Biedaczka jest zrozpaczona. Wiem, przez co przechodzi.

Miguel wstał i położył Aurelii dłoń na ramieniu. Spojrzała na Anę. Miała zaczerwienione oczy.

– Byłam u rodziców Eugenie.

– Miguel mi mówił.

Potem gospodyni zwróciła się do nauczyciela:

– Czemu wróciłeś? Myślałam, że poszedłeś do domu.

Opowiedział jej, co się wydarzyło po ucieczce Isabelity. Nie wspomniał, że Ana spotkała dziewczynkę na ulicy.

– Może będzie lepiej, jeśli zostaniesz tu na noc – zaproponowała Aurelia.

– Nie, dzięki, wolę wrócić do domu. Isabel pewnie już jest u siebie i nie sądzę, żeby złożyli mi więcej wizyt tej nocy.

Wkrótce potem pożegnał się z obydwiema i wyszedł głównymi drzwiami.

Ku wielkiej uldze Any, Aurelia zamknęła za nim drzwi, dwukrotnie przekręcając klucz w zamku.

Aurelii nie było w gospodzie, gdy Ana się obudziła. Była sama w milczącym domu, głuchym bez odgłosów, jakie do tej pory co rano dochodziły z kuchni.

Włożyła płaszcz na koszulę nocną i zeszła, by sobie zagrzać wody na mycie. Musiała rozdmuchać ogień miechem, ponieważ żar na palenisku prawie wygasł. Zatem gospodyni nie było już od jakiegoś czasu. Dom wydawał się bez niej mniejszy, jakby jej żwawe ruchy zakrzętałej wiewiórki zapobiegały zbieganiu się ścian, a teraz one skwapliwie korzystały z jej nieobecności, by ukraść z wnętrza odrobinę przestrzeni.

Ana poszukała w spiżarni puszek, w której Aurelia trzymała kawę. Zostało jej bardzo mało. Zagrzała na węglowej kuchni garnuszek wody i przygotowała sobie niemal przezroczyisty napój. Potem napełniła wodą kociołek i usiadła przy ogniu na krześle, które zeszłej nocy zajmowała zlorzeczająca staruszka i na którym – jak przypuszczała – siadywała zapewne Aurelia w tak zimne dni jak ten. Mimo niezbyt wczesnego poranka w domu nie było jasno. Niebo wciąż zasnuwały chmury. „Jak przystało na dzień żałoby”. Zaskoczyła ją irracjonalność własnych myśli. Próbowwała przypisać ją brakowi snu i słabej kawie. Nie chciała zużyć całej. Kto wie, ile jeszcze dni będą odcięci przez śnieg. Pociągnęła kolejny łyk i pomyślała z nostalgią już nie o kawach, które pijała w Barcelonie, tylko o tej, którą poczęstował ją Julián Maestre. Czarnej i mocnej. Napój Any miał kolor karalucha.

Don Julián ze swoją dobrze wyposażoną biblioteką powiódł myśli Any ku Beatriz i jej niemal klasztornemu życiu, w którym kuzynce udało się osiągnąć coś w rodzaju niezależności od świata. Od świata, diabła i pokus cielesnych. Uśmiechnęła się mimowolnie. Beatriz, gdyby dostała wystarczająco dużo książek, mogłaby mieszkać nawet w tej wiosce. Ana nie, zwiędłaby już po kilku miesiącach.

Ciekawe, czy kuzynka za nią tęskni. Czy ktoś w ogóle za nią tęskni, podczas gdy ona tkwi tutaj, zamknięta we wsi, w gospodzie będącej całym uniwersum Aurelii.

Przebiegła myślami dom, aż dotarła do innego ulubionego miejsca gospodyni, pokoju z balkonem. Siedem lub osiem kroków do schodów; dziesięć stopni, pięć kroków do pokoiku. Oto był cały świat Aurelii. W tej chwili również świat Any, jeśli śnieg nie stopnieje i nie będzie się mogła stąd wyrwać – raz na zawsze opuścić tę wieś i jej małe święte, tak naprawdę nieświęte. A teraz Eugenia nie żyje. Zmarła kolejna dziewczynka, jak córka Aurelii. Nieżyjące dziewczynki...

Klaustrofobia, przed którą Ana broniła się z sukcesem od przyjazdu w te strony, dopadła ją teraz zza pleców, wspięła się po kręgosłupie i złapała za kark. Ściany i sufit gospody zdawały się tego świadome i zaczęły się zbiegać ku sobie. Ana raptownie zerwała się z miejsca. Z filiżanki wyskoczyły przy tym krople cennej kawy i bardzo wolno opadły na płaszcz, spowolnione gęstym, galaretowatym powietrzem, które – jak zauważyła – dostawało się jej do płuc i zamiast dostarczać tlen, zatapiało je. Przebiegła jadalnię z jednego końca na drugi, nie wiedząc, dokąd iść. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć kroków. Nie więcej. Ściana pochylała się nad nią. Ciemne belki sufitowe wykrzywiały się, meble domagały się dla siebie całego tlenu, a dla niej zostawiały tylko zaduch. Atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się dusząca. Ana drżącymi rękami zdjęła płaszcz.

Uciekła w stronę kuchni. Jeden, dwa, trzy kroki i dotarła do przedsionka. Ruchy miała tak szybkie i chaotyczne, że nie zdołała otworzyć drzwi na ulicę. Panika zaczęła się w niej wspinać od żołądka ku gardłu, by je zacisnąć kompletnie i udusić ją. Wyjść, wyjść, wyjść. Ręce, jakby posłuszne dwom różnym wolom, przeszkadzały sobie nawzajem. Wyjść, wyjść, wyjść.

W końcu udało się jej przekręcić gałkę klamki i szarpnięciem otworzyć drzwi. Potężne uderzenie mrozu w twarz przywróciło ją do rzeczywistości.

A także zdumione spojrzenie Aurelii, na którą właśnie wpadła.

– Co się dzieje, Ana? Co pani tu robi w koszuli?

Gospodyni, zakutana w grubą chustę, wydawała się jeszcze drobniejsza niż zwykle. Pod jej zapadniętymi, zaczerwienionymi oczyma rysowały się fioletowe sińce. Zapewne niedawno płakała. Przyszła z płaczem.

– Umyłyśmy i ubrałyśmy małą do trumny – wyjaśniła, prowadząc Anę z powrotem do domu. Spostrzegła, że woda, którą Ana postawiła na ogniu, jest bliska wrzenia.

– Niech pani wraca do pokoju. Zaraz przyniosę wodę.

– Sama to zrobię.

– Nie, mogłaby się pani poparzyć.

Aurelia, mówiąc do niej, nie patrzyła na nią. Ze spuszczoną głową przemierzyła jadalnię, ustawiając na miejscach krzesła. Również te, które stały dobrze. Weszła do kuchni, po czym wyszła ze szmatką i zaczęła energicznie ścierać stoły. Unikała spojrzenia Any, jakby to, co robiła, pochłaniało całą jej uwagę. Ana zastanawiała się, czy to dlatego, że gospodyni słyszała jej ostatnią rozmowę z Miguelem, czy raczej z tego powodu, że po tym, jak pomagała oblec w całun zmarłą, potrzebowała jakiegokolwiek zajęcia.

– Proszę na górę, na górę – ponagliła. – Zaraz tam przyjdę z wodą.

Chciała zostać sama.

Ana wspięła się więc na piętro i poszła do swojego pokoju. Wkrótce potem pojawiła się Aurelia z ciepłą wodą. Znow na nią nie patrzyła – ani gdy weszła, ani kiedy stawiała naczynie koło umywalni, ani przy wychodzeniu. Jej oczy zawsze znajdowały inny punkt, na którym mogły się skupić. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Ana umyła się bez pośpiechu. Dzień i tak będzie długi. Ciepła woda i mydło uwolniły ją od resztek potu, którym się oblała podczas ataku paniki, i sprawiły, że znow czuła się sobą – dziennikarką, która wyruszyła w teren w poszukiwaniu wiadomości i wróci z pustymi rękami, ponieważ tak naprawdę liczy się już nie artykuł, tylko ratowanie dziewczynki, wyrwanie jej stąd, zanim mała umrze z wycieńczenia. W gruncie rzeczy ważne jest również to, by Ana sama wyszła z tej kabaty bez szwanku. Chodzi o to, by uciec, nie tracąc przy tym głowy.

Przez okno wpadł do pokoju promień słońca. Zdumiała się. Gęsta zasłona chmur rozdarła się, ukazując pas błękitnego nieba.

Ana zeszła do kuchni. Aurelia wściekle ucierała kukurydziankę. Napierała na bezwolną masę bardzo mocno, aż Ana odniosła wrażenie, że gospodyni jej nie zauważyła. Myliła się jednak.

– Na pogrzeb będzie pani musiała iść sama. Ja wyjdę wcześniej, żeby pomóc rodzinie.

Ana nie pomyślała o tym dotąd. Wolałaby zostać ukryta w gospodzie.

– Tylko że...

– Tak, tak. Jeśli chce pani uczestniczyć w pogrzebie, nikt pani nie przeszkodzi.

Będzie tam cała wieś.

Niecierpliwość w głosie Aurelii, która przecież nie mogła znać powodu obaw Any, zaczęła je rozwiewać. W końcu w kościele nie może się jej stać nic złego. Również po drodze, mimo że będzie musiała iść sama. Nikt jej nie zrobi krzywdy. Nie przed mszą odprawianą za zmarłych. A chciała pożegnać dziewczynkę.

– Pogrzeb będzie o piątej – poinformowała Aurelia, nie przestając rozcierać kukurydzy.

Po oszołomieniu i ciosie spowodowanym nieoczekiwaną śmiercią, Ana zaczynała przyjmować do wiadomości, że mała nie żyje. Przypomniała sobie swoje spotkania z zezowatą, bystrą dziewczynką, której nienasycona ciekawość i inteligencja skazały ją w tej wsi na przedwczesne zwiędnięcie.

Dzwony kościelne odzywały się żałobnie. Poważne, posępne dźwięki niosły się przez wieś, wnikały do domów i wyciągały z nich czarno ubrane postaci, które następnie szeregami zmierzały na plac kościelny. Gdy Ana wyszła z gospody, śnieg był zdeптany i brudny. Odczekała, aż dzwony ucichną, aby mieć pewność, że po drodze nie natknie się prawie na nikogo.

Z kalenicy najwyższego domu niczym z wieżyczki strażniczej zakrakał kruk, a zaraz potem znów słońce przedarło się przez dziurę w chmurach. Świeciło jednak słabo, nie grzejąc, raczej przydawało blasku leżącemu śniegowi, niż występowało jako jego naturalny wróg. Ana przymknęła oczy, nieprzyzwyczajone do takiej ilości światła. Niedaleko od niej otworzyły się drzwi jednego z domów i wyszła z nich młoda kobieta z około czteroletnim dzieckiem na ręku. Oboje byli ubrani w całości na czarno. Ana pozdrowiła ją. Kobieta spojrzała w jej stronę i odpowiedziała zawziętym spojrzeniem. Dziecko opierało głowę na ramieniu matki i z zaciśniętymi ustami patrzyło na Anę szeroko otwartymi oczyma. Bało się. Może widoku przyobleczonej w całun Eugonii, a może samej Any.

Kobieta zatrzymała się przed na wpół otwartą bramą niskiego domu, zapukała i natychmiast pojawiła się inna, nieco starsza, też w żałobnym ubraniu. Pocałowały się w policzki. Młodsza szepnęła kilka słów do drugiej i ta rzuciła okiem w kierunku, z którego nadchodziła Ana. Nie odrywając od niej wzroku, odpowiedziała młodszej. Minę miała przy tym pogardliwą. Obie przecząco pokręciły głowami, odwróciły się do Any tyłem i ruszyły w stronę kościoła.

Ana zwolniła kroku, żeby się z nimi nie zrównać. Wkrótce zniknęły za rogiem.

Biel śniegu znów stała się wszechobecna. Ulica, mury ogrodzeniowe, parapety, dachy – białe, białe, białe, białe. Podobnie jak unoszący się z kominów dym, który w ten bezwietrzny dzień piał się ku niebu idealnie pionowo, jakby się uparł dołączyć do chmur i załatać niebieską dziurę, wpuszczającą na ziemię promienie słońca.

Nagle na białej powierzchni pojawiła się inna czarna kreska – boczną uliczką zbliżała się dziewięcio- czy dziesięcioletnia dziewczynka. Zajęta była swoimi sprawami, mówiła do szmacianej lalki, którą trzymała za ręce, jakby się bawiły w kółko. Mała

wzdrygnęła się na widok Any i przytuliła lalkę, a jednocześnie omiotła spojrzeniem ulicę, jakby szukała pomocy.

Anę zdziwiło, że spotyka na ulicy samotną dziewczynkę po tym, co się niedawno zdarzyło.

– Jaka ładna! – powiedziała o szmaciance, chociaż widziała tylko jej rozczochrane wełniane włosy i niezbyt zgrabnie przyszyte nogi.

Mała kiwnęła głową.

– To twoja?

– Nie – odpowiedziała z żalem. – Pożyczyłam ją od Eugenii. Idę oddać. To ona ją zrobiła.

Pokazała zabawkę Anie. Lalka została uszyta z materiału, który kiedyś zapewne był biały, może ze starego prześcieradła. Oczy zrobiono z czarnych guzików, a usta i nos wyszyto czarną wełnianą włóczką – tą samą, z której doczepiono włosy. Lalka uśmiechała się trochę krzywo. Dziewczynka, pokazując ją, zdobyła się na podobny uśmiech i Ana zrozumiała, ile ją kosztuje rozstanie z zabawką.

– Dlaczego chcesz ją oddać?

– Nie wiem. Może ona będzie jej potrzebować.

– Nie. Myślę, że Eugenia wolałaby, żebyś ją zatrzymała. Jako pamiątkę.

Dziewczynka objęła mocno szmaciankę i spojrzała na Anę z wdzięcznością.

– W takim razie zaniosę ją do domu. I dam jej na imię Eugenia.

Mała odwróciła się i oddaliła.

– Zrobię ci ciepłej zupki, a potem spać, lulu.

Mówiła do lalki. Ana odprowadzała dziewczynkę wzrokiem, pogrążona w rozmyślaniach, które napawały ją wielkim smutkiem. To dziecko jest zaledwie kilka lat młodsze od Eugenii.

Odwróciła się nagle, słysząc za plecami czyjś chichot.

Zza rogu wychylała się okrągła, jasna głowa Mauricia. Oczy wyglądały jak dwie szparki nad uśmiechniętymi policzkami. Chłopak zaraz się schował, gdy go zauważyła, ale zdradzał go śmiech, którego nie umiał powstrzymać.

Dźwięk ten towarzyszył jej jeszcze przez kilka metrów. Nie odwróciła się już. Nie chciała, by sobie uświadomił, że ją wystraszył. Zmiany natężenia śmiechu podpowiedziały jej, że Mauricio to wystawia głowę, to ją cofa, ale nie rusza się z miejsca.

Jaka ładna ta pani z Barcelony! O czym rozmawiała z Agustiną? Ona jest taka mała. I głupia. Wszystkie małe dziewczynki są głupie. „To dlatego, że nie nadszedł jeszcze ich czas” – mówi moja mama. Rzucają we mnie kamieniami tylko po to, żeby się pośmiać. Ale gdy była przy tym Eugenia, to nie. Wtedy zostawiały mnie w spokoju. Dawały spokój.

Teraz Eugenia też jest już aniołkiem. Pili będzie zadowolona. Na pewno się zaprzyjaźnią. Mam nadzieję, że się nie zrobi zazdrosna, bo Eugenia wygląda bardzo ładnie w białej sukience, z welonem i zamkniętymi oczyma. Don Benito dał mi kuksańca w głowę, bo go zapytałem, czy Isabelita wyleczyła ją, żeby nie poszła z zezem do nieba. Oberwałem jego pierścieniem i w ogóle. Na szczęście kiedy Isabelita umrze i pójdzie do nieba, będzie się za niego modliła, bo jest dla mnie niedobry. Don Julián mówi, że jest zły, ponieważ mnie bije, że wszyscy, którzy mnie biją, są źli. Chociaż on też mnie raz uderzył, ale nie ze złości. Zasłużyłem wtedy. Nie wolno zaglądać dziewczynkom pod spódnice. Tylko że chciałem wiedzieć, jakie tam są.

– Jakie mają być? Jak owce i krowy – powiedział.

A ja mu na to, że niemożliwe, bo ani krowy, ani owce nie chodzą na dwóch nogach. I nie zbił mnie, chociaż już nastawiłem kark do trzepnięcia. Nie. Zaśmiał się. W dodatku dał mi pieniędzy. Eugenia powiedziała, żebym go schował na ten czas, kiedy pojedziemy do miasta. Chciała się wynieść do miasta i obiecała, że zabierze mnie z sobą. Teraz będę musiał pojechać sam. Ale nie wiem, czy mi wystarczy pieniędzy. Eugenia umiała liczyć, ale teraz poszła prosto do nieba. Bo jest aniołkiem w białej sukni. Włożyli jej do trumny kilka chusteczek z krwią Isabelity. Żeby tam wiedzieli, od kogo przybywa, tak powiedział don Benito. Spytałem Isabelitę, czy muszę czekać, aż umrze, zanim mnie uzdrowi, a ona wybuchnęła płaczem. Powiedziała, że jest głodna, chociaż codziennie przynoszę jej coś do jedzenia. Powiedziałem jej też, że się nie śpieszy, choć to kłamstwo. Mam już dość tego, że jestem głupi, a bez Eugenii, która wszystko mi wyjaśniała, nie chcę tu dłużej mieszkać. Pani z Barcelony umie liczyć. Pokażę jej, ile mam pieniędzy, i zabierze mnie z sobą do miasta.

Ana dostrzegła jeszcze jedną starszą parę, która przekraczała próg kościoła, ale za nią nie przybył już nikt więcej. Weszła i stanęła pod ścianą z tyłu, w półmroku. Nikt z zebranych nie zauważył jej obecności.

Trumna Eugeniei znajdowała się w nawie głównej, przed ołtarzem. Zostawiono ją otwartą. Skrzynia była biała, podobnie jak okrywający ją materiał, jak czepek na głowie dziewczynki, jak jej twarz, jak splecione ręce obwiązane czarnym różańcem, którego paciorki z daleka wyglądały jak mrówki. W prawej dłoni Eugenia trzymała białą chusteczkę. Dokoła rozmieszczono sztuczne kwiaty z tkanin i duże świece, których niespokojne płomienie sprawiały wrażenie, że zmarła oddycha.

Ana zmusiła się, by oderwać wzrok od jej ciała, i powiodła spojrzeniem po ławkach pełnych wiernych. Kobiety, mężczyźni, staruszkowie, dzieci. Była tu cała wieś. Z przodu zajmował swój klęcznik Julián Maestre, ubrany w przepisową żałobę. Popatrzyła tam, gdzie powinno stać krzesło Isabelity, chyba jedynej nieobecnej. Jej rodzice byli na swoich miejscach. Matka siedziała skulona, jakby starała się uniknąć spojrzeń pozostałych parafian. Dlaczego nie przyszli z córką? Gdzie jest nasza święta? Ojca było widać w pierwszej ławce mężczyzn, między alkaadem a sierżantem Gwardii Cywilnej. Otoczony przez tych dwóch przedstawicieli władzy, przypominał aresztanta, który zaraz ma złożyć zeznania przed sędzią.

Podczas gdy w ławkach kobiet czarne woalki zlewały się z sobą, nie pozwalając rozróżnić osób, mężczyzn łatwiej było rozpoznać, ponieważ mieli odkryte głowy. Dlatego Ana zauważyła jedną nieobecność – Miguel nie uczestniczył w pogrzebie. Tak było lepiej. Sam jego widok mógłby spowodować zamieszki. Nauczyciel miał wiele powodów, żeby zostać w domu, z daleka od ludzi, i nie pokazywać się na oczach największym fanatykom.

Również w żadnym z rzędów nie dostrzegła jasnej głowy Mauricia. Zastanawiała się, czy może to mieć coś wspólnego z Isabelitą. Poszukała wzrokiem Aurelii i zobaczyła jej szczupłą sylwetkę w pierwszej ławce, obok matki Eugeniei i matki Isabelity. Ławka dla matek zmarłych dziewczynek i małych świętych.

Przebiegła spojrzeniem nawę, rozmyślając o tym, kto z obecnych wie, co się wydarzyło, kto jest częścią spisku i zna sekret, którego zachowanie wymagało poświęcenia życia dziewczynki.

Wszedł don Benito i ludzie powstawali. Księdzu towarzyszyli dwaj ministranci – dwóch chłopców w wieku zbliżonym do wieku zmarłej. Jeden patrzył na trumnę z przestraczem, drugi z zaciekawieniem.

Ana oparła się o ścianę. Twarz niemal całkowicie ukryła pod woalką, na dłonie naciągnęła rękawy, aby nic nie zdradzało jej obecności. Ze swojej mrocznej kryjówki patrzyła, jak wierni się żegnają. Następnie uklękli z szelestem ubrań, a ich ruch zachybotał płomieniami świec. Nowe cienie sprawiły, że na twarzy zmarłej zarysował się gniew. Trumna zdawała się wyniesiona ponad klęczących parafian. W każdym słowie modlącego się przed ołtarzem don Benita brzmiała uroczysta powaga.

– *Requiem æternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis.*

Jego głęboki głos i wyraźna dykcja nadawały rytualnym modlitwom głębszy sens.

– *Te decet hymnus Deus, in Sion, et tibi reddetur votum in Ierusalem. Exaudi orationem...*

Wtem drzwi się otworzyły z hałasem i wszedł Mauricio.

Proboszcz przerwał swój introit. Prawie natychmiast podjął śpiew z powrotem, ale głos drżał mu przy tym nieco:

– *...orationem meam; ad te omnis caro veniet.*

Tymczasem w ostatniej ławce podniósł się jakiś mężczyzna i wziął Mauricia za ramię, by z nim poszedł. Chłopak pozwolił się poprowadzić. Łkał głośno i ani groźne gesty, ani pełne przygany sykanie nie były w stanie go uciszyć. Wręcz przeciwnie – gdy don Benito podniósł głos, by wszyscy go słyszeli, Mauricio zaczął krzyczeć i mocować się z tamtym mężczyzną, ponieważ chciał się dostać do trumny.

– Eugenia, Eugenia, biedusieeeeeńka!

Proboszcz przerwał modły. Krzyki i tupanie Mauricia wzmogły się. Jego matka wstała z ławki i podeszła, żeby go uspokoić, ale chłopak wciąż wykrzykiwał imię zmarłej. Ojciec podniósł na niego rękę, lecz nie mógł uderzyć. Znajdowali się w kościele. Mauricio jednak rozżalił się głośno, jakby został pobity. Jego lament przerodził się w nieustający wrzask dobywający się z głębi płuc, z otwartymi szeroko, szczerbatymi ustami. Wierni oglądali się na niego, przerażeni rozgrywającą się sceną, aż ponad krzyk i wrzawę wybił się jeden głos:

– Cisza!

To był Julián Maestre. Wstał i pewnym krokiem szedł ku szamoczącej się grupce. Mężczyźni wypuścili Mauricia, jego matka też odstąpiła na bok. On wrzeszczał nadal, aż don Julián zrównał się z nim, położył mu dłoń na ramieniu, popatrzył mu poważnie w oczy i rzekł:

– Cicho.

Chłopak odparł:

– Eugenia. Biedusieeeeeńka.

– Powiedziałem: cicho.

Wówczas z pierwszej ławki po stronie kobiet odezwał się inny głos:

– Cicho! Cicho! Nie wydaje się wam, że wystarczy już tego milczenia? Nie macie dość?

To mówiła Aurelia.

– Aurelio, na Boga, zamilcz – zwróciła się do niej sąsiadka z ławki. Na jej twarzy malowało się najwyższe zaniepokojenie.

– Mam dość siedzenia cicho. Mam dość tego całego milczenia.

Kobiety dookoła niej ciągnęły ją za ubrania, za ręce, żeby się uciszyła.

Julián Maestre spojrział na nią, po czym skierował się do proboszcza, który pobladył, wystraszony, zdawał się pozbawiony swojego daru wymowy.

– Don Benito, proszę przywrócić porządek w swym domu. Czy może mam księdzu pomóc? – dodał prowokująco, wracając już do swojego klęcznika.

Duszpasterz, otrząsnąwszy się z odrętwienia, podszedł do Aurelii i zdołał ją przekonać, by usiadła z powrotem. Ana nie dosłyszała jego słów, ponieważ przy drzwiach dwóch mężczyzn zmagало się z Mauriciem, by go wydostać z kościoła. Opierał się. Jeden

z tamtych, jego ojciec, wycedził do niego przez zęby:

– Możesz zostać tylko pod tym warunkiem, że będziesz cicho. Zamkniesz się?

– Taaak, taaak.

– Odezdziesz się i wywlokę cię stąd, a potem wybiję z ciebie duszę. Rozumiesz?

– Ciiicho, ciiicho – potwierdził chłopak.

Kilka minut później głos don Benita znów płynął do wiernych w uroczystej ciszy:

– *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis.*

Ana nie czekała do końca ceremonii pogrzebowej. Wyszła nieco wcześniej i żwawym krokiem ruszyła z powrotem do gospody. Strach przed ludźmi, którego nie czuła, idąc do kościoła, teraz dopadł ją, gdy przemierzała opustoszałe uliczki. Dziura w chmurach, przez którą przedtem wyglądało słońce, powiększyła się; jasność sprawiała, że ulice były lepiej widoczne i na pozór szersze, wystawione na zawzięte spojrzenia. Ana przyśpieszyła kroku.

W gospodzie powitało ją przyjazne ciepło, ale nie dała się zwieść. Ciepło nigdy jeszcze nikogo nie obroniło. Zamknęła drzwi wejściowe na klucz. Przeszła przez jadalnię do kuchni i to samo zrobiła z tylnym wejściem. Kiedy wróci Aurelia i okaże się, że nie ma klucza, Ana jej otworzy. Nastawiła wodę na grzanie, znalazła młynek i przygotowała sobie słabą kawę. Została już tylko garstka ziaren. Wypiła na stojąco w kuchni, nie odczuwając przy tym ani ulgi, ani przyjemności.

Potem udała się do swojego pokoju. Podczas gdy się przebierała, zdawało się jej, że słyszy dwa albo trzy głucho uderzenia, zbyt mocne, by można je było wziąć za pukanie do drzwi. Zastygła w ciszy, wstrzymując oddech, lecz dźwięk się nie powtórzył. Ubrała się do końca i wyszła. Od pokoju z balkonem dzieliło ją kilka kroków. Przebyła je biegiem, popędzana tym samym dziecięcym strachem, który dawniej zmuszał ją do szybkiego chodzenia dużymi krokami przez ciemne korytarze rodzinnego mieszkania – zawsze się bała, że z któregoś pokoju nagle ktoś albo coś wyjdzie lub też zaskoczy ją od tyłu, kładąc jej zimną dłoń na ramieniu.

Weszła do pokoiku i zamknęła za sobą drzwi. Nie usiadła przy grzewczym stoliku, tylko owinęła sobie nogi kocem i przycupnęła blisko balkonu, by widzieć wracającą właścicielkę gospody.

Próbowała trochę czytać. Szybko zdała sobie jednak sprawę z tego, że tylko wodzi wzrokiem po linijkach, gdy tymczasem w jej umyśle wciąż od nowa pojawia się biała trumna, a nos zamiast zapachu żaru czuje woń kościelnego kadzidła. W jej głowie rozbrzmiewały głosy Mauricia i Aurelii. Czego gospodyni nie chciała więcej przemilczać? Ana nieco wyżej naciągnęła na siebie koc.

Siedziała ze spojrzeniem i umysłem zagubionymi w pustej ulicy.

Nie wiedziała, ile minęło czasu, gdy ujrzała Aurelię zbliżającą się do gospody. Pomachała do niej, ale gospodyni szła zamyślona, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ana wstała z krzesła, by zejść na parter i otworzyć drzwi. W tym momencie dostrzegła, że Aurelia ze zdumioną miną zatrzymała się kilka kroków przed wejściem. Ana zastanowiła się, co gospodyni mogła tam zobaczyć albo o czym mogła sobie przypomnieć. Było to coś bolesnego, sądząc po zmianie wyrazu twarzy. Aurelia, oburzona, zrobiła gest świadczący o rozżłoszczeniu, po czym odwróciła się i odeszła.

Ana zastukała w szybę, ale właścicielka gospody najwyraźniej nie usłyszała.

Ana wyszła z pokoju i zbiegła po schodach. Kiedy otworzyła drzwi, Aurelia zdążyła już zniknąć z pola widzenia. Jako że Ana zeszła w szmacianych pantoflach, nie mogła jej gonić. Spojrzała w prawo i w lewo – ulica była pusta.

Odwróciła się, by wrócić do środka, i wtedy to zobaczyła. Potrzebowała kilka

sekund, żeby się zorientować, co widzi. Pierwsze słowo, jakie nasunęło się jej na myśl, na zawsze skaziło jej wspomnienia z dzieciństwa.

– Treski.

Tak miał na imię pies dziadków, trochę niezdarny kundel, który ku zgrozie babci dziękował Anie za zabawę pełnym oddania lizaniem po rękach. Język Treskiego był długi, różowy i wilgotny jak rękawica do mycia się. Dotyk tego szorstkiego jęzora sprawiał, że chichotała po części z łaskotek, po części zaś z obrzydzenia, a babcię napawał odrazą. Zawsze potem wymagała, by wnuczka umyła ręce mydłem.

Język przybity do drzwi gwoździem też był kiedyś różowy, jak jęzor Treskiego, ale stracił wiele z dawnego koloru. Ana zachwiała się nie przez to, że sprawiał wrażenie, jakby ją chciał polizać po twarzy, tylko dlatego, że zrobiło się jej niedobrze. Przechyliła się w bok, oparła ręką o ścianę i zwymiotowała na usypaną przy drzwiach zaspę. Nie mogła się powstrzymać aż do ostatniej torsji, która wyrzuciła z niej zgromadzoną w żołądku żółć. Zebrała się trochę w sobie i z drzeniem zaczerpnęła mroźnego powietrza. Kiedy poczuła, że odzyskuje władzę w nogach, przykryła wymiociny śniegiem, który nagarnęła stopami, i roztrzęsiona weszła z powrotem do domu.

Jak automat skierowała się ku krzesłu stojącemu najbliżej kominka, usiadła z kolanami podciągniętymi do piersi, objęła sobie mocno nogi i trwała tak, ze wzrokiem utkwionym w dogasającym ogniu. W głowie miała pustkę.

Nie wiedziała, ile czasu przesiedziała w tym odrętwieniu, ale w pewnym momencie zaczęła słyszeć jakiś wewnętrzny głos, który prosił ją raz po raz, by się ocknęła. Początkowo zignorowała go, lecz w końcu posłuchała. Wstała, wzięła przenośną lampę i wyszła na podwórko. Zdażył już zapaść zmierzch. Nadal nie było prądu. Jeszcze na w pół otepiała i drżąca z zimna, wzięła się do pompowania wody. Po kilku ruchach usłyszała, że lodowaty strumień leci do kamiennego zbiornika. Zaczerpnęła powietrza i wsadziła głowę pod pompę. W skórę wbiły się jej tysiące szpilek. Wyjęła głowę i otrząsnęła się kilka razy. Znowu zaczerpnęła powietrza i po raz drugi zanurzyła głowę. Kiedy ją ponownie wydobyła, zaczęła czuć ciepło. Wystarczy. Odgarnęła z twarzy mokre kosmyki włosów i weszła do domu. Wytarła sobie twarz i ręce jednym z szorstkich ręczników, które wcześniej zaoferowała jej Aurelia.

Dopiero teraz mogła zebrać myśli.

Język przybity do drzwi. To były te głuche stuknięcia, które słyszała ze swojego pokoju. Ostrzeżenie aż nadto jasne. „Milcz. Milcz, bo inaczej...” Co jej kazano przemilczeć? Kto chciał ją uciszyć? Odpowiedź na pierwsze pytanie była oczywista – chodziło o fałszywość stygmatów. Ale jak ten, kto przybił język do drzwi, dowiedział się, że Ana poznała sekret? Rozmawiała o tym tylko z Miguelem, a niemożliwe, by on przekazał jej odkrycie komuś innemu. Oznaczałoby to, że Aurelia usłyszała wówczas ich rozmowę i zrozumiała, że cud w Las Torres jest po prostu jednym wielkim kłamstwem. Ale w takim razie słyszała też, jak Miguel prosił, żeby nikomu nie mówiła, by się nie narażała na niebezpieczeństwo. Ana poczuła bolesne ukłucie na myśl o tym, że Aurelia przeciwnie, powiedziała o tym komuś. Mimo że w ostatnich dniach okazywała jej niemal macierzyńskie uczucia, okazało się to powierzchowne, ponieważ Ana nie przestała być kimś obcym, kimś z zewnątrz. A nade wszystko kimś, kto obrabował wieś z wiary

w świętość dziewczynki.

Ponadto Aurelię bardzo dotknęła śmierć Eugeniei. W kościele puściły jej nerwy. Może w tym stanie nadmiernego podekscytowania wymknęło się jej, że dziennikarka z Barcelony nie tylko nie napisze artykułu wychwalającego świętość Isabelity, lecz wręcz przeciwnie – zdemaskuje sprawę stygmatów jako wielkie oszustwo. Mając dość milczenia, wykrzyczała to podczas pogrzebu Eugeniei.

Ana dostrzegła wówczas, że ten psi język nie jest ostrzeżeniem wyłącznie dla niej, ale dla nich dwóch. Zdaje się, że Aurelia nie dochowała tajemnicy i jak to bywa, jedna osoba powiedziała drugiej, druga z kolei... A wśród tych wszystkich ludzi jest ktoś, kto chce, żeby siedziały cicho. Kto? Czyżby alkad, dla którego prawda oznacza, że nie otworzy we wsi baru? Znacznie więcej straciłby jednak don Benito. Właściwie wszystko.

W jakiejś wiejskiej szopie leży martwy pies bez języka.

Postanowiła oderwać różowawy strzęp z drzwi. Znalazła w kuchennej szufladzie zardzewiałe obcęgi i jednym szarpnięciem wyciągnęła gwóźdź. Język upadł na ziemię. Spodziewała się wilgotnego plaśnięcia, ale dźwięk okazał się twardy i suchy. Język był na wpół zamrożony. Chwyciła poszarzały kawałek mięsa obcęgami i trzymając go w wyciągniętej ręce, przeniosła do metalowego kubła, do którego gospodyni wyrzucała zawartość szufelki po zamiataniu. Porządnie zamknęła pokrywę. Przez kilka sekund czuła ulgę. Tylko przez kilka sekund, bo zaraz potem strach zawładnął nią z nową siłą. Sprawdziła, czy dobrze pozamykała wszystkie drzwi. Nie wiedziała, co robić.

Przemknęło jej przez myśl, by poprosić o pomoc Juliána Maestrego. Ludzie go szanują. Gdyby jej dał schronienie w swoim domu, nikt by się nie odważył nic jej zrobić. Ale musiałyby tam dotrzeć. A na zewnątrz czyha ktoś, kto już im groził. Z dziennikarskiego doświadczenia wiedziała aż nadto dobrze, że groźby na ogół zostają spełnione. Że sutener, który groził swoim prostytutkom, że je pobije, zrobił to; że donosiciel ostrzeżony powieszonym kotem został potem znaleziony na plaży uduszony.

Nie chciała wychodzić z gospody, nie chciała przemierzać wsi w zupełnej ciemności, wiedząc, że jest śledzona, że zapewne widzieli jej reakcję na widok psiego języka, że być może przyglądali się temu z satysfakcją.

Znalazła się w pułapce. Znacznie poważniejszej niż Aurelia. Groźba nakazująca milczenie mieszkańcom wsi nie tyczyła się Any. Jeśli uda się jej wydostać z Las Torres, nie będą już mogli nic jej zrobić, nie będzie podlegała naciskom, które zamykają usta miejscowym. Dlatego zrozumiała, że w jej przypadku groźba brzmi zgoła inaczej. Dla Aurelii psi język oznaczał: „Milcz, bo poniesiesz konsekwencje gadania”. Dla Any nie była to prośba o milczenie, lecz zapowiedź, że nie wydobędzie się stąd żywa.

Wyobraziła sobie, że ucieka pieszo, mijając po drodze ciągnące się wzdłuż szosy wąwozy, ścigana przez cień, który tylko czeka na stosowną okazję, żeby ją zepchnąć z urwiska; widziała samą siebie, jak spada, widziała się na dnie przepaści unieruchomioną, czekającą na ratunek, który nie nadejdzie nigdy. Porzuciła swoje posępne proroctwa, kiedy zaczęła się zastanawiać, czy jej ciało również zostanie znalezione nietknięte. Przeciągnęła się, żeby się trochę rozruszać. Nie mogła pozwolić, by strach opanował ją bez reszty. Zapaliła wszystkie lampy i świece, jakie znalazła w gospodzie.

Będzie tutaj siedziała, aż przyjdzie Aurelia i porozmawia z nią. Dlaczego gospodyni zawróciła na widok przybitego do drzwi języka? Były tylko dwie możliwości: wiedziała, czyje to dzieło, i zdecydowała się stawić temu komuś czoło albo poszła po pomoc. Czemu tak długo to trwa?

Ana postanowiła czekać.

Jak zimno jest tej nocy! Całe szczęście, że można się schować w niszy. I że przyniosłem koc. Inaczej mógłbym zamarznąć jak Eugenia. Nawet w środku niszy zrobił się lód. Takie małe igielki. Może powinienem przenieść się wyżej, do innej niszy, nie na poziomie ziemi. Ale tamta jest za daleko od Eugonii.

– Będę was odwiedzał codziennie. Jaka szkoda, że nie położyli cię bliżej Pili! Gdybym mógł, zostałbym z wami na zawsze.

Mama powiedziała, że nie chce mnie nawet widzieć. Jest bardzo zła. A ojciec chce mnie zbić za to, że płakałem w kościele na pogrzebie. Ale ja tylko płakałem, inni krzyczeli. A w kościele się nie krzyczy. To grzech. Płakać można. Zwłaszcza na pogrzebach. Ja nie krzyczałem, tylko mocno płakałem. Ale kogo chcą zbić? Mnie. Dlatego poszedłem sobie z domu tej nocy. Ojciec czeka na mnie z pasem. A mama dziś mnie nie kocha. Wy mnie kochacie, ale nie żyjecie.

– Zostałbym z wami na zawsze, ale nie nieżywy. Eugenia, jesteś aniołkiem? Czy normalną nieboszczką? Możemy wypróbować coś łatwego. Naprawisz mi rękę? Liczę do trzech. Raz, dwa, trzy. Już!

Nic się nie dzieje.

– Spróbujemy jeszcze raz? Raz, dwa, trzy. Już!

Też nic.

Może Eugenia jeszcze nie doszła do nieba. Ale don Benito mówi, że idzie się tam od razu. A jeżeli jest w czyścicu? Bo przecież dużo czytała i chciała się wynieść ze wsi.

– Eugenia, jesteś w czyścicu? Strasznie tam? Don Benito mówi, że za każde odmówione Zdrowaś Mario siedzi się tam rok krócej. A jeżeli masz do odsiedzenia tysiąc lat? Albo milion? Będę się musiał dużo modlić.

Dobra, zacznę później, bo chyba ktoś tu idzie. Może to ten tchórz grabarz, idzie, żeby sprawdzić, czy dobrze zamknął niszę. Tchórz, cykor, strachajło. Lepiej schowam się dobrze w środku, nie chcę, żeby mnie widział. Nie. To ciocia Aurelia. Ale dziś nie jest wtorek, a ona robi to we wtorki, odwiedza Pili. Przychodzi też do ojca Pili, wujka Luisa, który jest pochowany tam, gdzie ci, co poszli do piekła. Biedna Pili, w niebie bez taty. Stała przed twoją niszą, widzę jej nogi. Płacze. Mam nadzieję, że nie będzie dużo płakała, bo jeśli nie, też się rozplacę i znajdzie mnie tu. Zasłonię uszy. Dlaczego nie naprawiłaś mi ręki? Mogę sobie dobrze zasłonić tylko jedno ucho. Nic to nie da.

Lepiej już zacznę się modlić. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą...

Obudził ją jakiś głos.

Wstrzymała oddech i nastawiła uszu. Męski głos. Ktoś jest w domu. Blisko.

Jej pierwszym odruchem była ucieczka, dlatego nie zadbała o to, by nie hałasować, gdy zerwała się z łóżka i podchodziła do drzwi sypialni. Zatrzymała się przy nich i przyłożyła ucho do drewna. Męski głos zdawał się dobiegać z pokoiku z balkonem. Jak intruz dostał się do domu? Przecież dobrze zamknęła wszystkie drzwi. Poza tym w głównym wejściu zostawiła klucz w dziurce – ze strachu, że ktoś mający drugi klucz mógłby wejść podczas jej snu. A Aurelia? Zapewne zawołałaby albo zapukała, a Ana w swym stanie podenerwowania na pewno by się obudziła, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

Położyła się do łóżka o trzeciej nad ranem, po kilku godzinach przysypiania na siedząco w oczekiwaniu na powrót gospodyni. Sypialnia tonęła w ciemności, bo Ana nie znalazła zapalek, by móc zapalić świeczkę. Podbiegła do okna i próbowała otworzyć okiennice. Musiała się z nimi mocować, ponieważ mróz i wilgoć sprawiły, że drewniane skrzydła przymarzły do framug. Obejrzała się za siebie, spodziewając się, że zobaczy osobę, której głos wyraźnie słyszała, mimo że szarpała się z okiennicami i przeklinała pod nosem.

Wreszcie udało się jej otworzyć i do pokoju wpadło nieco blasku księżyca.

Spocona z wysiłku i strachu, czekała spokojnie przy oknie, szukając wzrokiem czegoś, czym mogłaby się obronić. Głos znowu zabrzmiał z tego samego miejsca, w którym namierzyła go na początku, nie przemieścił się w jej stronę. Przypomniała sobie, że ma w kosmetyczce nożyczki. Wprawdzie małe, ale każde szpiczaste narzędzie może się okazać śmiertcionośną bronią, jeżeli trzymająca je osoba jest wystarczająco wystraszona. Ta myśl dodała jej odwagi, żeby otworzyć drzwi. Nie pomyliła się – w pokoju z balkonem był jakiś mężczyzna. Jak wszedł do zamkniętego domu? Może przez cały czas czaił się tu w ukryciu, czekając, aż ona poczuje się pewnie, aż zaśnie. A jeśli to Aurelia pozwoliła mu wejść i psi język był dla niej sygnałem, żeby sobie poszła? Dlatego nie wróciła jeszcze do domu.

Żeby dotrzeć do schodów, Ana musiała przejść obok drzwi tamtego pokoju. Były niedomknięte, wyraźnie widziała jasną kilkucentymetrową szparę pomiędzy skrzydłem a futryną. Wszystko to mogło być pułapką. Nie, niemożliwe, roiły się jej bzdury. Ale z drugiej strony czy nieobecność gospodyni nie wskazuje na jej winę? Poprzedniego dnia zostawiła Anę samą w domu, by znalazła wiadomość w postaci psiego języka. Ana zacisnęła nożyczki w dłoni z taką siłą, że zbielała jej pięść, i ruszyła w stronę dźwięku. Znowu zostawiono ją samą, żeby się wypełniła groźba. Lecz skoro tak, nie rozumiała, czemu tamta osoba ujawniła się, jeśli ją chciała zwabić w pułapkę.

Stąpienie jej bosych stóp wydawało się hałaśliwe, gdy przesuwiała się ze wzrokiem wbitym w drzwi, bojąc się, że w każdej chwili pojawi się w nich ciemna sylwetka intruza. Po każdym kroku nasłuchiwała głosu mężczyzny i zaczynała się zastanawiać, do kogo on mówi. Może to tylko kolejna przestroga, by ją wystarczająco nastraszyć. Znowu musiała sobie przypomnieć, że na nic się nie zda straszenie jej we wsi. Przybyła tu z zewnątrz i w pewnym momencie odjedzie. Nie jest tu uwiązana jak rdzenni mieszkańcy. Na niej

nie można wymóc milczenia inaczej, jak uciszając ją na zawsze.

Głos wciąż się odzywał, obojętny na jej strach, a może z radością wyczekujący konfrontacji.

Ana uniosła w prawej ręce nożyczki, a lewą wyciągnęła ku klamce. Oddech miała tak przyspieszony, że mgiełka przesłaniała jej widok, a szum pompowanej w panice krwi zagłuszał nawet to, co mówił mężczyzna. Oślepiąca i ogłuszająca pchnęła drzwi i weszła z nożyczkami gotowymi do uderzenia.

Pomieszczenie było puste.

Rozejrzała się dookoła. Nikogo.

Głos dochodził z mebla, z radia, które nie zostało wyłączone, kiedy odcięto prąd i ucichło. Spiker znajdował się przed mikrofonem w studiu nadawczym w Madrycie i zapewne nie miał pojęcia, że gdzieś w wiosce w comarce Maestrazgo jakaś kobieta upuściła na podłogę nożyczki i rozplakała się z ulgą.

Resztę nocy spędziła, drzemiąc na krześle koło balkonu. Był to przerywany sen, budziła się z niego kilkakrotnie. Za każdym razem szukała wzrokiem nożyczek, które spoczywały w zasięgu ręki na kocu. Nie odważyła się zejść do kuchni, żeby wziąć któryś z ostrych noży trzymany przez Aurelię w szufladzie. Nie ośmieliła się nawet wrócić do swego pokoju. Próbowwała dodać sobie otuchy, powtarzając to, czym czasami pocieszała się w trudnych sytuacjach – że pewnego dnia będzie się śmiała ze swych strachów. W tym momencie wystarczało jej, że tym pewnym dniem będzie dzień najbliższy, z którym nastanie świt, a światło wyzwoli ją z zamknięcia.

Krótko po siódmej znowu otworzyła oczy. W końcu robiło się jasno. Śnieg na dachach z szarego stawał się już różowy. Świt bez chmur. Zapowiadał się piękny zimowy dzień, z błękitnym niebem, czystym powietrzem i wyraźnie zarysowanymi konturami. Może zarazem dzień odwilży.

Ana wstała zdrętwiała, bolały ją plecy i miała ściernięte kończyny. Wzięła nożyczki. Światło rozproszyło irracjonalne lęki, ale nie te realne. Do tego potrzeba nieco więcej niż promienie słońca.

Już miała wyjść z pokoju, kiedy zaskoczył ją dźwięk dzwonów. Nie wzywał na mszę. Był nerwowy i nagły. Tym razem dzwony biły na alarm. Otworzyła drzwi od balkonu i wychyliła się. Mężczyzna wystawiający głowę przez okno pobliskiego domu nie zwrócił na nią uwagi, ponieważ wbijał wzrok w miejsce, gdzie znajdowała się dzwonnica. Zaraz potem zniknął i zaledwie po kilku sekundach wyszedł z domu, nakładając sobie берет. Zapukał do drzwi sąsiadów, a kiedy wyszli, ruszyli razem w stronę placu.

Alarmujące dzwonienie nie cichło; wręcz przeciwnie – przybierało na sile, nawołując ludzi do pilnego przyjścia.

Ana – jakby dzwony nie biły na alarm, tylko dodawały jej ducha – usłyszała w sobie głos powtarzający do rytmu: „Wyjdz, wyjdz, wyjdz”. Wyjdzie. Jaki sens miało pozostawanie w ukryciu w gospodzie, jakby była zaszczutym zwierzęciem? Dlaczego jest przekonana, że to bezpieczne miejsce? W rzeczywistości w domu była bardziej bezbronna, z dala od jakichkolwiek świadków. Ci, którzy jej grozili, nie odważą się zrobić jej nic złego w otoczeniu wielu ludzi. Nie wszyscy we wsi uczestniczą w spisku i są wtajemniczeni w sekret małej świętej. Większość wierzy, że dziewczynka naprawdę ma stygmaty. W tym momencie tłum fanatyków ślepo wierzących w cud jawił się Anie jak obronny przypływ, pod którego osłoną mogła się odważyć wyjść na ulicę.

Pobiegła do swojego pokoju, ubrała się szybko i zapominając o niedawnych środkach ostrożności, wyszła z gospody. Z podniesioną głową i spojrzeniem skierowanym do przodu dała się porwać fali śpiesznych kroków i niespokojnych głosów, która narastała, by znaleźć ujście na placu Głównym. Zebrani tam ludzie, przybyli z najbliższych domów, skupiali się w kółku kilka metrów przed wejściem do kościoła. Kolejni podchodzili do nich, łącząc się z nimi w zdumieniu i przerażeniu, ponieważ pośrodku tego ludzkiego pierścienia leżało na śniegu bezwładne ciało Aurelii. Jej szeroko otwarte oczy zdawały się ze zdziwieniem spoglądać na fragment błękitu jaśniejącego tak

daleko od kręgu oszołomionych twarzy otaczających ją sąsiadów. Nad ich głowami wciąż niestrudzenie biły dzwony, jakby się chciały upewnić, że stawia się nawet mieszkańcy najdalszych domów. Ci, którzy dopiero przyszli, wydawali jakieś okrzyki na widok zmarłej, a potem dołączali w ciszy do pozostałych obecnych; stali w bezruchu, przesuając się zaledwie tyle, by inni zmieścili się obok nich.

W tym momencie, patrząc na zmarłą, Ana zdała sobie sprawę, że wiedziała już wcześniej, że przez cały ten czas miała świadomość, iż gospodyni przytrafiło się coś złego, tylko nie chciała tego przyjąć do wiadomości.

Mimo że stała wciśnięta w ludzką masę, że czuła napierające zewsząd ciała, ich ciepło i drżenie, miała wrażenie, że znajduje się gdzieś na zewnątrz, jakby to, co się działo, było odrealnione. Znajdowała się tu, ale nie stanowiła części tej sceny. Zdawało się, że jej umysł, aby jakoś zachować przytomność, chwilowo pozakręcał wszystkie kurki strachu i poprzyżegał nerwy, pozwalając funkcjonować jedynie zdolności do obserwacji. Dlatego choć widok Aurelii na zawsze miał się jej już kojarzyć z bólem, strachem i bezbronnością, zmuszała się do patrzenia. Głos dzwonów powtarzał: „Patrz, patrz, patrz”. Oczy posłusznie wykonywały polecenie.

I widziały Aurelię rozciągniętą na ziemi, widziały jej głowę okrytą czarną chustą, widziały skierowaną ku niebu twarz; widziały ręce złączone na podołku; widziały ubrane na czarno drobne ciało rozciągnięte na śniegu, jakby je już złożono we wnętrzu białej trumny. To wszystko widziały oczy Any, ale jej umysł mówił, że to tylko inscenizacja. Aurelię zamordowano. Zrozumiała ten fakt osoba, która zaalarmowała całą wieś biciem w dzwony; zrozumiał ten, kto poszedł zawiadomić sierżanta, który właśnie przybiegł na plac jedną z bocznych uliczek. Zamordowano ją i zabójca zostawił ciało na widoku jako ostrzeżenie dla całej wsi, podobnie jak psi język. Milczeć. Ten rozkaz już teraz wypełniano, ponieważ nikt z obecnych nie odważył się rzucić choćby przypuszczenia, nie ośmielił się nawet wyrazić słowami tego, co wszyscy widzą.

Funkcjonariusz Gwardii Cywilnej utorował sobie drogę, rozdzielając ludzi ramionami, jakby się przekopywał przez ziemię. Dotarł do ciała Aurelii i w niepotrzebnym odruchu ukląkł, żeby jej sprawdzić puls. Potem podniósł głowę i powiódł wzrokiem po zebranych.

– Co się stało?

Sam zdał sobie sprawę z absurdalności swojego pytania, wstał i musiał wsadzić sobie kciuki za szlufki, żeby odzyskać pewność siebie. Z grupy odezwał się kobiecy głos:

– Nie żyje.

Mówiąca nie odważyła się użyć słowa „zabita”.

Sierżantowi wyrwał się za to automatyczny komentarz:

– Uduszona.

Poleciał ludziom, żeby się odsunęli. Cofnęli się więc o krok. Gwardzista wykorzystał tę przestrzeń, aby obejść ciało z twarzą zwróconą do zebranych i zapytać ich, czy coś widzieli. Leżące na ziemi zwłoki sprawiały jednak, że milczeli, aż w drzwiach kościoła pojawił się don Benito. Przestał ciągnąć za sznur dzwonu, toteż dźwięki powtarzały się coraz wolniej i słabiej.

Dopiero proboszcz wyjaśnił sierżantowi, że nie mogli nic widzieć, ponieważ to on

znalazł ciało Aurelii, on wysłał chłopaka, by ściągnął gwardzistę, i on zaalarmował mieszkańców wsi dzwonieniem.

To również on miał szansę dostrzec ślady człowieka, który przyniósł zwłoki przed kościół, lecz widok zmarłej – ponieważ ksiądz natychmiast uzmysłowił sobie, że Aurelia nie żyje – wzbudził w nim potrzebę zwołania pozostałych parafian.

Jeżeli sierżant miał proboszczowi za złe fakt, że ten zniszczył możliwy trop zabójcy, nie dał tego po sobie poznać. Po wysłuchaniu don Benita pochylił się i podniósł bezwładne ciało. Zdawało się w ogóle mu nie ciążyć, jakby niósł dziecko. Ze zwłokami na rękach ruszył w stronę koszar, a ludzie podążyli za nim. Ana po kilku dniach spędzonych we wsi rozpoznała wiele znajomych twarzy. Byli tutaj mężczyźni noszący krzesło Isabelity, była zakrystianka, która kiedyś powiedziała do Any: „Mała święta jest nasza”, była z rodzicami dziewczynka obejmująca lalkę Eugenii. Nie było natomiast Mauricia. A także, choć to nie wydawało się dziwne, Miguela. Ana rozpoznała kobietę z poczty, właścicielkę sklepu i mężczyznę, który zapewne jest jej mężem, mężczyznę, którego widziała w pierwszym dniu swojego pobytu w Las Torres, jak wyprowadzał z domu muła, oraz kilku z grupy ochotników polujących na partyzantów. Byli nawet rodzice Isabelity – dołączyli do grupy idącej za sierżantem.

Zrozumiała, że nadarza się dla niej sposobność. Musi poszukać Mauricia.

Tam pójdzie ojciec. Nie chcę, żeby mnie zobaczył. Nie spodoba mu się, że się schowałem w spichlerzu. Jak mnie zobaczy, to zbije. Zawsze mnie bije, kiedy nie śpię w domu.

– Co robisz? Kradniesz kury?

– Nie, tato.

– Podglądasz dziewczyny?

– Nie, tato.

Ale i tak nigdy mi nie wierzy. Czasami bije mnie za kury, czasem za dziewczyny. A innym razem – i wtedy bije najmocniej – za to, że mam zielone oczy. Nie rozumiem tego. To nie moja wina. Mama też tak mówi i mówi mu, że to po nim mam te zielone oczy. Wtedy on wścieka się jeszcze bardziej i bije też mamę. Jeśli mała święta naprawi mi rękę, będę mógł mamę obronić. Ale Eugenia zawsze mówiła, że głowa jest ważniejsza. Może Eugenia naprawi mi rękę. Albo ciocia Aurelia, bo ona też nie żyje.

– Ciocia Aurelia, biedusieeeeeńka.

– Mauricio, synu. Jesteś tam?

Ojciec! Usłyszał mnie. Eugenia zawsze mówiła, że nie powinienem krzyczeć, ale mi się wyrywa, kiedy jestem smutny.

– Ciocia Aurelia, biedusieeeeeńka.

– Mauricio, synu. Chodź, idziemy do domu.

– Nie, tato, bo mnie zbijesz.

– Tylko jeżeli zrobiłeś coś złego. Zrobiłeś coś złego?

– Nie, tato.

– Gdzie nocowałeś?

– Ciocia Aurelia, Eugenia, ciocia Aurelia. Biedusieńki!

Wystraszyłem ojca. Popatrzył na mnie z wystraszoną miną.

– Synu, kiedy widziałeś ciocię Aurelię? Chyba nie byłeś...? Synu, złaż z tego strychu, zanim ktoś cię zobaczy. Chodź, matka się o ciebie martwi.

– Naprawdę?

– Jeżeli stamtąd spadniesz, zrobisz sobie krzywdę.

Nie wiem. Patrzy na mnie tak, jakby mnie chciał zbić. Nie wiem. Jeśli mu powiem, że byłem na cmentarzu, to mnie zbije. A jak mu powiem, że widziałem ciocię Aurelię, też zbije.

– Biedusieńka ciocia Aurelia.

– Zejdiesz w końcu czy nie? I przestań wrzeszczeć, bo zwrócisz na siebie uwagę.

– Biedusieńka!

– Złaż, do cholery. Co z ciebie za nasienie!

Nie.

Ktoś nadchodzi. Ojciec chce sobie iść. Nie chce, żeby go zobaczyli. Żeby go zobaczyli ze mną. Dlatego nie pozwala mi pójść z ochotnikami polować na partyzantów. Ani nie chodzi ze mną do kościoła. Bierze mnie tylko w pole. Bo woły mnie słuchają.

– Muuuuuu, muuuuuu, muuuuuu.

– Czekam na ciebie w domu. I lepiej, żebyś się nie spóźnił.

– Muuuuuu, muuuuuu, muuuuuu.

Poszedł sobie.

A teraz idzie pani z Barcelony.

Jaka szkoda! Stąd nie będę jej mógł powąchać.

– Opowiem jej o tym i zabierze mnie do Barcelony.

Nie pomyliła się, widząc tego ranka pierwsze przeblęski dziennego światła: dzień zapowiadał się piękny. Na niebie nie było ani jednej szarej chmury, słońce mogło rozpocząć swą pracę saperską i uwolnić drogi od blokującego przejazd śniegu. Dlaczego nie nastąpiło to choćby dwa dni temu? Wyjechałaby z wioski, opowiedziała szefowi, że odkryła oszustwo, i wcześniej czy później zapomniałaby o tych ludziach.

Przecięta opustoszała plac. Wszyscy udali się do koszar, z wyjątkiem jednego mężczyzny, który płakał w milczeniu nad ciałem zmarłej. Aurelia powiedziała Anie, kim on jest, kiedy pojawił się pewnego ranka, pytając o Mauricia, ponieważ chłopak nie nocował wtedy w domu.

– To mój szwagier. Brat mojego męża.

– Ojciec Mauricia?

– Tak.

– Ma takie same oczy – zauważyła Ana.

– I to mu bardzo przeszkadza – odpowiedziała gospodyni złośliwie i odwróciła się, bo zaraz pożałowała swej uwagi, jak tyle razy przedtem.

Ana podążyła za nim w pewnej odległości. Może ojciec doprowadzi ją do syna.

Usłyszała, że mężczyzna do kogoś mówi, i rozpoznała jego rozmówcę po szorstkim, ochrypłym głosie. Podeszła nieco bliżej i ujrzała jasną głowę Mauricia wychylającą się ze strychu spichlerza.

Ojciec oddalił się. Pewnie usłyszał jej kroki.

Kiedy Mauricio zobaczył, że Ana zatrzymała się przed spichlerzem, posłał jej szeroki uśmiech i – ku jej zdziwieniu – roześmiał się hałaśliwie. Położyła palec na ustach, by go poprosić o ciszę. Chłopak powtórzył jej gest i przestał się śmiać. Potem dał jej znak, żeby zaczekała. Zwiesił się z okienka na jednej ręce. Zwinność, z jaką zeskoczył, świadczyła o tym, że robił to nie pierwszy raz.

Mauricio ruszył w stronę Any, a gdy się znalazł przed nią, zatrzymał się i zmierzył ją wzrokiem z góry na dół; jednocześnie poruszał rękami, naganiając ku sobie powietrze i uważając, żeby jej nie dotknąć. Potem nagle obiegnął ją dookoła i Ana odniosła wrażenie, że chłopak węszy jej zapach. Znów stanął przed nią i posłał jej zachwycony uśmiech.

– Jesteś taka ładna! Zabierzesz mnie z sobą?

– Dokąd?

– Do Barcelony.

– A twoi rodzice?

Zamyślił się z bardzo poważną miną.

– Zabierzemy mamę. Ojca nie. I bracia też niech tu zostaną.

Ana poczuła się nędznie, lecz mimo to odrzekła:

– Dobrze, ale najpierw musisz mi pomóc. Chciałabym się zobaczyć z Isabelitą na osobności. A wiem, że umiesz wejść do jej domu, ponieważ nosisz jej jedzenie.

Jego twarz zasępiła się.

– Tylko że ona przyjmuje w piątki.

– Ale nie będę jej o nic prosić.

– W takim razie czemu chcesz się z nią widzieć?

Odpowiadając, Ana zdała się na instynkt.

– Żeby się z nią zaprzyjaźnić. I żeby zapytać, czy chciałaby z nami pojechać do Barcelony.

Mauricio wybuchnął śmiechem. Zaczął się uderzać po boku zdeformowaną ręką, jakby nie znajdował innego sposobu na wyładowanie tego napadu radości.

– Wiesz, jak tam wejść, tak?

Wydatna dolna szczęka i szczerbate usta podkreślały jego głupekowaty wyraz twarzy, ale w zielonych oczach mignął przeblysłk inteligencji.

– Tak.

– Jak?

– Trzeba przeskoczyć mur u sąsiadów, potem przejść przez podwórko drugiego sąsiada, a potem przez mur domu Isabelity i wejść przez pralnię.

Trudno go było zrozumieć, ponieważ mówiąc, śmiał się z zadowoleniem.

– No to chodźmy – powiedział w końcu.

Wziął ją swoją zdrową dłonią za rękę i prawie pociągnął w stronę domu małej świętej.

– Czekaj – rzekł. I zostawił Anę przed drzwiami.

Pobiegł na koniec ulicy, po czym zniknął.

Kilka minut później pojawił się uśmiechnięty w progu wejścia.

– Nic nie mówiłem Isabelicie. Żeby miała niespodziankę.

Śmiał się, zakrywając usta dłonią, by go nie było słychać.

Mimo skąpego światła woskowe wota majaczyły w sieni niczym kawałki częściowo ukazujących się duchów. Ana poszła za Mauriciem na górę, schodami prowadzącymi do jadalni. Najwyraźniej matka, zanim wyszła, zdążyła rozpalić ogień. W pokoju panował ten sam ciepły zaduch co podczas pierwszej wizyty Any. Z sypialni Isabelity dobiegał jej głos. Dziewczynka śpiewała piosenkę o potworze:

Potwór brzydal lubi róże,

Takie świeże, ukwiecone,

Pożera je białe,

Wypluwa czerwone.

Chowajcie się, chowajcie, bo ta, która się schowa,

Nie da się potworowi i tylko tak uchowa.

Potwór brzydal mnie nie ruszy,

Nie pożre i nie zje w kaszy,

Mam czerwone ręce

I to go wystraszy.

Mauricio zwrócił się do Any:

– Sama to wymyśliła.

Próbował stłumić śmiech, ale kiedy zasłonił usta, parsknął i narobił hałasu.

Isabelita przestała śpiewać.

– Mama?

– Nie, to ja. I pani.

Chłopak wpadł do jej sypialni. Ana wsunęła się za nim.

Isabelita leżała na łóżku ubrana w szarą flanelową koszulę nocną, wciąż otoczona świecami, wizerunkami świętych i obrazkami, ale wyglądała bardziej na chorą dziewczynkę niż na świętą, która może kogoś uzdrowić. Spojrzała na chłopaka z nadzieją.

– Przyniosłeś coś do jedzenia?

Podał jej kilka pączków.

– Nie masz więcej?

– Nie spałem dziś w domu – odrzekł zmieszany.

Mała zauważyła wówczas Anę.

– Masz coś do jedzenia?

– Nie. Ale jeśli chcesz, poszukam czegoś w kuchni.

– Nie ma po co. Moja mama zamknęła szafki na klucz. Zawsze tak robi, kiedy idzie na mszę albo wychodzi ze sprawunkami, żebym nie wstała i nie zjadła.

– Przykro mi. Jeśli chcesz, wrócę później i przyniosę coś do jedzenia. Tylko najpierw chciałabym z tobą porozmawiać. O twoich stygmatach.

Miała powiedzieć „falszywych stygmatach”, ale powstrzymała się wobec obecności Mauricio. Mogła sobie wyobrazić, że chłopak jest posłańcem dziewczynki, ale niekoniecznie wtajemniczonym. Dlatego poprosiła go:

– Mauricio, Isabelita i ja musimy porozmawiać na osobności. Czy mógłbyś wyjść i poszukać dla niej więcej jedzenia?

Popatrzył na dziewczynkę, a kiedy skinęła potakująco głową, zgodził się iść.

– Przyniosę ciasteczka.

Ana odprowadziła go do drzwi, by się upewnić, że faktycznie wyszedł z domu. Już się kiedyś przekonała, że Mauricio potrafi ukradkiem podsłuchiwać, jeśli zechce. Następnie wróciła do sypialni Isabelity.

– Co się stało? – zapytała dziewczynka. – Mama mi nic nie mówiła. Wyszła szybko, więc pewnie to coś złego, prawda?

– Aurelia... – zaczęła Ana.

I nie musiała kończyć. Isabelita rozplakała się.

– Nie żyje?

– Tak.

Tyle wystarczy, pomyślała Ana. Usiadła na łóżku obok dziewczynki i pogładziła ją po głowie.

– Bardzo źle wyglądasz, Isabelito.

Dziewczynka zamknęła oczy i oparła głowę na dłoni Any, jakby nie chciała przerywać dotykowego kontaktu. Ana głaskała ją więc po lewym ramieniu, mówiąc:

– Biedactwo, biedactwo.

Mała wyjęła ręce, które do tej pory miała schowane pod kołdrą, i pokazała je. Były owinięte bandażami.

– Za mocno mnie uciskają.

Wyciągnęła lewą rękę do Any, żeby jej zdjęła bandaż.

– Ciężko mi to zrobić.

Ana z wielką ostrożnością odwinęła bandaż. Ujrzała dużą czarną dziurę

przechodzącą przez środek dłoni, jak krater ze skrwawionych strupów. Wionęło od niego nieprzyjemnie psującym się ciałem i jakąś substancją chemiczną. Anie wydała się ona znajoma, ale nie zdołała jej zidentyfikować, ponieważ nakładał się na nią odór martwicy, która już wywiązała się w ranie. Jeżeli wkrótce nie zbada jej lekarz, dziewczynka może stracić rękę. Ręce, ponieważ Ana przypuszczała, że prawa dłoń jest w podobnym stanie.

– Mój Boże! Jak ty to sobie zrobiłaś?

– Dziurę nożyczkami. A potem sypię sodę, tę do robienia mydła. Kiedy chcę, żeby krwawiło, znów drapię. Ale już więcej nie mogę – dodała słabym głosem.

– Rozumiem. To musi strasznie boleć!

Zauważyła, że całe ciało dziewczynki stężało.

– Ale na pewno w piekle boli jeszcze bardziej. I nie chcę iść do piekła. Nieczyste kobiety idą do piekła.

Ana nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Masz dopiero trzynaście lat. Dlaczego mówisz, że jesteś nieczysta? Czy coś się zdarzyło?

– Nie. Ale... Kiedy się straci czystość, nikt jej nie może przywrócić. To dlatego, w obronie własnej czystości, umarli święta Eulalia, święta Agnieszka, święta Łucja... To najcenniejsze, co kobieta posiada, nic nie jest więcej warte.

Były to słowa wyuczone na pamięć, wyrecytowane.

– Mama ci to powiedziała? Czy uczy was tego don Benito?

– Don Benito i mama, i kobiety ze wsi. Choć don Benito nie wie, że niektóre z nich są nieczyste. Ale to dlatego, że don Benito nie był tu u nas przedtem. Ale mnie się to nie przydarzy.

Coś Anie nie pasowało w tym, co opowiadała dziewczynka. Wydawało się jej to niemożliwe – tę hipotezę odrzuciła na początku jako nie do pomyślenia – jednak zapytała o to Isabelitę:

– W takim razie stygmaty były twoim pomysłem?

– Nie moim. To wymyśliła Eugenia, była bardzo bystra. Powiedziała mi, że nikt nie będzie mi mógł nic zrobić, jeśli będę święta. Dużo wiedziała o świętych i powiedziała mi, że ludzie bardzo szanują tych, którzy mają stygmaty. Tak szanują, że nie można ich tknąć.

Ana nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Cały ten pomysł wyszedł od Eugonii, jej najlepszej przyjaciółki, która wiedziała wszystko o małej świętej, zgodnie z jej własnymi słowami. Przypuszczenia i teorie Any runęły. Miała tyle nowych wątpliwości, tyle pytań, że nie wiedziała, od czego zacząć. Dziewczynka pokazała jej uwolnione od bandażu dłonie. Znów rozeszła się dziwna woń.

– I Eugenia powiedziała ci też, jak zrobić rany?

Isabelita przytaknęła.

– Tej sztuczki nauczyła cię Eugenia? Skąd ją wzięła?

– Z książek. Zawsze czytała. Wszystko. Wypożyczała od don Miguela książki dla starszych i je też czytała. Nawet książki matematyczne. I wymyślała niezwykle słowa, i powtarzałam je, a don Benito mówił, że mam dar języków. Eugenia bardzo się z tego śmiała. Była najsprytniejsza we wsi. Ale w jednym się pomyliła. Myślała, że skoro jest

zezowata, to nic się jej nie stanie.

Zrobiła przerwę. Była bardzo blada. Mówienie męczyło ją. Zamknęła oczy.

– Czy twoja mama wie? Czy wie, że stygmaty to kłamstwo?

Dziewczynka pokręciła głową, nie odmykając powiek.

Isabelita zdawała się zasypiać. Ana wzięła do ręki jeden ze skrwawionych bandaży. Podobnie jak rana, wydawał woń sody kalcynowanej. Trudno było uwierzyć, że matka małej nie zwróciła uwagi na podstęp, choćby niczego nie podejrzewała. Ale może ślepa wiara zbiegła się u niej z ambicją. Była teraz matką świętej. Ludzie ją szanowali, zajmowała uprzywilejowane miejsce w kościele, dostawała prezenty. Dwóm dziewczynkom sztuczka z czasem wymknęła się spod kontroli.

Ana nie chciała więcej męczyć Isabelity, ale miała jeszcze pytania.

– Czy don Benito wie?

– Nie wiem.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego to zrobiliście?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wciąż miała zamknięte oczy. Mówiła coraz ciszej, jakby przysypiała. Niemniej uwadze Any nie uszedł rozpaczliwy ton Isabelity, gdy się żaliła:

– Już nie chcę więcej. Już nie mogę. Nie wiem, co robić bez Eugeniei. Dlatego też chciałam uciec.

Złapali ją jednak i teraz stała się ich więźniarką. „Mała święta jest nasza”.

– Dlatego tu jestem, Isabelito. Żeby ci pomóc wydostać się stąd.

Otworzyła oczy.

– Jak?

– Najpierw zabiorę cię z domu. Potem ze wsi, żeby cię zbadał lekarz i wyleczył te rany.

Dziewczynka patrzyła z nadzieją i niedowierzaniem. Ana streściła jej plan, który wymyśliła naprędce:

– Słońce wyszło, może więc wkrótce szosa będzie przejezdna. Pomyślałam, że ukryjemy się w domu don Juliána, a gdy tylko się da, wyjedziemy jego samochodem. Jestem pewna, że on nam pomoże.

Isabelita rzuciła jej przerażone spojrzenie.

– Nie bój się. Wszystko pójdzie dobrze. Ale musimy się śpieszyć, musimy wyjść, zanim wróci twoja mama.

Ana usłyszała za swoimi plecami jakiś dźwięk. Pomyślała, że to Mauricio wrócił z czymś do jedzenia. We wzroku dziewczynki przerażenie ustąpiło miejsca panice. Ana odwróciła się.

W progu pokoju stała matka Isabelity, a w jej oczach malowała się nienawiść.

- Co pani tu robi? – powiedziała to z taką złością, że głos jej się rwał.
- Dziewczynka potrzebuje pomocy.
- Wynocha!

Matka Isabelity weszła do sypialni i złapała Anę za ramię. Palce, zakrzywione niczym gotowe do ataku szpony, zdawały się przedzierać przez ubranie i wbijać w ciało. Szarpnęła. Ana wstała i wykorzystała swój wzrost, by się uwolnić od ręki i zmierzyć z kobietą.

- Jak pani śmie?
- Jestem w swoim domu.

Isabelita przykryła się kołdrą po szyję i patrzyła na nie dwie przestraszona. Magdalena znów chciała chwycić Anę, lecz ta uchyliła się i lekko ją odepchnęła.

- Wynocha! Wynocha! – krzyknęła matka.
- Dziewczynka jest bardzo chora.
- Wynocha! Wynocha! Wynocha!

Ana nie dała się zastraszyć zapalczywym wrzaskom.

- Potrzebuje lekarza.
- Wynocha! Wynocha! Wynocha!
- I musi jeść. Pani morzy ją głodem.

Matka przestała krzyczeć, usta zacisnęły się jej tak, że niemal zniknęły, nozdrza poruszały się w rytm przyspieszonego oddechu.

- Moja córka jest święta. Nie potrzebuje ziemskiego pokarmu.

Te słowa w ustach kobiety rozbudziły w Anie podejrzenia.

– Tak pani kazał robić don Benito? Nie dawać dziecku jeść, żeby szybciej poszło do nieba? Właśnie tak?

Isabelita zniknęła pod kołdrą i szlochała tam jak osaczone zwierzątko.

Magdalena z dumą zadarła brodę.

– To wielki przywilej mieć stygmaty, to znak, że jest wybrana, że tam na nią czekają...

Ana nie mogła się powstrzymać.

- Nie musi mi pani opowiadać tych bajek. Wiem wszystko.

Dziewczynka nagle odrzuciła przykrycie. Posłała Anie błagalne spojrzenie, prosząc, by nie mówiła więcej. Szybkim ruchem zerwała sobie część strupów i z ran znowu pociekły strużki krwi.

Ana nie mogła ani nie chciała milczeć.

– No, dalej. Nie myśli pani chyba, że uwierzę, że nigdy nie zauważyła pani woni żrącej sody? Nigdy nie widziała pani, jak mała rozdrapuje sobie rany, by krwawiły? Chce pani, żebym uwierzyła, że nic pani nie podejrzewała?

Magdalena rzuciła się na nią.

- To kłamstwo.

– W takim razie czy jest pani zupełnie ślepa? Naprawdę nie zdawała sobie pani sprawy z tego, że ona robi to sobie sama?

Ana obroniła się przed policzkiem i odparowała następny cios, ale go nie oddała. Kobieta znów próbowała ją uderzyć, lecz Ana złapała ją za nadgarstek. Magdalena zamachnęła się drugą ręką i tę Ana też chwyciła. Zaczęły się mocować w ciasnej przestrzeni pomiędzy łóżkiem a ścianą. Dziewczynka klęczała na posłaniu i powtarzała wśród łez:

– Przestańcie, przestańcie.

Od drzwi odezwał się męski głos:

– Co się tutaj dzieje?

To był ojciec Isabelity.

Ana i Magdalena zaprzestały walki i uwolniły się z uścisku.

– Wyrzuć ją stąd – poleciła matka.

Mężczyzna też wszedł do sypialni. Ana zrobiła uspokajający gest i dała krok w stronę drzwi. Ojciec spoglądał na nią bez wyrazu. Nie wiedział, co się wydarzyło, ale posłuchał żony i wypychał intruza spojrzeniem. Ana zerknęła na jego wielkie dłonie drwała i ryzykując, że zwróci się przeciw niej, powtórzyła:

– Dajcie córce jeść. Nie jest świętą, jest przestraszoną dziewczynką.

Mężczyzna nie podniósł ręki, ale musiał stanąć pomiędzy nimi dwiema, by jego żona nie rzuciła się na Anę.

– Kłamstwo! Bądź przeklęta! Kłamstwo!

Przytrzymując małżonkę, rzekł do Any:

– Proszę, niech pani już idzie.

W jego głosie nie było emocji, tylko znużenie. Zapewne, w przeciwieństwie do żony, podejrzewał farsę. Ale milczał. Matka Isabelity, przeciwnie, coraz głośniejszymi wykrzykiwała złorzeczenia:

– Bądź przeklęta ty i cała twoja rodzina. Przekłęci twoi przodkowie i cały twój ród!

– Milcz, kobieto.

Ana zaczęła schodzić po schodach. W sieni światło dzienne wyraźnie wydobywało z mroku woskowe nogi, które ktoś zostawił świętej jako wotum.

Wychodząc z domu, Ana usłyszała dobiegające z wnętrza nowe krzyki. Matka hałaśliwie wyrzucała córce:

– To kłamstwo? Wszystko to było kłamstwem? Okłamywałaś nas?

Odgłosy zadawanych razów mieszały się z płaczem Isabelity, nawet po napomnieniach ojca:

– Zostaw ją, kobieto. Zostaw dziewczynę w spokoju.

Ana pośpiesznie wyszła. Zamknęła za sobą drzwi, żeby nie słyszeć głosów.

Zastała Mauricio siedzącego na ziemi przed domem. Obejmował sobie nogi rękami, kiwając się w przód i w tył.

– Przyłapali nas, przyłapali – powtarzał.

Zostawiła go tam. Była zbyt zdezorientowana, by się nim teraz zajmować. Wciąż nie mogła zrozumieć tego, co się wydarzyło w domu Isabelity. Nie do końca pojmowała ostatnie słowa Magdaleny, dziwiła ją zwłaszcza gwałtowność, z jaką matka je z siebie wyrzucała, bijąc córkę. Tłukła ją z wściekłością, ze złością wynikającą z urazy. Ten wybuch niepohamowanego gniewu i bólu nie mógł być spowodowany niczym innym jak

odkryciem, że córka ją oszukała. Ana znów zadała sobie pytanie, czy możliwe jest takie zaślepienie, i musiała sobie odpowiedzieć, że owszem, tak, że oczy matki były ślepe, ponieważ tak samo ślepy był umysł, zaciemniony ignorancją, przesądem, biedą. Wszystko to wybujało, pielęgnowane i umacniane sugestywnym słowem don Benita, jego pragnieniem wybicia się, jego rojeniem o wielkości. Czy zauważył, że cud jest fałszywy? Co właściwie proboszcz wie? Może odkrył oszustwo i dlatego przekonał matkę, by nie dawała córce jeść. Artykuł prasowy miał rozślawić dziewczynkę, przywołać do wsi niepowstrzymaną falę wiernych, którzy napływaliby, by ją ujrzyć, i utwierdziliby jej kult. Kościół jest powolny w działaniu. Kiedy ktoś w końcu zechciałby przeprowadzić badania medyczne, dziewczynka już by nie żyła. Choćby nawet przedstawiono dowody naukowe zaprzeczające cudowi, czy stanowiłoby to przeszkodę dla kultu? Czy cuda dokonywane przez znanych świętych były autentyczne?

Skręciła za róg. Mimo przejmującego zimna na ulicy bawiła się dziewczynka. Ta sama, która zatrzymała sobie lalkę Eugonii. Siedziała na stopniu ze szmacianką na kolanach i karmiła ją łyżką, podając śnieg, który miała na wyszczerbionym fajansowym talerzyku.

Widząc Anę, posłała jej promienny uśmiech. Ana odpowiedziała machinalnie i minęła dziewczynkę.

– Musisz zjeść całą zupę, żebyś urosła bardzo duża – mówił beztroski głosik za plecami Any.

Poczuła ukłucie smutku, słysząc tę niewinną zabawę. Wezbrał w niej ból, jakby z jej serca miał się zaraz wylać cały rozdzierający żal spowodowany śmiercią Eugonii i Aurelii oraz stanem biednej Isabelity.

– A kiedy będziesz duża, nie pozwolę, żeby cię skrzywdził potwór – dodała dziewczynka.

To zdanie, wypowiedziane z całą powagą, wstrzymało u Any przyływ przygnębienia. Podeszła do dziewczynki. Mała była tak zaabsorbowana swoją rozmową ze szmacianą lalką, że drgnęła z zaskoczenia, gdy Ana położyła jej dłoń na ramieniu.

– Co powiedziałaś o potworze?

– Nie wolno o nim mówić – odrzekła mała przyciszonym głosem.

– Ale on istnieje, ten potwór?

– Tak.

– Widziałaś go?

– Nie.

– Boisz się?

– Jeszcze jestem bardzo mała – powiedziała tak cicho, że Ana nie była pewna, czy dobrze zrozumiała słowa.

Dziewczynka objęła lalkę i wstała.

– Bardzo mała?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wycofała się do domu, zostawiając talerzyk z niedojedzonym śniegiem.

Potwór.

Ana ruszyła w swoją stronę. Na rogu zerknęła w stronę domu Isabelity. Mauricio

wciąż siedział przed drzwiami. Jego rytmiczne kołysanie przypomniało Anie zwrotkę piosenki o potworze, którą zaśpiewała mała święta. O co chodzi?

Linijki wymyślone przez Isabelitę mówiły o czerwonych rękach, które odstraszą potwora. Pomyślała o tych jej biednych dłoniach, czerwonych od krwi, kiedy dziewczynka rozdrapywała strupy, aby pokazać ludziom krwawiące dziury. Ale rany były czarne.

– Czarne. Czerń – powiedziała Ana na głos.

Czerń. Jakiego koloru była sukienka, w której pochowano córkę Aurelii?

Ana poczuła, że musi pójść do gospody i jeszcze raz obejrzeć zdjęcie.

Wbiegła do gospody. Ani przez myśl jej nie przeszło, że ktoś mógłby tu na nią czyhać. Wszystkie jej lęki zeszyły na drugi plan. Jedyne, czego chciała, to obejrzeć zdjęcie.

Wspięła się na piętro, do pokoju z balkonem. Znalazła fotografię dziewczynki. Pamięć jej nie zawiodła: sukienka była czarna.

Czarna! Dziewczynkę otaczały symbole czystości: białe kwiaty, białe wstążki, diadem z białych kwiatów, wyglądający jak zrobiony na szydełku, a podtrzymujący na głowie kawałek cienkiego białego materiału. Ale sukienka była czarna. Aurelia ubrała swą córkę na czarno. Córkę, która według słów Eugenii, zginęła z ręki potwora.

Eugenię pochowano w białym stroju. Była w tym samym wieku co Pilar. W bieli. „Nietknięta”. Czy nie to powtarzali wszyscy mieszkańcy wsi? Nietknięta, nietknięta. Bo jej nie ruszyły zwierzęta, bo nie tknął jej również potwór. Nietknięta. Dziewica. Czy to właśnie mówiło zdjęcie przedstawiające dziewczynkę w czerni? Że zmarła, nie będąc dziewczyną? A czarna sukienka, w którą ubrała ją matka, mówiła wszystkim: nie, nie jest aniołkiem w niebie. Nie była też małą męczennicą, która zginęła w obronie swej czystości. Ana przypomniała sobie opublikowane w „El Caso” fotografie Josefiny Vilaseki, dziewczynki od stóp do głów ubranej na biało, jak Eugenia. Nietknięta. Potwór jej nie tknął. Pilar zaś – wręcz przeciwnie. Potwór pozbawił ją czystości. Dlaczego matka tak to uwidoczniła, wyszydząc córkę w ludzkich oczach? Nie. To nie tak. Nie takie wspomnienia Aurelia pielęgnowała o swej córce, to nie na nią chciała zwrócić uwagę, lecz na potwora. Czarna sukienka była oskarżeniem wobec całej wsi. Potwór zgwałcił jej córkę. Do tego odnosiła się piosenka śpiewana przez dziewczynki: „Potwór brzydał lubi róże, takie świeże, ukwiecone, pożera je białe, wypłuka czerwone”. Czerwone od krwi po rozdziewiczeniu. Jak to możliwe, że dziewczynki ze wsi ukrywają ten fakt w taki enigmatyczny sposób w przyśpiewce? Może doprowadziły do tego aluzje dorosłych. Tak jak w przypadku madryckiej markizy, która obcięła rękę własnej córce – piosenka zdeformowała brutalność, okrucieństwo rzeczywistości i przekształciła ją w dziecięcą rymowaną, ale istota rzeczy wciąż w niej tkwiła. Śpiewano to dla zabawy. Ana zastanawiała się, czy sens rozumieją wszystkie recytujące dziewczynki. One zapewne nie, ale piosenka roztaczała jakiś przerażający czar, a śmiechy, z którymi rozbiegały się po odśpiewaniu piosenki, były z gatunku tych, z jakimi dzieci próbują przegonić strach przed czymś, co je jednocześnie przyciąga. Jednak dorośli wiedzą, o co chodzi w tych słowach. Teraz Ana zrozumiała reakcję Aurelii, kiedy jedna z dziewczynek nuciła to w gospodzie tamtej nocy, gdy znaleziono ciało Eugenii. Nie tylko gospodyni pojmowała sens. Wszyscy mieli tę świadomość. Wszyscy wiedzieli. Wszyscy wiedzieli, co się przydarzyło jej córce, i wszyscy milczeli.

To dlatego Isabelita zrobiła sobie stygmaty. By potwór jej nie zgwałcił. „Ludzie bardzo szanują tych, którzy mają stygmaty”. Taki był plan Eugenii. Przemieszczenie geniuszu z szaleństwem. Trzynastoletnia dziewczynka wykorzystwała łatwowierność dorosłych spotęgowaną przez żarliwe słowo proboszcza, by pomóc swej przyjaciółce umknąć z metaforycznych szponów potwora. A jej matka była bardziej niż chętna, aby w to uwierzyć, ponieważ stała się matką osoby wybranej. I tak w Las Torres dokonał się

cud. Mała święta utknęła jednak w pułapce między fizycznym bólem, coraz trudniejszym do zniesienia, a strachem przed potępieniem, który również rósł, w miarę jak wieść o jej rzekomej świętości zataczała coraz szersze kręgi. Biedna mała! Jeszcze bardziej Ana żałowała Eugenii, jej błyskotliwego umysłu skazanego na zduszenie wśród modłów i narzuconych nakazów. Eugenii, która popełniła błąd, sądząc, że zez ją wyzwoli. To dlatego zapewne uciekła.

Ale piosenka nie mówi, że potwór zabija. W przypadku Pilar coś musiało pójść nie tak i zabił ją. Potwór pozbawił ją życia.

Potwór. To musi być ktoś ze wsi, ktoś, kto atakuje dziewczynki. I robi to często, skoro stał się żywą legendą. Isabel próbowała przed nim uciec, udając stygmaty. Nie miała pojęcia, do czego z czasem może doprowadzić szalony pomysł Eugenii.

Przed kim chciała się obronić Isabelita? Ana obejrzała drugie zdjęcie Pilar, ale oprócz adresu fotografa z Teruel nie znalazła żadnej wskazówki.

Jeszcze raz przyjrzała się portretowi żywej Pilar, jej przedwcześnie dojrzałej twarzy. O kogo chodzi? Fotografia niczego jej nie mówiła. Jeżeli Aurelia coś wspominała... Ana przypomniała sobie jej krzyki w kościele, jej prowokujące wołanie, że nie chce już więcej milczeć. Kosztowało ją to życie. Ana zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem.

Aurelia nie chciała przerwać milczenia, żeby obwieścić, że stygmaty Isabelity są fałszywe. Chodziło jej o coś innego. Pragnęła wydać potwora. Dlatego ją zabito. Ana przypomniała sobie chwilę, w której gospodyni ujrzała psi język na drzwiach; Aurelia zrozumiała, czego się spodziewać. Ale tym razem nie dała się zastraszyć i za to drogo zapłaciła.

Nie dlatego, że chciała mówić o otaczającym małą świętą spisku, który być może nawet nie istnieje, ale ponieważ groziło to, że powie o gwałtach i śmierci swojej córki. Groziło, że nie będzie więcej milczeć w sprawie potwora. I groźbę tę wykrzyczała przed całą wsią. Nie, śmierć Aurelii nie miała nic wspólnego z fałszywymi stygmatami – nie zabił jej żaden fanatyk religijny, tylko potwór. Psi język był pierwszym ostrzeżeniem. Ale Aurelia najwidoczniej chciała mówić. Dlatego potwór zabił ją i położył przed kościołem.

Ana zatrzymała się na moment. Stała obok drzwi balkonowych. Zaledwie kilka godzin temu dźwięk dzwonów obudził ją w tym samym miejscu.

Dlaczego ciało Aurelii złożono przed kościołem, gdzie zaraz zostało znalezione?

Znowu zaczęła chodzić po pokoju.

Ponieważ właśnie o to chodziło, by ktoś ją natychmiast znalazł, żeby wszyscy ją zobaczyli. To był psi język zaadresowany dla wszystkich mieszkańców wsi. „Patrzcie, co spotyka tych, którzy nie siedzą cicho”. Wyraźny sygnał, zrozumiały nawet dla najprostszych umysłów.

Zdanie zabrzmiało w jej głowie i odniosła wrażenie, że słyszy echo. Ktoś już jej to powiedział: „Proste umysły potrzebują wyraźnych sygnałów”. Przypomniała sobie od razu. Nogi się pod nią ugięły i musiała opaść na krzesło.

Poczuła zawrót głowy na myśl o tym, że prawie zwróciła się o pomoc do osoby, która krzywdzi dziewczynki, o mały włos nie poprosiła jej o samochód, żeby wywieźć ze wsi Isabelitę. Gdzie skończyłaby się dla nich ta podróż? Może na dnie któregoś

z wąwozów po drodze. Przed oczyma stanęło jej przerażone spojrzenie dziewczynki, gdy ona, Ana, wspomniała Juliána Maestrego. Pomysł, że właśnie on miałby je ratować, musiał napęlić Isabelitę zgrozą. Jednak wtedy na scenę nagle wkroczyła matka i przeszkodziła Anie w przemyśleniu powodów reakcji dziewczynki.

Don Julián, kulturalny, dystyngowany czytelnik. Don Julián, wielki wielbiciel oświecenia, z dumą odwołujący się do przewagi rozumu nad zabobonem i do własnej inteligencji. Don Julián, spoglądający z wyższością na mieszkańców wioski. Don Julián, właściciel ziemski. Którego wszyscy podziwiają. Który jednym słowem ucina spory. Który na swój sposób troszczy się o ludzi. Który, jako pan i władca tej miejsciny, przyznał sobie swego rodzaju prawo pierwszej nocy.

Ktoś zapukał do drzwi. Ana wstała i zerknęła przez okno na ulicę. Ujrzała ciemną czuprynę Miguela, pierwszy miły widok tego dnia. Zbiegając po schodach, by mu otworzyć, uświadomiła sobie, jaka jest głodna.

Kilka minut później zauważyła, że nauczyciel jest co najmniej tak samo głodny jak ona, sądząc po szybkości, z jaką otwierał szafki i szuflady w kuchni. Pomyślała, że to pewnie bolesna reakcja po śmierci Aurelii. Sama z kolei ledwie dała radę wynieść ze spiżarni resztki tortilli, którą gospodyni przygotowała w przeddzień swojej śmierci, i chleb, który starannie owinęła w czystą chustkę, oraz pociągnąć za korek, aby wyskoczył z szyjki butelki z winem. Widziała, że powtarza gesty właścicielki gospody, a jednocześnie zamazuje jej ostatnie ślady.

Usiedli przy jednym ze stołów w jadalni i jedli, nie rozmawiając. Również bez słów zgodzili się co do tego, żeby nieco pomilczeć.

Gdy Ana nasyciła głód, poczuła się do rozmowy. Odsunęła nakrycie na bok i opowiedziała Miguelowi o swojej wizycie u Isabel. Słuchał, nie przerywając posiłku, chociaż jadł coraz wolniej i kiwał głową, przytakując przemyśleniom Any. Upiła łyk wina, zanim odważyła się sformułować wniosek, do którego doszła:

- Potwór istnieje, prawda?
- Tak – potwierdził ochryłym głosem.
- I jest nim Julián Maestre.

Znowu przytaknięcie.

Z denerwującym, metodycznym spokojem Miguel odłożył sztucce na stół, przesunął je starannie palcami, aby leżały idealnie równolegle do siebie, przekręcił talerz w jedną stronę, potem w drugą, zajął do szklanki po winie, jakby w niej czegoś szukał, aż w końcu rzekł:

– Sprowadza dziewczynki do siebie. Jego odwieczna służąca, Cándida, wzywa je do domu swojego pana pod pozorem załatwienia jakiegoś sprawunku. Wracają następnego dnia zapłakane i całe posiniaczone.

– A rodzice się z tym godzą?

– Tak. Jedyłą osobą, która nie chciała pozwolić na to, żeby jej córka przez to przeszła, była żona grabarza. Wywiozła ją do rodziny w innej miejscowości. Ale tu we wsi wszyscy w taki czy inny sposób są uzależnieni od don Juliána. Dobrze im płaci za wełnę i mięso. Gdy im brakuje pieniędzy, daje nawet zaliczki. Jak widzisz, jest łaskawym panem, szczodrym i pełnym zrozumienia.

Uśmiechnął się gorzko i znów nalał sobie wina.

– Rodziny, które posyłają mu swoje córki, mogą się nawet cieszyć pewnymi względami. Niektóre wręcz liczą na to i współpracują bardziej niż chętnie.

– Ale dziewczynki płacą najwyższą cenę za te „względy”, jak je nazywasz.

– Zgadza się. Jednak większość rodziców uważa, że muszą to znieść. Tym bardziej, że ich zdaniem – zrobił przerwę, żeby poszukać właściwych słów – akt cielesny i tak nie jest dla kobiet przyjemny. Albo przynajmniej nie powinien taki być. A jeśli chodzi o siniaki, wiadomo powszechnie, że porządne cięgi nikomu jeszcze nie zaszkodziły. Problem w tym, że w przypadku don Juliána zazwyczaj to jest coś więcej niż cięgi.

Znowu napił się wina.

Ana poruszyła się niespokojnie na krześle. Coś z tego, co mówił Miguel, domagało się jej uwagi. Całość była okropna, rodzice, którzy powierzają swe córki feudalnemu panu, a w zamian dostają dobre ceny za wełnę. Obrzydliwa rzeczywistość. Ale nie to zwróciło jej uwagę. Służąca. Służąca, która zawiadamia rodziców, kiedy Maestre żąda przyścia dziewczynki. Przypomniała sobie scenę po mszy: rodzice Eugenii z Cándidą, dziewczynka skamieniała ze strachu. Eugenia była w wieku Isabelity, czyli tym samym co Pilar, gdy zmarła. Nadeszła jej kolej? Zatem służąca umawiała się z rodzicami, że wyślą córkę do domu pana. Co Isabelita powiedziała Anie? Że Eugenia czuła się bezpieczna, ponieważ potwór nie gustuje w zezowatych, ale się pomyliła. Jednak Eugenia nie pogodziła się z losem i postanowiła uciec, powędrować do innej wsi. Dlatego niosła swoje rzeczy w tobołku, kiedy ją znaleziono.

Miguel patrzył na Anę wyczekująco, zreferowała mu więc swoje przypuszczenia.

– To bardzo pasuje do Eugenii.

Uśmiechnął się smutno.

– Nie należała do ludzi, którzy się poddają.

Ana rzekła w zamyśleniu:

– Kto wie, może by się jej udało, gdyby droga nie była odcięta przez zwalone drzewa.

Tak tamtej nocy powiedział sierżant.

– Ale o tym nie mogła wiedzieć, gdy wyruszała. W połowie drogi musiała zdać sobie sprawę z tego, że nie da rady, i zawrócić. Mróz i zasy sprawiły, że nie zdołała wrócić. Naprawdę zamarzła.

Nie zabili jej. Umarła, bo chciała uciec. Zagubione spojrzenie Miguela utknęło w szklance, jakby teraz rozmawiał z winem.

– Odkąd jestem tutaj nauczycielem, były cztery. Widziałem, jak wracały do szkoły. Pierwsza była María, średnia córka piekarzy. Po swoim spotkaniu z don Juliánem siedziała w klasie jak nieobecna i bała się, gdy ją wołałem po imieniu albo kiedy miała podejść. Odesłałem ją do domu trzy czy cztery razy. Ostatnia wróciła z przetrąconym ramieniem i wujek Pedro musiał je nastawić, taki tutejszy weterynarz. Chodziła jeszcze przez rok do szkoły; zazwyczaj nie zostają już dłużej. Teraz jest żoną jednego z miejscowych.

Jego głos był nabrzmiąły współczuciem; współczuciem i gniewem.

– Dlaczego nic nie zrobiłeś?

– Dziewczynki nie chcą mówić. Boją się i wstydzą. A jeśli któraś jest gotowa się poskarżyć, rodzice jej zabraniają.

Napełnił sobie szklankę i wychylił ją jednym haustem.

– W przypadku Pilar przesadził i zabił ją. Czemu nikt na niego nie doniósł? – zapytała Ana.

– Było śledztwo. Przesłano wielu gwardzistów, którzy wypytywali ludzi. Ale jako że nikt nic nie powiedział, a ciało znaleziono w lesie, doszli do wniosku, że zrobił to jakiś włóczęga albo któryś z partyzantów: zgwałcił ją, a potem zabił.

Ana szepnęła:

– Ale Aurelia wiedziała.

– Tak. Musiała wysłać do niego córkę tamtej nocy.

Ana poczuła, że zalewa ją fala współczucia i żalu, gdy sobie wyobraziła wyrzuty, jakie musiały dręczyć Aurelię.

– Luis, jej mąż, nie mógł tego znieść. Trzy miesiące po śmierci córki powiesił się. Aurelia znalazła go na poddaszu. Jeden z gwardzistów powiedział jej, że za niewielkie pieniądze zaświadczy, że to był wypadek, ale się nie zgodziła. Nie chciała tego ukrywać. Pragnęła, żeby wszyscy widzieli jej nieszczęście. A wiele kobiet cierpiało podobnie.

Nalał sobie jeszcze raz, zanim podjął wódek. Szyjka butelki brzęknęła o szklankę.

– Aurelia była silna, twarda. Po śmierci Luisa don Julián zatroszczył się o nią.

Ana spojrzała na niego zdumiona.

– Zatroszczył się?

– Tak się o nim mówi we wsi. Don Julián troszczy się o wszystkich.

– A jak się niby zatroszczył o Aurelię?

– Dał jej pieniądze, żeby otworzyła gospodę. A kiedy miała mało klientów, zawsze coś jej dawał, żeby nie wpadła w kłopoty.

Aurelia dobrze wiedziała, co czeka jej córkę u Juliána Maestrego. A po tym wszystkim okazało się, że jest jeszcze gorzej, niż zmogła przypuszczać. Życie we wsi musiało być dla niej piekłem, tym bardziej że utrzymywała się z rekompensaty, jaką jej wypłacano za córkę. Co za poczucie winy musiała w sobie nosić! Ana zrozumiała, że takie życie było karą, jaką Aurelia wymierzyła sama sobie. Jej mąż popełnił samobójstwo, ponieważ nie mógł znieść tej winy, ona zaś skazała się na życie, na przypominanie sobie dzień po dniu, że córka umarła, na codzienne rozpamiętywanie, że zabójca wciąż żyje wśród nich bezkarny. Co powiedziała, kiedy dostała pierwszą filiżankę kawy? Że na nią nie zasługuje.

Każdy dzień był dla niej częścią kary.

Aż postanowiła powiedzieć prawdę.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Ana zaczęła myśleć na głos:

– Julián Maestre zrozumiał wtedy w kościele, że Aurelia nie będzie dłużej milczeć.

Dlatego ją zabił.

– Tak – odparł krótko Miguel.

Jego powściągliwa odpowiedź była dla Any jak oświecenie – sprawiła, że zaczęła rozumieć pewne rzeczy, i one coraz mniej się jej podobały.

– A ty o tym wiedziałeś?

– Tak. Domyślałem się.

Mówił pewnym głosem, jakby chciał sobie w ten sposób dodać sił, ponieważ miał świadomość, że zaraz zostanie zaatakowany i będzie się musiał bronić.

– I wiedziałeś też, że Julián Maestre gwałci dziewczynki. I że Isabel robi sobie stygmaty, żeby ją zostawił w spokoju.

– Tego nie wiedziałem, tylko podejrzewałem. Eugenia i Isabel nie tylko czytały, lecz także odtwarzały owe historie młodych męczennic i świętych, jak święta Łucja, święta Eulalia, święta Agnieszka i jakie tam jeszcze są w kolejce. Dlatego pomyślałem, że ma to coś z nimi wspólnego.

– Ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– A jak miałem to wyrazić? Musiałbym ci powiedzieć: „Szanowna panno Martí, z tymi stygmatami to kłamstwo, ale mamy we wsi prawdziwego potwora”.

Jego reakcja zdumiała Anę. Odpowiedział wykrętnie, z tanim sarkazmem. Do tej pory nie słyszała u niego takiego tonu. Odrzekła spokojnie:

– Nie o to mi chodzi. Ale przypominam ci, że razem zastanawialiśmy się, jak uratować Isabel. Zostawiłeś mnie z myślą, że don Benito i Magdalena uknuli intrygę, w którą pół wsi jest zamieszane pod hasłem: „Mała święta jest nasza”.

Miguel patrzył na nią z miną kogoś, kto zrobi jeszcze kilka kroków i spadnie w otchłań. Wypił ze szklanki łyk wina, po czym powiedział z naciskiem:

– Ana, chodzi o don Juliána.

– Don Juliána? Wciąż nazywasz go don Juliánem?

– Nie rozumiesz. Byłem taki szczęśliwy, że mogę zrobić coś dla Isabelity i że zrobię to z tobą. Pomyślałem, że w końcu będzie można uratować jedną z tych dziewczynek.

– Wciąż możemy coś zrobić dla Isabelity.

Jeśli Eugenia umarła podczas próby ucieczki, sierżant mówił prawdę, nie próbował ukryć gwałtownej śmierci, a ochotnicy rzeczywiście wyszli tamtej nocy na poszukiwanie partyzantów. Nie znaczyło to wprawdzie, że można gwardziście zaufać, ale przynajmniej nie należy do żadnego spisku, gotowego za wszelką cenę podtrzymać iluzję cudu w Las Torres. Jest obcy we wsi, tak samo jak ona, co oznacza, że może byłby gotów przedsięwziąć jakieś działania przeciw Juliánowi Maestremu. Może nawet pasowałoby mu ściągnięcie pana i władcy z piedestału, dzięki czemu ludzie słuchaliby raczej jego, przedstawiciela władzy. Dlatego Ana zaproponowała Miguelowi:

– Jutro pójdziemy porozmawiać z don Ignaciem. Opowiemy mu wszystko, co wiemy, żeby aresztował Juliána Maestrego za spowodowanie śmierci Aurelii.

– Aresztował don Juliána? Nie robi tego.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że nam nie uwierzy. A gdyby nawet uwierzył, nie odważy się zrobić nic przeciw niemu.

– Zabił Aurelię. Jest mordercą. Tego nie może się wyprzeć.

Miguel pokręcił głową. Ana upierała się:

– Musisz iść ze mną i porozmawiać z tymi dziewczynkami, które molestował. Tylko tak możemy położyć kres temu wszystkiemu. Skończą się gwałty, na które

przyzwolenie daje mu feudalne prawo pierwszej nocy.

– Tylko że ja nie mogę, Ana – odezwał się cichutko.

– Dlaczego?

– Ponieważ w oczach wsi stałbym się donosicielem. Skompromitowałbym ich, bo przez tyle lat oddawali swoje córki do dyspozycji pana.

– Nie masz po co tutaj zostawać.

– Zawdzięczam don Juliánowi posadę nauczyciela. Załatwił mi ją w ramach przysługi dla mojego ojca. Jesteśmy dalekimi krewnymi.

Ana patrzyła na niego zdziwiona.

– Kilka lat temu miałem... pechowe zdarzenie w Walencji. To był wypadek.

Wzrok miał spuszczonego, wbity w stół. Ana czekała więc na ciąg dalszy.

– Wypadek samochodowy. Wypiłem i wypadłem z jezdni, auto przeokoziółkowało kilka razy i uderzyło w drzewo. Prawie nic mi się nie stało, ale moja towarzyszka zmarła dwa dni później w szpitalu.

Wziął butelkę i napełnił sobie szklaneczkę. Pociągnął duży łyk.

– Dziewczyna była bardzo młoda, córka wysokiego rangą wojskowego z Saragossy. Zdaniem jej rodziny nie powinna być wtedy w tym samochodzie, sprzeciwiano się naszemu związkowi. Gdybym miał odrobinę zdrowego rozsądku i odpowiedzialności, nie prowadziłbym samochodu po pijanemu i z taką prędkością.

Znów się napił.

– Mój ojciec musiał użyć wszystkich swoich kontaktów, żeby mnie nie oskarżono o nieumyślne spowodowanie śmierci. Ale ojciec Dolores, tak miała na imię, nie chciał odpuścić, żądał, żeby mnie ukarano. Dlatego mój ojciec uznał, że lepiej będzie, jeśli zniknę ze sceny. Jako że on i don Julián są dalekimi krewnymi, udało się go przekonać, żeby mi powierzył posadę nauczyciela. Rozumiesz teraz moje położenie?

Rozumiała aż za dobrze.

Julián Maestre, troszczący się o wszystkich, ma też pod swoimi skrzydłami wiejskiego nauczyciela. Ale to nie powód, żeby tu zostawać i nic nie robić.

– Nie możesz się pokazywać w świecie, ale czemu nie przeniesiesz się do innej wsi?

– Don Julián na to nie pozwoli.

– Tak szerokie ma wpływy?

– Nie chcę go wystawiać na próbę. Nie widzisz? Zabił Aurelię i zostawił na środku placu, na widoku, jakby była świeżo upolowaną zwierzyną. Nie rozumiesz przesłania? „Patrzcie, jaki jestem wszechmocny. Patrzcie, co spotyka tych, którzy odważą mi się sprzeciwić”.

Ana stwierdziła, że wystawienie ciała Aurelii rzeczywiście odniosło pożądany skutek – zastraszenie.

– I co? Tak po prostu się poddasz? Kto mówi, że nie mamy innej opcji, że nie możemy nic zrobić?

– Ale za kogo ty nas uważasz? Ja jestem nauczycielem, którzy za dużo pije, a ty dziennikarką z zewnątrz. Nie mamy żadnej władzy. W tej wsi dzieje się tylko to, czego sobie życzy don Julián.

– Ponieważ nikt nie ma odwagi zrobić nic innego. Jutro pójdziemy porozmawiać z don Ignaciem. A jeśli nas zignoruje, złożymy doniesienie w Teruel. To zabójstwo. Julián Maestre zagalopował się, przecenił swoje wpływy.

Powiedziała to z przekonaniem, chociaż wiedziała aż za dobrze, że doniesienie nie zawsze skutkuje zatrzymaniem, choćby były dowody i powody, czego nie mieli w tym przypadku. Musieli jednak spróbować.

Miguel pokręcił przecząco głową.

Ana postarała się przemówić mu do rozsądku ostatnim argumentem:

– Potrzebuję twojej pomocy. Jestem tutaj obca, jestem kobietą i jak sam powiedziałaś, sierżant przypuszczalnie mi nie uwierzy. Ale jeżeli pójdziemy we dwoje, moje zeznanie będzie miało większą wagę.

Zrobiła przerwę i dalej mówiła ciszej:

– I potrzebujemy tego, jeśli chcemy sierżanta przekonać. Ryzyko, że natychmiast poinformuje Juliána Maestrego i chcący czy niechcący wyda mnie, jest mniejsze, jeśli ze mną pójdiesz.

Miguel przygarbił się, jego oczy straciły cały blask, zdawały się dwoma brunatnymi kamykami w mętnej kałuży. Nic nie zostało z atrakcyjnego mężczyzny, którego sfotografowała w szkole, z nauczyciela z sympatią mówiącego o uczniach, ze zdecydowanego Miguela, który chciał ratować Isabelitę. Nic.

Nie powiedział: „To niebezpieczne. Nie pójdiesz”. Jego twarz nie okazywała żadnych emocji, jakby rozpacz wymazała je wszystkie. Rzekł tylko:

– Nie mogę.

Nie chciał. Nie chciał jej pomóc i najwyraźniej ogromnie się tego wstydził, ale to nie zmieniało faktu, że ją zostawiał w potrzebie. Podniosła mu podbródek, żeby go zmusić do spojrzenia jej w oczy.

– Rok w rok będziesz musiał znosić, że zabierze ci kolejną uczennicę.

Odsunął twarz szorstkim ruchem.

– Wiem. Ale nie mam odwagi.

Na kilka sekund jego spojrzenie odzyskało niejaką jasność i popatrzył Anie w oczy.

Poruszyła ją rozpacz przebijająca z jego wzroku, lecz z drugiej strony zawstydziły ją jego słabość, apatia, brak wiary we własne siły. On najwyraźniej zdał sobie sprawę z jej odczuć.

– Ana, przykro mi. Wiem, że przedstawiam sobą nędzny widok. Ale właśnie taki jestem. Jestem tchórzem i trafiłem w odpowiednie dla siebie miejsce, do wsi tchórzy. Nie sądzisz? Uwierz mi, kiedy nie jesteś w stanie spojrzeć w lustro bez wstydu, najlepiej siedź tam, gdzie wszyscy mają ten sam problem.

Nalał sobie po raz kolejny i wypił zawartość szklaneczki jednym haustem.

– Za Las Torres.

Butelka była pusta.

Wówczas załamał się i głowa opadła mu na piersi. Ana wstała, wzięła chustę, którą znalazła na krześle, i narzuciła ją sobie na ramiona.

Poszła na górę do swojego pokoju wyczerpana i przygnębiona. Położyła się, rozmyślając o ostatnich słowach Miguela. Sen odegna od niej zmęczenie, ale nie złość.

Obudziła się z pełną udręki wiedzą, że kiedy stąd wyjedzie, ten dom zostanie opuszczony. Podczas gdy się ubierała, przebiegła w myślach jego puste pomieszczenia. Pomyślała o wychłodzonym naczyniu na żar, o wygasłym palenisku, o łóżku Aurelii, które na próżno na nią czekało. O zdjęciach Pilar. I o dwóch garstkach kawy, które ktoś kiedyś znajdzie, gdy wejdzie do domu. Ana nie wypije z Aurelią ostatniej filiżanki wodnistego napoju. Poczwała naglącą potrzebę porozmawiania z sierżantem. Czy będzie miał odwagę przeciwstawić się panu tej wsi, czyli realnej władzy? Czy wręcz przeciwnie? Było to ryzyko, które musiała podjąć.

Mimo że wlokła za sobą ciężar tyłu złych omenów, jak najciszej włożyła ubranie i buty oraz równie cicho – żeby nie budzić Miguela śpiącego na stole, przy którym rozmawiali poprzedniego wieczoru – przemknęła się do przedsionka. Otworzyła drzwi i wyszła.

Już na ulicy wydało się jej, że słyszy za plecami jakiś dźwięk. Zatrzymała się na chwilę. On stał po drugiej stronie drzwi, ale ich nie otwierał. Poczekała jeszcze kilka sekund. Miała wrażenie, że słyszy coś, co mogło być stłumionym szlochem. I tyle. Drzwi się nie odemknęły. Miguel pozwolił, by odeszła. Sama.

Na znak żałoby po śmierci Eugenii i Aurelii dzieciom zabroniono bawić się na ulicy, ale gdy Ana dotarła na plac kościelny, spostrzegła, że przestrzegają zakazu na swój sposób. Grupka trzech dziewczynek i dwóch chłopców bawiła się w berka, biegnąc po śniegu. W milczeniu. Wszyscy zatrzymali się jak wryci, kiedy zauważyli dorosłą, i stojąc twardo w miejscu, wyglądali jak zadyszane drzewka.

– To ta obca – powiedziała dziewczynka będąca berkiem i wykorzystała okazję, żeby złapać chłopca, który nie zareagował na czas.

Ana była obca i nie mogła im nic zrobić, nie mogła ich napomnieć, nie mogła ukarać. Dzieci podjęły więc zabawę bez krzyków, bez słów, bez śmiechów. Słysząc było tylko tupot nóg i głośne oddechy. Jedna z dziewczynek, najmniejsza, zachęcona bezkarnością, jaką zapewniała jej „ta obca”, oderwała się od gry i podążyła za Aną przez ulicę Główną. Przysunęła się do niej bliżej i zaczęła śpiewać na tyle głośno, by Ana ją usłyszała:

– Potwór brzydal lubi róże...

Wysoki, ochrypły głosik zjeżył Anie włoski na całym ciele. Spojrzała na dziewczynkę. Szpiczasty podbródek, za małe oczy, usta i nos – patrzyła na stare dziecko.

– Potwór brzydal lubi róże...

– Cicho bądź, bo powiem twoim rodzicom.

Dziewczynka przestała na chwilę śpiewać, ale zaraz zapewne pomyślała sobie, że ta obca osoba nie wie, gdzie szukać jej rodziców, i znów odezwała się prześmiewczo:

– Pożera je białe, wypłuwa czerwone.

– Cicho, bo powiem księdzu.

Mała zamilkła i zatrzymała się.

– Kapusta! – zawołała z urazą.

Ana spiorunowała ją wściekłym wzrokiem. Dziewczynka ucichła, ale tylko do

momentu, gdy znalazła się w bezpiecznej odległości.

– Kapusta, kapusta!

Ana odwróciła się, żeby na nią spojrzeć. Mała wskazywała na nią wyciągniętą ręką, celując oskarżycielsko palcem niczym pistoletem. Pozostałe dzieci skupiły się wokół najmniejszej koleżanki. Jakby to była nowa zabawa, naśladowały jej gest, a ona krzyczała dalej:

– Kapusta, kapusta!

Ana skręciła za róg. Dzieci umilkły. W ciszy panującej we wsi usłyszała, że podbiegają do narożnika, i przed oczami stanął jej obrazek mrówek atakujących i pożerających pasikonika. Przyśpieszyła kroku. Wbrew sobie nie zapanowała nad impulsem i obejrzała się przez ramię. Dzieci wychylały głowy zza rogu. Jedna ze starszych dziewczynek oznajmiła pozostałym:

– Idzie do domu sierżanta.

– Idzie donosić – powiedział jeden z chłopców.

– Kapusta, donosi, kapusta! – zawołała najmniejsza. Wyszła zza rogu, stanęła pośrodku ulicy i tak jak wcześniej wskazała Anę palcem z wyciągniętą ręką. – Kapusta, donosi do don Ignacia, kapusta.

Pozostali nie dołączyli do chóru, tylko uciekli z krzykiem, nie bacząc na zakazy.

Ana ruszyła w swoją stronę. Głos dziewczynki – która wciąż powtarzała swoją śpiewkę, mimo że została sama – odprowadził ją aż do drzwi koszar.

Weszła. Zastała don Ignacia w pokoju służącym jako biuro. Sierżant siedział rozparty na krześle i czytał nieświeżą gazetę. Miał na sobie mundur, ale bez pasa, a górna część była porozpinana. Spojrzał na Anę zaskoczony.

– Nie mam dla pani czasu i niech pani nie próbuje wyciągać ode mnie nic na temat śmierci pani Anglady. Mam dużo pracy.

Zza drzwi wychyliła się jasna łepetyna Mauricia, który krzątał się z miotłą. Ana nie zauważyła go, gdy weszła.

– Ale kłamstwo, don Ignacio! Spał pan, kiedy przyszedłem!

– Mauricio, zabieraj się stąd! Jeśli wstanę, połamię tę miotłę na twoim łbie.

Chłopak posłuchał i zamknął drzwi. Z wnętrza dobiegło energiczne szuranie szczotki zamiatającej podłogę. Ana usiadła przed sierżantem.

– Nie zamierzam zadawać panu pytań, tylko myślę, że mam odpowiedzi.

Gwardzista poprawił się na krześle i pochylił do przodu.

– Ach, tak? Nie powie mi pani, że przyszła, żeby wyjawić, kto zabił tę biedną kobietę...

Zignorowała jego sarkazm.

– Właśnie tak, po to przyszłam.

Sierżant wybuchnął wymuszonym śmiechem i zrozumiała, że jest zupełnie nieorientowany w sprawie, co przynajmniej dało jej możliwość rozpoczęcia rozmowy. Bojąc się, że ta chwila mimo wszystko okaże się bardzo krótka, opowiedziała mu pośpiesznie, czego się dowiedziała o stygmatach Isabelity. Gwardzista nie przerwał jej ani razu, kiwał tylko głową z miną świadcząca o rosnącej konsternacji. Dopiero kiedy – po wyjaśnieniu powodów, dla których dziewczynka zadawała sobie rany – doszła do don

Juliána i do swojej pewności, że to on zabił Pilar, sierżant wtrącił:

– Wobec tego uważa pani, że moi towarzysze celowo skłámali, stwierdzając, że padła ofiarą jakiegoś włóczęgi?

– Nie. Nie ósmieliłabym się stawić przed panem i powiedzieć tego panu w twarz. Z całym szacunkiem, ale za bardzo się boję pana i pańskich towarzyszy.

– Zatem co pani o tym myśli?

– Że również oni zostali oszukani, że wykorzystano ich, powiedzmy, obsesję dotyczącą oczyszczenia okolicy z partyzantów i rzezimieszków, aby zamknąć sprawę.

Sierżant skinął głową z niejaką ulgą, po czym doszedł do bolesnego wniosku:

– Lecz to by oznaczało, że wielu tutejszych wiedziało o tym albo miało podejrzenia. Dlaczego nikt mi nie mówił?

Ana ósmieliła się powiedzieć to, co z pewnością sam wiedział:

– Ponieważ nie jest pan najwyższą władzą we wsi.

Ani on, ani reżim, który reprezentuje. Tu, tak daleko od Madrytu, tak daleko od wszystkiego, rządzi kto inny. Nie chciała wspominać sierżantowi, że dla don Juliána jest on zapewne czymś w rodzaju ramienia wykonawczego, które pozwala mu sprawować kontrolę nad wioską. Tak samo jak proboszczowi służy do tego jego kaznodziejski dar, oczarowujący mieszkańców, szczególnie kobiety.

– Ale jak pani dowiedziała się tego wszystkiego? Dlaczego opowiedzieli o tym pani? Osobie z zewnątrz.

– Nie opowiedziano mi tego, tylko przytaknięto moim przypuszczeniom czy raczej domysłom. Zrobił to don Miguel, nauczyciel. A domyśliłam się z piosenki o potworze.

– Jakiej piosenki?

Zaśpiewała mu ją.

– Nie znam jej.

– W takim razie, don Ignacio, przez te wszystkie miesiące żył pan naprawdę za plecami wioski. Nie rozumie pan? Potwór, który pożera białe róże, a wypluwa czerwone. Don Julián, który od lat przyznaje sobie feudalne prawo pierwszej nocy. Wszystko to jest w piosence.

– Don Julián? Potworem? Co to za bzdura? Potwór! Zdaje sobie pani sprawę z absurdalności tego, co pani mówi? Don Julián potworem. I dlaczego don Miguel nie przyszedł z panią?

Rozległ się hałas przedmiotów spadających po drugiej stronie drzwi.

– Mauricio, uważaj. Jeszcze raz, a wstanę.

Ana opowiedziała mu o fotografii pogrzebowej Pilar, o czarnej sukience, o białych liliach... Wtem zaskoczyła ją cisza. Ze strony Mauricio nie dobiegał żaden dźwięk. Zerwała się z miejsca.

– Podśluchiwał!

Nie domknął drzwi. Ana przypomniała sobie z bólem słowa Aurelii o jej bratanku: „Jak można być tak głupim i tak sprytnym jednocześnie!”

Wybiegła z biura, a zaraz za nią sierżant.

Póśrodku pokoju leżała miotła rzucona na podłogę wraz z kilkoma metalowymi gratami. Drzwi koszar były otwarte na óścież.

– Mauricio!

Nie rozumiem tego, co mówi pani. Dlaczego mówi, że wszystko to jest w piosence? Piosenka to piosenka. Potwór nie jest w piosence. Co za bzdura! Potwór jest naprawdę. Wszyscy to wiedzą.

Potwór jest zły. Don Julián nie jest zły. Nie może być zły. Nigdy mnie nie bije i mówi, że jestem dobry, że jestem zwierzątkiem. Ale pani z Barcelony mówi, że jest potworem. A ona też powiedziała, że jestem dobry. I pocałowała mnie. Ona mnie nigdy nie biła. Była dobra dla cioci Aurelii. Sprawiała, że ciocia się śmiała. I piły razem kawę. Pani jest dobra dla Isabelity. We trójkę uciekniemy do Barcelony. Mama pojedzie z nami. Tam nie ma potworów.

Potwór robi krzywdę dziewczynkom. Chłopcom nie. Tylko dziewczynkom. Kiedy dorastają. Dlatego dziewczynki boją się, nie chcą rosnąć. Bo potwór lubi ciała dziewczynek. Ale nie zjada ich, nie. Tak jak z tymi różami, wypluwa je. Dlatego się go boją, bo robi im różne rzeczy i je wypluwa.

Pili się go nie bała. I potwór ją zabił.

Eugenia się go bała, choć była taka sprytna. Najsprytniejsza z wszystkich dzieci. Dlatego uciekła i potwór jej nie tknął. Ale umarła.

Isabelita też się go bała, ale teraz już nie, bo jest święta, a święte nie boją się potworów.

Pani z Barcelony mówi, że don Julián zabił ciocię Aurelię. To grzech śmiertelny. Zabójstwo jest grzechem śmiertelnym. Don Julián pójdzie do piekła. Za to, że zrobił złe rzeczy.

– Złe, złe. Ciocia Aurelia, biedusieeeeeńka.

Potwory boją się świętych. Dlatego, że są święci, którzy się modlą, są święci, którzy zostali święci, bo ich zabito, i tacy święci, którzy zostali święci, bo zabili potwory. Jak święty Jerzy. Zabił smoka. Smoki są potworami. Potwory trzeba zabijać.

Jeżeli wiesz, że jest potwór, i go nie zabijesz, jesteś zły.

Ludzie, którzy zabijają potwory, są dobrzy. Ja jestem dobry. Tak mówi pani. Pani ma rację.

– Gdzie jest Mauricio?

– Dokądś poszedł. Zawsze się płacze bez sensu.

Ale sierżant poprawił na sobie mundur, zapiął pas i włożył pistolet do kabury.

– Idziemy.

Ruszyli żwawym krokiem w stronę domu Juliána Maestrego. Minęli się z kilkoma osobami, które z zaciekawieniem spoglądały na tę dziwną parę.

Kiedy dotarli do posiadłości, brama była otwarta. Weszli i przecięli dziedziniec. Zaskoczyło ich, że drzwi domu są niedomknięte. Sierżant zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie. W tym momencie usłyszeli strzał, krzyk i pośpieszne kroki dobiegające z górnej kondygnacji. Pobiegli schodami na piętro. Na górze Cándida, służąca don Juliána, wyszła im naprzeciw z oczami pełnymi zgrozy.

– Zabił go!

– Kto? – zapytał gwardzista.

Kobieta powiedziała tylko:

– Jest w bibliotece.

Służąca podążyła za nimi wolnym krokiem, jakby fakt, że ogłosiła nieszczęście, zwalniał ją z wszelkiego pośpiechu. Drzwi od biblioteki były zamknięte. Sierżant otworzył oba skrzydła na oścież.

Zastali ich na środku pokoju. Don Julián leżał na podłodze z rozrzuconymi ramionami i rozchylonymi połami szlafroka, który miał na sobie. Górę kraciastej piżamy splamiła krew. Twarzą był zwrócony do nich. Jego oczy zatrzymały ich na kilka sekund – nawet martwy zachował spojrzenie pana i władcy wioski. Mauricio, stojący przed nim, wciąż trzymał w ręce karabin, tyle że lufą skierowaną do ziemi i nie uniósł jej na ich widok. Już upolował swoją sztukę.

– Mauricio, coś ty zrobił?

– Zabiłem potwora.

Zwrócił się do nich z uśmiechem pełnym dumy.

Sierżant podszedł do niego i wyrwał mu broń. Chłopak oddał mu ją bez oporu.

– Coś ty narobił, nieszczęsny!

Mauricio spojrział na niego i uśmiechnął się błogo.

– Zabiłem potwora.

Don Ignacio przełożył sobie karabin do lewej dłoni, a prawą zamachnął się do uderzenia.

– Niech pan nie podnosi ręki na chłopaka! – To była Cándida. – Dobrze zrobił. Już dawno ktoś powinien był się odważyć – dodała wyzywająco.

Sierżant nie odpowiedział, ale opuścił rękę. Mauricio popatrzył na starszą kobietę, która stanęła obok Any, i znów powtórzył:

– Zabiłem potwora.

– Tak, synu. Właśnie tak – potwierdziła służąca.

– Robił krzywdę dziewczynkom – wyjaśnił Mauricio.

Podśluchiwał w koszarach. Nigdy nie zwracano na niego uwagi. Był głupkiem

wioskowym i mówiono w jego obecności, jakby był głuchym przedmiotem. Ale on rozumiał. Doskonale.

– Skąd wzięłeś karabin? – zapytał gwardzista.

– Z magazynu ochotników – odparł chłopak.

– Ale jak? Przecież masz niesprawną rękę!

– Drugą ręką! – zawołał triumfalnie.

Twarz Mauricia zasepiła się nagle.

– Zrobił krzywdę cioci Aurelii, choć nie była dziewczynką.

Spojrzał na zwłoki i kopnął je w stopę, strącając szmacyany pantofel. Don Ignacio odsunął go szarpnięciem.

Ostatecznie z panem i władcą skończył biedny idiota. Idiota, który odzyskał uśmiech, powtarzając:

– Zabiłem potwora. Święty Jerzy zabił smoka, a ja zabiłem potwora.

– Chodźmy.

Sierżant chwycił go za ramię. Ana odniosła wrażenie, że nie zrobił tego zbyt mocno. Nie było potrzeby. Mauricio potulnie pozwolił się wyprowadzić.

Służąca zatrzymała ich, zanim wyszli z pokoju. Złapała chłopaka za głowę, zmusiła, by się pochylił, i ucałowała go w oba policzki.

– Powiadomię twoich rodziców.

Jakby odwilż specjalnie zwlekała z przyjściem, aż wieś sama rozwiąże swoje sprawy, w czwartek przyjechał autobus. Przybył w południe. Za ledwie pół godziny po tym, jak zjawił się obiecany Anie przez szefa samochód z kierowcą.

Kilka godzin wcześniej stawili się funkcjonariusze Gwardii Cywilnej, którzy w tej chwili chodzili po domach z sierżantem, by doprowadzić do końca śledztwo w sprawie ostatnich wypadków.

To będzie ostatecznie tematem jej artykułu. Historia zapóźnionego umysłowo chłopaka, który zabił posiadacza ziemskiego Juliána Maestrego, by pomścić śmierć swej ciotki. Jako motyw zamordowania Aurelii Ana będzie musiała podać zadawniony konflikt. Za nic nie mogła wspomnieć, że przez lata młode kobiety z tej wsi znosiły molestowanie seksualne ze strony pana.

Od don Onésima, alkada, nie było znaku życia. Sierżant odprowadził Anę do gospody, by pobierała swoje rzeczy. Jako że został w kuchni, podczas gdy pakowała walizkę, ukradkiem zajrzała do pokoju z balkonem i zabrała jedno ze zdjęć Pilar. Portret, który ukazywał ją żywą, z twarzą dorosłej dziewczynki. Podaruje go Mauriciowi, kiedy pójdzie do koszar, żeby się z nim pożegnać. Pomyślała, że miło mu będzie mieć tę fotografię podczas ciężkich miesięcy, które ma przed sobą. Ana wyobrażała sobie, co go czeka. Zostanie osądzony i jeśli sędzia da się ponieść uprzedzeniom swej kasty, chłopak skończy na szubienicy.

Po drodze do koszar sierżant opowiedział Anie, że kiedy umieszczali Mauricia w celi, poprosił o swoją miotłę, żeby pozamiatać. Dali mu ją i wziął się do pracy jakby nigdy nic, nucąc sobie ochryple piosenkę o potworze. Potem poprosił o śmietniczkę i zamiótł śmieci z takim spokojem, że gwardzista pozwolił mu iść wyrzucić jej zawartość do kubła i wrócić do celi.

Tam też zastała go Ana, siedzącego spokojnie na pryczy. Na jej widok twarz chłopaka rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Mauricio podszedł do kraty.

– Jak ładnie pachniesz! – zawołał.

Ana, czując się brudna po kilku dniach bez możliwości wykąpania się, rano skropiła się wodą kolońską. Teraz upewniła się, że sierżant ich nie widzi, i podała chłopakowi zdjęcie. Wydawało się, że Mauricio oszaleje z radości. Pokazała mu na migi, żeby się uspokoił i nie krzyczał. Syknął zabawnie, uciszając sam siebie. Następnie przyjrzał się fotografii z zachwytem, odwrócił ją i przysunął do twarzy Any.

– Patrz, Pili, to jest ta pani, co tak ładnie pachnie.

Ana wyjęła z walizki buteleczkę z wodą kolońską i dała mu ją.

– Weź.

Chłopak wybuchnął radosnym śmiechem, szczerząc swoje poprzedzielane szparami zęby. Otworzył buteleczkę i wylał sobie kilka kropli na palce, po czym wtarł zapach w fotografię.

– Teraz Pili pachnie tak jak ty.

– Ale rób to tylko z tyłu zdjęcia, bo inaczej zetrze się obrazek – rzekła Ana, ciesząc się, że może mu dać tę niedorzeczną radę i dzięki temu nie rozplakać się przed nim.

Mauricio ucałował zdjęcie kilka razy, a potem schował je do kieszeni kurtki, którą wcześniej przyniosła mu matka.

– Chcesz, żebym ci zrobiła zdjęcie?

To było polecenie Enriquego Rubio. „Zrób zdjęcia zabójcy” – powiedział szef przez telefon.

– Zrobisz mi zdjęcie?

– Jasne. Przecież zabiłeś potwora.

Mauricio wówczas bardzo spoważniał. Podciągnął sobie spodnie, poprawił kurtkę, poślinił końce palców i przygładził włosy. Ana niemal mogła słyszeć głos jego matki powtarzającej dzień w dzień wskazówki dotyczące tego, by wychodził z domu zadbany. Poprosiła, żeby się ustawił pod ścianą. Wetknęła aparat między pręty kraty, ponieważ nie chciała, by były na zdjęciu. Chłopak spoglądał poważnie. Nie uśmiechał się. Tak jak pozujące do fotografii dziewczynki ze wsi.

– Można zobaczyć? – zapytał, kiedy pstryknęła.

– Nie. Trzeba najpierw wywołać.

– A wtedy będę mógł zobaczyć?

– Oczywiście.

– Przyjedziesz po mnie?

Tego pytania nie zrozumiała, ale nie zdążyła mu o tym powiedzieć. Pojawił się kierowca, by ją zabrać.

– Musimy ruszać, inaczej spóźni się pani na pociąg do Barcelony.

Chciała pożegnać się z Mauriciem uściskiem dłoni, ale on z rewerencją pocałował ją w rękę.

– Eugenia mi wyjaśniła, że tak się robi z paniami w mieście.

Ana wyszła z koszar ze ściśniętym gardłem i poszła w stronę placu, gdzie autobus też czekał na ostatnich pasażerów.

Nie da szefowi fotografii Mauricia. Powie, że zdjęcie wyszło ciemne albo że się przypadkowo prześwietliło podczas wywoływania.

Nie napisze też artykułu o dziewczynce ze stygmatami. A tym bardziej nie wyjawi, że rany i domniemane cuda były wynikiem oszustwa. Nic z tego. Milczenie.

Szofer otworzył drzwi, żeby ją wpuścić do wozu.

Kierowca autobusu zamykał bagażnik i rozglądał się na prawo i lewo, by się upewnić, że nie zostawił żadnego pasażera. Już miał postawić stopę na schodku, kiedy rozległy się głosy:

– Proszę czekać! Zaczekać!

Ana też poprosiła swojego szofera, by chwilę zaczekał. To byli Isabelita i jej rodzice. Ojciec niósł córkę na rękach, ponieważ nie mogła chodzić; matka taszczyła wielki toból. Biegli do autobusu. Najwyraźniej odczekali aż do pory odjazdu. Ana zrozumiała dlaczego, gdy zobaczyła podążających za nimi ludzi o wrogich wejrzeniach.

Wsiedli do autobusu. Mężczyzna posadził dziewczynkę na tylnym siedzeniu, pożegnał się z żoną i córką i wysiadł. Nie czekał, aż autobus ruszy, oddalił się w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przybył, aby uniknąć spotkania z grupą około piętnastu osób, które za nimi przyszły.

Matka z córką siedziały spokojnie, ze spuszczoneymi głowami, wobec pełnych wyrzutów spojrzeń pozostałych pasażerów.

Kierowca zamknął drzwi.

Wówczas dziewczynka, która przyszła z grupą, rzuciła śnieżną kulą w tylne okno autobusu. Na ten sygnał posypały się zniewagi:

– Kłamczuchy.

– Wstręciuchy.

– Wiedzmy, wiedzmy.

Śnieżne kule uderzały w autobus z groźnym dudnieniem. Kierowca wreszcie ruszył.

W jednej z bocznych uliczek wychodzących z placu Ana dostrzegła Miguela. Stał nieruchomo z rękami w kieszeniach płaszcza, obserwując rozwścieczoną grupę. Kiedy jego spojrzenie napotkało wzrok Any, wyciągnął prawą rękę w pożegnalnym geście. Nie odpowiedziała. Wsiadła do samochodu. Szofer zamknął drzwi i usiadł na swoim miejscu. Ana skierowała wzrok przed siebie.

– Jedźmy.

Don Ignacio mówi, że Isabelita i jej mama też wyjechały do miasta. Wsiadły do autobusu. Na pewno przeniosą się do bardzo dużego miasta i tam Isabelita będzie sławną świętą. W mieście nie musi umierać, żeby zostać świętą.

Wtedy po mnie przyjedzie.

Będzie miała pelerynę z perłami i błyszczącą koronę.

Przyjedzie po mnie i powie:

– Czego sobie życzysz, Mauricio?

A ja odpowiem tak, jak mi mówiła Eugenia:

– Daj mi mądrość.

Przyjedzie po mnie.

Podziękowania

Chciałybyśmy podziękować Juanowi Ribasowi, który po raz kolejny ofiarował nam swoje wspaniałe wspomnienia i pełne życia opowieści.

Wiele zawdzięczamy również hojności Tomása Sastrego, opiekuna bogatej spuścizny swego wuja, Enriquego Rubio. Tomás Sastre służył nam poradą i użyczył bardzo cennych materiałów.

W trakcie całego procesu powstawania tej powieści Klaus Reichenberger dzielił się z nami błyskotliwymi uwagami i sugestiami. To dzieło bez niego nie byłoby takie samo.

Podobnie jak bez trafnych krytycznych komentarzy Társili Reyes, Pilar Montero i Any Ramírez.

Dziękujemy też czytelnikom *Daru języków*, którzy na spotkaniach autorskich, w klubach czytelniczych i za pośrednictwem poczty dzielili się z nami swymi przeżyciami i wspomnieniami, co wzbogaciło naszą wiedzę o tamtej epoce. Choć pozwoliłyśmy sobie na odrobinę historycznej licentia poetica, mamy nadzieję, że powieść okaże się równie sugestywna jak jej poprzedniczka.

Dziękujemy wszystkim, którzy nam dodawali otuchy do dalszego pisania.

¹ Chodzi o wojnę domową w Hiszpanii z lat 1936–1939 (przyp. tłum.).

² Martínez to nazwisko hiszpańskie (kastylijskie), Martí – katalońskie (przyp. tłum.).

³ Comarca – jednostka administracyjna w Hiszpanii, odpowiednik polskiego powiatu (przyp. tłum.).

⁴ Alkad – w Hiszpanii odpowiednik burmistrza i wójta (przyp. tłum.).

⁵ José Antonio Primo de Rivera – założyciel Falangi Hiszpańskiej (przyp. tłum.).